2/2021

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik marzec–kwiecień 2 (74) / 2021 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)

Historia się nie kończy
Marci Shore

REWOLUCJA JAKO PUNKT WYJŚCIA
Jurij Andruchowycz

Armenia i Azerbejdżan. Życie obok siebie
Thomas de Waal

Rosyjska opozycja – gramy dalej
Kacper Wańczyk

Białoruś. Nowa klasa bitych
Aleksander Papko

ISSN 1899-5543

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA



Prenumerata dostępna na stronie www.kew.org.pl/ksiegarnia • Promocja trwa do końca maja 2021

eprasa.pl b62d9b2f9d

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl b62d9b2f9d

eprasa.pl b62d9b2f9d

Opisać Wschód na nowo

Specjaliści zajmujący się problematyką wschodnią lubili żartować, że sytuację w wielu rejonach byłego ZSRR (na przykład na Białorusi czy w Górskim Karabachu) można opisać, posługując się tekstami sprzed lat. Wystarczy wykonać zabieg „kopiuj i wklej". Może dopisać kilka nowych, „świeżych" zdań. Numer „Nowej Europy Wschodniej", który właśnie oddajemy Państwu do rąk, pokazuje, jak wiele uległo zmianie. Jak dynamiczna jest sytuacja w regionie i jak szybko dezaktualizują się stare teksty.

O głos na temat przyszłości Kaukazu Południowego poprosiliśmy Thomasa de Waala, brytyjskiego analityka współpracującego z ośrodkiem Carnegie. De Waal jest autorem niezwykle cennych książek na temat regionu. Wybitnym znawcą relacji armeńsko-azerbejdżańskich. Jego ogląd sytuacji jest inny od obowiązującego w Polsce. Marci Shore, historyczka, badaczka Europy Wschodniej w udzielonym nam wywiadzie zastanawia się nad specyfiką rewolucji, które wciąż wybuchają w krajach poradzieckich. Numer NEW, który trzymają Państwo w rękach, był już złożony do druku, kiedy z Rosji dobiegły niezwykle tragiczne i poruszające informacje o krytycznym stanie zdrowia Aleksieja Nawalnego. Tekst Kacpra Wańczyka, w którym autor zapytał zachodnich analityków i przedstawiciela fundacji Nawalnego o przyszłość rosyjskiej opozycji, został napisany, kiedy życiu Nawalnego nie zagrażało jeszcze niebezpieczeństwo. W tekście padają pytania: Jaka jest jej strategia? Jak będzie funkcjonować w najbliższym czasie (jesienią w Rosji odbędą się wybory parlamentarne). Czy ruch protestu ma szansę wyjść poza duże miasta i klasę średnią? Jako redakcja NEW solidaryzujemy się z walczącymi o demokrację Rosjanami. Myślami jesteśmy przy Nawalnym. Żywimy nadzieję, że najgorsze prognozy się nie spełnią.

Opisując kraje poradzieckie, koncentrujemy się nie tylko na procesach politycznych i społecznych. Czasem obraz, wiersz, spektakl mówią o wiele więcej niż sążnista analiza polityczna. Anna Łazar pisze o współczesnej sztuce białoruskiej i jej odbiorze w Polsce. Nie zapomnieliśmy także o dziale „Konteksty". Piszemy o modzie w Afganistanie i wyzwaniach, które (z perspektywy Czecha) stoją przed Europą Środkową.

Nigdy nie przedstawialiśmy Europy Wschodniej za pomocą zabiegu „kopiuj i wklej". Zdajemy sobie sprawę, że kolejny raz stoimy przed poważnym wyzwaniem: jak zaprezentować region w najpełniejszy sposób? Do jakich gatunków dziennikarskich się odwołać, których autorów poprosić o teksty? Tak, by nie posługiwać się suchymi analizami, bo te dezaktualizują się jako pierwsze.

Redakcja

eprasa.pl b62d9b2f9d

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Marci Shore **Historia się nie kończy** 7

Publicystyka i analizy

Kacper Wańczyk **Drużyna, gra, zasady** 14
Waleria Kostiugowa **Pożegnanie z ZSRR** 22
Rozmowa z Aleksandrem Papką **Nowa klasa bitych** 25
Rozmowa z Jeleną Milić **Potyczki z nienawiścią** 41
Tadeusz Iwański **Małżeństwo trudne, lecz nierozerwalne** 47
Rozmowa z Thomasem de Waalem **Karty zostały przetasowane** 53
Ewa Polak **Kiedy znika kostka cukru** 61
Bartłomiej Krzysztan **Kryzys i zmierzch Zachodu na Kaukazie Południowym** 68
Zbigniew Rokita **Dyktator na lodzie** 74
Jiří Pehe **Trzy tragedie i początek czwartej** 80

Kultura

Anna Łazar **Patrząc z Polski na białoruską sztukę współczesną** 87
Rozmowa z Aleksandrą Czerniawską **Gesty mają moc** 94
Klaudia Niemkiewicz **Folklor to potęga, w którą wchodzi demon** 104

Rozmowa

Rozmowa z Jurijem Andruchowyczem **Rewolucja jako punkt wyjścia** 110

Reportaż

Miłosz Szymański **Ormiańskie pnącza w Turcji** 117
Katarzyna Rodacka **Kabul wchodzi na wybieg** 131

Historia

Rozmowa z Larrym Wolffem **Pozagrobowe życie Galicji** 137

eprasa.pl b62d9b2f9d

Konteksty

Aleksandra Pyka **W domu i po cichu** 143
Rozmowa z Martą Machałowską **Żadnych krzywych spojrzeń** 150

Recenzje

Kacper Wańczyk **Psy wczorajsze, psy dzisiejsze** 156
O książce Gieorgija Władimowa *Wierny Rusłan*
Dominika Kardaś **Nie warto ich słuchać** 158
O książce Jessikki Aro *Trolle Putina. Prawdziwe historie z frontów rosyjskiej wojny informacyjnej*
Emilia Kolinko **Prywatność, propaganda, protest** 159
O książce *Dlaczego w sztuce ukraińskiej są wielkie artystki* pod red. Kateryny Jakowłenko
Stasia Budzisz **Tbilisi nie dotrzymuje tajemnic** 162
O książce Arczila Kikodzego *Słoń południowy*
Jan Bińczycki **W Yad Vashem jak w IPN?** 165
O książce Yishaia Sarida *Potwór pamięci*
Zbigniew Rokita **Domknięcie trylogii** 168
O książce Andrzeja Brzezieckiego i Małgorzaty Nocuń *Łukaszenka. Niedoszły car Rosji*
Zbigniew Rokita **Głosem milczącej większości** 170
O książce Adama Leszczyńskiego *Ludowa historia Polski*
Magdalena Moskal **Sprzedaż dóbr rodowych** 172
O książce Aleksandry Leyk i Joanny Wawrzyniak *Cięcia. Mówiona historia transformacji*
Jan Bińczycki **Porno z placu Defilad** 173
O książce Ewy Stusińskiej *Miła robótka. Polskie świerszczyki, harlekiny i porno z satelity*

eprasa.pl b62d9b2f9d

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane
przez MIASTO WROCŁAW

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Łukasz Grzesiczak, Sonia Knapczyk, Anna Łazar, Małgorzata Nocuń (redaktorka naczelna), Urszula Pieczek, Ewa Polak, Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Andrusieczko, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
redakcja@new.org.pl, www.new.org.pl

Partnerem wydania jest Fundacja Znak

Fundacja
Znak

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)
Nakład 2000 egz.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Historia się nie kończy

Z Marci Shore, historyczką i badaczką Europy Wschodniej,
rozmawiają Łukasz Grzesiczak i Urszula Pieczek

NOWA EUROPA WSCHODNIA: W 2020 roku zrywy rewolucyjne przybrały na sile. Jak na przykład obliczają dziennikarze magazynu „Falter", w Wiedniu odbyło się tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć demonstracji więcej niż w roku poprzednim. To sytuacja z na pozór spokojnego Wiednia, a co jeśli przyjrzymy się Europie Środkowej i Wschodniej? W powszechnych wyobrażeniach rewolucja to wciąż widok ściętych głów. W związku z tym, że jednym z obszarów Pani zainteresowań naukowych jest rewolucja, na początek chcemy zapytać o rzecz pewnie banalną, dla niektórych nudną, bo definicyjną. Czym obecnie jest rewolucja?

MARCI SHORE: To fundamentalne pytanie, na które nie istnieje obiektywna odpowiedź. Rewolucja to pojęcie, które najszerzej definiuje radykalna przemiana. Gajo Petrović, jugosłowiański filozof, czołowy przedstawiciel ugrupowania radykalnych marksistów *Praxis* lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku, mówił, że prawdziwa rewolucja to przezwyciężenie wyobcowania, pokonanie alienacji człowieka. Moim zdaniem coś w tym jest. To pewnie nie znaczy, że można to wyobcowanie przezwyciężyć na zawsze, ponieważ rewolucja pozostaje raczej momentem przekraczania niewidzialnej granicy. To jest ta chwila, kiedy ludzie zaczynają zadawać sobie pytania: za co warto żyć?; za co warto umrzeć?

Punktem wyjścia mojej książki *Ukraińska noc* było doświadczenie. Bardziej niż rezultaty, które można ocenić, tylko patrząc wstecz, interesowało mnie przeżycie. Chciałam opisać transformację świadomości ludzi, zmianę nie tylko polityczną, ale przede wszystkim egzystencjalną. Zafascynowała mnie czasowość: jak zmienia się doświadczenie czasu i przestrzeni podczas rewolucji? Dlaczego znika różnica między dniem i nocą? W pewnym momencie wszyscy moi rozmówcy i rozmówczynie zaczęli opowiadać o tym, jak stracili poczucie czasu. Mieli problem, by się zorientować, czy mięło parę minut, godzina czy dzień. Kiedy nagle wyraźnie czuć, że w każdej chwili wszystko może się zmienić, temporalność przybiera nową postać. W każdej chwili obowiązujący stan rzeczy sprzed pięciu minut może

eprasa.pl b62d9b2f9d

stracić znaczenie. Podczas majdanu ludzie bali się zasnąć: można było obudzić się po paru godzinach w zupełnie innych realiach.

O momencie zmiany egzystencjalnej mówi się w kontekście Białorusi. Po kolejnych sfałszowanych wyborach analitycy przecierali oczy ze zdumienia, ponieważ nie byli w stanie przewidzieć skali buntu. To przełamało w jakiś sposób krzywdzący stereotyp, że społeczeństwo białoruskie jest pasywne. Co Pani zdaniem wyróżnia tę rewolucję?

Wydarzenia na Białorusi to rewolucja feministyczna nowego rodzaju. Kobiety od samego początku wiodły prym. Wychodziły na ulicę, demaskowały siłowików – przez co były bite i wtrącane do więzień. Maria Kalesnikowa podarła swój paszport, by jej nie wydalono z kraju, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że pójdzie za ten gest do więzienia. Kobiety stoją na czele, a wcale nie są przeciwko mężczyznom. Jeżeli ta feministyczna rewolucja jest kierowana przeciw czemuś związanemu z mężczyznami, to przeciw pojęciu męskości polegającej na przemocy i poniżaniu innych. Znam kobiety, feministki, które wychodziły na ulicę ze swoimi mężami i zostały zatrzymane razem z nimi. Swiatłana Cichanouska mówiła, że została kandydatką na prezydenta z miłości dla swojego męża, który siedzi w więzieniu. Ona reprezentuje nowy rodzaj lidera. Jest silna i skromna, serdeczna i trzeźwa. Nie zgrywa ani bohaterki, ani zbawicielki. Pod tym względem pozostaje przeciwieństwem Julii Tymoszenko. W czasach postprawdy jest bliższa rzeczywistości.

W białoruskim zrywie świetnie widać to, jak ludzie się zmieniają, przekraczają granicę strachu. To jest moment przyjęcia podmiotowości i odpowiedzialności.

Jednym z głównych haseł Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, który przybrał na sile pod koniec października 2020 roku, było stwierdzenie „Rewolucja jest kobietą". Mówi Pani, że rola kobiet dziś jest olbrzymia. W Polsce widać to wyraźnie. Strajk, u którego podstaw leży prawo do legalnej aborcji, okazał się punktem wyjścia do walki o wolność. To największy zryw społeczny w Polsce od 1989 roku. Co zrobić, by nasza rewolucja doprowadziła do realnej zmiany? Czy to w ogóle jest możliwe?

Gdybym znała odpowiedź na to pytanie… Mam nadzieję, że zmiana jest możliwa. Jasne, że zgadzam się z postulatami Strajku Kobiet – prawo do swojego ciała jest prawem podstawowym, nie wolno tego lekceważyć. Jestem pełna podziwu dla moich polskich koleżanek, przyjaciółek, znajomych i nieznajomych. Stoję z nimi.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Autorytarni przywódcy uderzają w kobiety, tak jak w mniejszości seksualne, a tak naprawdę każdy z nich przeżywa swego rodzaju kryzys męskości. Widać to nie tylko w polityce Prawa i Sprawiedliwości, ale także w lekceważącym stosunku do kobiet Donalda Trumpa – w przyjemności, którą czerpał z poniżania. Widać to też u Władimira Putina, który w dokumencie Olivera Stone'a na pytanie o role światowych przywódczyń w polityce, powiedział: „*I am not a woman, so I don't have bad days*" (Nie jestem kobietą, nie miewam złych dni). Albo u Aleksandra Łukaszenki, który tłumaczył, dlaczego kobieta nie może piastować urzędu prezydenta: „У нас конституция такая, что даже мужику тяжело нести эту ношу. А если ее загрузить на женщину, она рухнет, бедолага" (Mamy taką konstytucję, że chłopu ciężko jest unieść ten ciężar. A jeśli go nałożysz na kobietę, to się załamie, biedaczka).

Rozmawiałam ostatnio z doktorantem historii z Mińska, który wraz ze swoją żoną bierze aktywny udział w protestach od początku. Niedawno przez to siedział w więzieniu przez dwa tygodnie. Opowiadał, że strażnicy, którzy zatrzymali i bili protestujących, zadawali pytania: „Dobra, chcesz do Europy? – chcesz spędzać czas z homoseksualistami i pederastami? Mieć dzieci, które się zwracają do rodzica numer jeden lub rodzica numer dwa, zamiast do mamy i taty? Tego chcesz?". Ich słowa nie świadczyły o miłości do Łukaszenki, wydawało się, że wcale go nie wielbią, ale pojmowali rewolucję na rzecz wolnych wyborów i praw człowieka jako zagrożenie dla męskości, a tym samym dla swojej tożsamości.

To silny stereotyp Europy jako sodomy.

To raz, ale jeśli chodzi o męskość w kontekście Białorusi, dostrzegam też całkiem inne zjawisko. Odnoszę wrażenie, że walkę o prawa kobiet wielu mężczyzn postrzega jako walkę „za wolność naszą i waszą". Paweł Barkouski, filozof z Mińska, napisał na Facebooku z okazji 8 marca, że to przede wszystkim dzień pamięci o tym, że dana osoba ma prawa, i trzeba o te prawa walczyć, że Białorusinki, wychodząc na ulice, walczą o swoje, ale nie tylko o swoje prawa, że walczą o godność ludzką.

Z tymi dawnymi rewolucjami dzisiejsze zrywy łączą pewnie pieśni, charyzmatyczni liderzy, ale sporo w nich przecież różnic. Powiedziała Pani o istotnej zmianie w rewolucjach – znaczącej roli kobiet. Kolejną będzie pewnie decentralizacja protestu, to było wyraźnie widoczne w 2013 i 2014 roku w Ukrainie, gdzie majdan symbolizował miejsce zbiórki także w mniejszych miastach.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Innym ważnym elementem są media społecznościowe odgrywające tu przecież olbrzymią rolę.

Te dwie ostatnie kwestie się łączą. Technologia daje dziś możliwość, by protesty się decentralizowały. Osobiście zafascynował mnie moment w listopadzie 2013 roku, kiedy Mustafa Najem napisał na Facebooku: „Żarty się skończyły. Kto jest gotów dziś o północy wyjść na majdan? Lajki się nie liczą". Gdyby tego dnia nie zamieścił na Facebooku tej krótkiej wiadomości, być może majdan w ogóle by się nie wydarzył. W ciągu paru godzin pojawiło się wielu ludzi nie tylko na majdanie w Kijowie, ale też na placach w miastach całego kraju (w swojej książce piszę na przykład o małym majdanie we Lwowie). Samo zdanie „lajki się nie liczą" nie miało sensu przed pojawieniem się Facebooka, a odnoszę wrażenie, że stało się rewolucyjnym sloganem XXI wieku. Ale trzeba pamiętać, że potencjał mediów społecznościowych ma też ciemną stronę.

O to właśnie chcemy zapytać – czy przypadkiem używanie mediów społecznościowych, budowanie na nich potencjału rewolucji czy zmiany nie doprowadzi nas do stanu, że w imię wolności będziemy bardziej inwigilowani?

To nie tylko możliwe, ale już się dzieje chyba wszędzie. Jesteśmy bardziej inwigilowani. Hegel nazwałby to dialektyką, w tym kontekście dialektyką przejrzystości. Internet daje nam wiele możliwości, by się wyrazić, opowiedzieć własną historię, daje również dostęp do innych ludzi, na przykład czytelników, ale to też swego rodzaju panoptykon. Dążenie do przejrzystości to miecz obosieczny.

Pytamy o takie rewolucje, których celem jest upadek dyktatury, rewolucje na rzecz demokratyzacji, walki z totalitarną lub częściowo autorytarną (jak w Polsce) władzą. Ale w kontekście ostatnich wydarzeń związanych z lockdownem obserwujemy rewolucje (może protesty tylko) populistów. W Czechach, na Słowacji, w Polsce, ale też na przykład w Niemczech na ulice wyszli populiści, którzy nie wierzą w koronawirusa, nie chcą obostrzeń, protestują przeciwko szczepieniom. Być może czeka nas rewolucja populistyczna. Może jej zapowiedzią był atak na Kapitol?

To zjawisko związane z postprawdą. Ci populiści, o których mowa, nie wierzą w globalne ocieplenie, szczepionki (w Ameryce sytuacja jest jeszcze gorsza niż w Polsce; Steve Bannon, doradca Donalda Trumpa, na Twitterze publicznie wezwał do ścięcia doktora Anthony'ego Fauci, najlepszego eksperta w dziedzinie chorób zakaźnych, długoletniego dyrektora Narodowego Instytutu Alergii

eprasa.pl b62d9b2f9d



Rostyslav Kostenko, dzięki uprzejmości Marci Shore

Mustafa Najem napisał na Facebooku: „Żarty się skończyły. Kto jest gotów dziś o północy wyjść na majdan? Lajki się nie liczą". Gdyby tego dnia nie zamieścił na Facebooku tej krótkiej wiadomości, być może majdan w ogóle by się nie wydarzył.

i Chorób Zakaźnych) – nie wierzą nauce, rzeczywistości empirycznej. Zamiast tego pojawiły się rozmaite teorie spiskowe, na przykład w Stanach przeżywamy powrót do starej antysemickiej wiary w mord rytualny, teraz w dziwacznej formie QAnon.

QAnon to ruch zwolenników teorii spiskowych, który w ostatnim czasie zdobywa coraz większą popularność. Mówiono, że wśród tłumu, który zaatakował na początku roku Kapitol, była grupa wyznawców QAnon.

Tak, było tam wielu ich wyznawców. Atak na Kapitol 6 stycznia nie był dla mnie niespodzianką. Przeciwnie, od czterech lat z lękiem na coś czekałam. Mam dziś nadzieję, że najgorsze już za nami. Trump przegrał właśnie 6 stycznia. I niby lepiej późno niż wcale, od 6 stycznia zaczęli od niego uciekać ludzie niczym szczury z tonącego okrętu. Zaczęli mówić, że on jest nienormalny, jakby zauważyli to dopiero teraz. Trudno powiedzieć, gdzie się znajduje granica między idiotyzmem a złą wiarą. Zresztą to, kim on jest, nigdy nie było tajemnicą, wszystko było obnażone od samego początku.

Wrócę na moment do kwestii populizmu. Populizm nie jest niczym nowym, jednak narodowy populizm Trumpa czy Putina różni się od ideologii, którą poznaliśmy w XX wieku. W ich przypadku nie istnieje koherentna, nawet jeśli miałaby być fałszywa, narracja. Nie ma całości i ideologii jako takiej, którą widzieliśmy w XX stuleciu. Populizm w czasach postprawdy polega na czymś innym: Trump o dziesiątej rano mógł powiedzieć coś, czemu zaprzeczał o dziesiątej wieczorem. Putin może sugerować, że nie ma rosyjskich żołnierzy w Donbasie, że jeśli ktoś tam jest, to są to amerykańscy szpiedzy udający Rosjan. Równie dobrze mogą być Marsjanami – nie ma różnicy. Widoczny, ewidentny, oczywisty brak konsekwencji i logiki nikomu zdaje się nie przeszkadzać.

Filozof Tadeusz Kroński, tworzący w Warszawie okupowanej przez hitlerowców, opisał faszyzm jako „wyabsolutnienie samego zagadnienia", „fanatyczną wiarę w wartości wyabsolutnione". Teraz zamiast absolutyzacji, mamy do czynienia – jak zauważa dziennikarz Peter Pomerantsev – z sytuacją, w której „nie ma prawdy, a wszystko jest możliwe".

Przywołała Pani wydarzenia w Donbasie – rewolucja godności, której poświęciła Pani *Ukraińską noc*, niejako zakończyła się wojną w Donbasie, może inaczej: pokłosiem rewolucji jest wojna w Donbasie i aneksja Krymu, na którą patrzył cały świat. Czy Pani zdaniem ta wojna się skończy? Czy taki skutek powinna przynosić rewolucja?

eprasa.pl b62d9b2f9d

Wojna w Donbasie to groteskowa gra Putina. Zniszczono życie milionom ludzi w imię fikcji. To właśnie na tym opiera się świat postprawdy: ludzie umierają w rzeczywistości w imię fikcyjnych powodów. Niemniej jednak wierzę, że majdan miał i ma olbrzymie znaczenie nie tylko dlatego, że kraj pozbył się brutalnego gangstera, jakim był Wiktor Janukowycz. Majdan był, może nawet przede wszystkim, przypomnieniem nie tylko Ukraińcom, a nam wszystkim, że my, ludzie – pomimo wszystkich porażek – jesteśmy zdolni do czegoś lepszego.

Marci Shore jest profesorką historii na Uniwersytecie Yale oraz profesor wizytującą w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu. Jest autorką trzech książek przetłumaczonych na język polski przez Marcina Szustera: *Kawior i popiół: Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem, Smak popiołów: o dziedzictwie totalitaryzmu w Europie wschodniej* i *Ukraińska noc*. Po polsku ukazał się też zbiór jej esejów w tłumaczeniu Michała Sutowskiego pod tytułem *Nowoczesność jako źródło cierpień*. W ramach stypendium Guggenheim Fellowship pisze książkę pod roboczym tytułem *Eyeglasses Floating in the Sky: Central European Encounters that Took Place while Searching for Truth* o historii fenomenologii w Europie Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Drużyna, gra, zasady

Kacper Wańczyk

Aleksiej Nawalny stał się symbolem walki o nową Rosję. Obywatele Rosji coraz rzadziej zwracają uwagę na jego przeszłość – nie wypada krytykować putinowskiego więźnia sumienia. Zastanówmy się, czy Nawalny będzie w stanie „dowodzić" opozycją zza krat.

O Nawalnym napisano wiele artykułów. Przedmiotem zainteresowania mediów była jego rodzina, a także najbliżsi współpracownicy. „Nowa Europa Wschodnia" postanowiła przyjrzeć się organizacji, a raczej sieci organizacji, które stworzył. Szukaliśmy odpowiedzi na następujące pytania: Co stanowi o ich nowatorskości? W jakich sferach przejawia się ich aktywność? Jak angażują się w rosyjskich regionach i jaka jest ich przyszłość?

Rozmawialiśmy z Catherine Belton, autorką książki *Ludzie Putina. Jak KGB odzyskało Rosję, a potem zaatakowało Zachód*?, dr Marie Mendras z Centre National de la Recherche Scientifique i profesorką Szkoły Spraw Międzynarodowych Uniwersytetu Sciences Po w Paryżu oraz Władimirem Aszurkowem, dyrektorem wykonawczym Fundacji Walki z Korupcją (FWK).

Trzecia fala opozycji

Na początek przyjrzyjmy się temu, jak sieć Nawalnego wpisuje się w szerszy kontekst rosyjskiej sceny opozycyjnej.

Wydaje się, że opozycja antyrządowa w Rosji przeszła kilka etapów ewolucji. Początkowo, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku scena polityczna była chaotyczna. Starzy dysydenci szukali swojego miejsca, „posowieccy", prodemokratyczni obywatele wychodzili na ulice. Potem sytuacja zaczęła się stabilizować, pojawili się politycy próbujący odnaleźć się w nowej rzeczywistości, co doprowadziło do powstania „opozycji systemowej".

– W latach dwutysięcznych „liberalna" opozycja weszła w ciężki okres, wyczerpana wewnętrznymi konfliktami i represjami Kremla – stwierdza Marie Mendras. – Dziś Jabłoko straciło na znaczeniu, zaś Grigorij Jawliński po ostatnim ataku na Nawalnego doprowadził do marginalizacji organizacji o trzydziestoletniej historii. To był punkt zwrotny, początek trzeciej fali rozwoju rosyjskiej opozycji: wzrostu ru-

eprasa.pl b62d9b2f9d

chów antysystemowych, niezarejestrowanych, określanych przez władze jako „zagraniczni agenci". Od czasu masowych protestów, wywołanych przez sfałszowane wybory do Dumy w grudniu 2011 roku, nowe ruchy opozycyjne wzmocniły wpływy polityczne i stały się atrakcyjne dla milionów obywateli, w szczególności wywodzących się z młodego pokolenia. FWK była główną siłą napędzającą obecną walkę z reżimem Putina – podkreśla Marie Mendras.

W książce *Kapitał polityczny opozycji antysystemowej w Rosji* Olga Nadskakuła-Kaczmarczyk stwierdza, że: „gdy w zachodnich systemach politycznych partie opozycyjne są antytezą partii rządzącej, w systemie rosyjskim opozycja jest przeciwstawiana nie tylko partii rządzącej, ale władzy w ogóle". Wyjaśnia, że różnica między systemowymi i antysystemowymi organizacjami opozycyjnymi nie opiera się jedynie na tym, czy wchodzą one w interakcje z rządzącym reżimem, czy też nie. Zdaniem badaczki, pozycja antysystemowa w Rosji obejmuje organizacje, które deklarują potrzebę zmiany istniejącego systemu politycznego i aktywnie działają na rzecz tej zmiany.

– Nawalny nie jest częścią systemu. Jest zupełnym outsiderem. On rzuca wyzwanie systemowi – potwierdza Catherine Belton. Ale zwraca też uwagę na fakt, że w pewnym sensie został do tego zmuszony. – Jest całkiem możliwe, że gdyby pozwolono mu zarejestrować się jako kandydat, mógłby stać się członkiem opozycji systemowej. Brał przecież udział w wyborach na mera Moskwy w 2013 roku, gdy mu na to pozwolono.

– Nawalny jest jedynym rosyjskim politykiem, którego spotkałam, a spotkałam wielu, w tym Putina, który rzeczywiście, gdy się widzimy, zadaje mi pytania o Francję, politykę europejską i słucha moich opinii, moich rad – podkreśla Mendras. Ta otwartość odróżnia nowe pokolenie polityków opozycji od ich starszych kolegów. Liderzy nowej opozycji są bardziej zaangażowani w dialog, gotowi nie tylko mówić, ale i słuchać.

Umiejętność słuchania widoczna jest także w innej cesze, o której pisze Nadskakuła-Kaczmarczyk. Nowa opozycja chce pokazać, że jest „z ludem". Takie podejście przekłada się oczywiście na jej zaangażowanie w rosyjskich regionach, obecność „na miejscu". Ale w przypadku struktur Nawalnego prowadziło to również do tworzenia projektów mających na celu wsparcie obywateli, formowanie swoistego „równoległego państwa".

Trzeci kluczowy punkt to technologie cyfrowe.

– Należy podkreślić, że drużyna Nawalnego fantastycznie opanowała sieci społecznościowe, to zresztą cecha całej rosyjskiej opozycji – mówi Mendras. – To po prostu niesamowite, co udało im się osiągnąć. Wymyślili na nowo narzędzia internetowe, blogi, sieci społecznościowe. To jest wielka część ich sukcesu.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Ostatnim ważnym *novum* jest baza dla działań nowej opozycji rosyjskiej. Nadskakuła-Kaczmarczyk podkreśla, że analizując poszczególne grupy opozycji antysystemowej w Rosji, należy przyjrzeć się strategiom działania liderów innych ugrupowań. To strategie zaangażowania, a nie programy polityczne są kluczowe dla scharakteryzowania poszczególnych grup.

Jak mówi Belton, jest to rezultat działań Kremla uniemożliwiających drużynie Nawalnego lub jemu samemu oficjalne zaangażowanie w rosyjską politykę.

– Nie jestem pewna, czy widzi on sens w posiadaniu programu, skoro ani jemu, ani jego partii nie wolno startować w wyborach. Jaki jest pożytek z pracy nad programem, skoro nie wolno kandydować? – pyta Belton.

– Brak ideologicznego programu politycznego nie oznacza, że sieć Nawalnego działa bez politycznego kierunku. Mają strategię – mówi dr Mendras. – Mają jasne, praktyczne cele: koniec reżimu Putina, a następnie wolne i uczciwe pluralistyczne wybory, które zadecydują o nowych ramach konstytucyjnych.

Nawalny nie jest częścią systemu. Jest zupełnym outsiderem. On rzuca wyzwanie systemowi.

Strategia ruchu koncentruje się na podważaniu pozycji rosyjskiego reżimu przez pokazanie ludności Rosji, że rządzą nią „złodzieje i oszuści", jak głosi slogan ukuty przez Nawalnego.

– Na poziomie bardziej politycznym misją jest próba podważenia monopolu władzy i popieranie w wyborach kandydatów, którzy mogą rzucić wyzwanie rządzącej partii Jedna Rosja – wyjaśnia autorka *Ludzi Putina*.

Jednocześnie, na co zwracają uwagę zarówno Belton, jak i Mendras, zdarzały się przypadki, gdy sieci Nawalnego przygotowywały platformę polityczną. Pierwszy raz, gdy ubiegał się o stanowisko mera Moskwy w 2013 roku. Następnie w 2018 roku zespół Nawalnego przygotował projekt programu wyborczego, który poruszał różne kwestie: reformę gospodarczą, reformę ochrony socjalnej i usług społecznych, zmiany w systemie politycznym i strukturach prawnych. Wreszcie w 2020 roku jego zespół przygotował projekt reakcji na gospodarcze skutki pandemii COVID-19. Dokumenty te pozostały jednak platformami politycznymi, przygotowanymi pod konkretne wydarzenia polityczne. Nie przekształciły się w pełnowymiarowy, oparty na ideologii program polityczny, który byłby wspólny dla całego ruchu i przedstawiany jako podsumowanie jego celów.

– Wciąż stoi przed nimi wyzwanie opracowania spójnego programu politycznego, ekonomicznego, instytucjonalnego, społecznego – mówi Mendras. – Dobra wiadomość jest taka, że nigdy nie będą mieli doktryny ani nie narzucą ideologii, ale ustalą priorytety i będą przestrzegać podstawowych zasad praworządności – uważa francuska uczona.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Walka z korupcją i zamiatanie podwórek

Oczywiście, strategia działania określa sposób, w jaki Nawalny i jego zespół stworzyli sieć organizacji.

– Głównym nośnikiem ich działań jest Fundacja Walki z Korupcją – mówi Catherine Belton, podkreślając efektywność tej sieci. – Myślę, że dość skutecznie zbudowała ona ruch oddolny, bardzo mocno zakorzeniony w regionach, napędzany przez internet.

Marie Mendras zwraca uwagę na dokładność, z jaką Nawalny i jego zespół prowadzą śledztwa.

– On nigdy nie oskarża bezpodstawnie – mówi Mendras. – Potrzebuje faktów, dowodów, materiałów. Dopiero potem je upublicznia. Nikt mu nigdy nie udowodnił, że się myli. Nigdy.

Fundusz został utworzony pod koniec 2011 roku. Jego ambicją jest bycie „jedyną w Rosji organizacją non profit, która zajmuje się badaniem, ujawnianiem i przeciwdziałaniem przestępstwom korupcyjnym w najwyższych organach władzy".

Mendras podkreśla:

– To, co jest wyjątkowe w przypadku Nawalnego, to fakt, że nie da się odróżnić lidera politycznego od prawnika i śledczego antykorupcyjnego. Nie można oddzielić walki o przestrzeganie prawa, walki z korupcją i o niezależne sądy od działania w celu podważania politycznej legitymizacji Putina i jego reżimu.

W rezultacie AWK to nie tylko organizacja antykorupcyjna. RosPił skupia się na konkretnej części walki antykorupcyjnej, zgłaszaniu możliwych schematów korupcyjnych w przetargach powyżej 59,1 miliarda rubli. RosDziura pozwala na automatyczne składanie skarg na uszkodzoną infrastrukturę drogową do administracji lokalnej. Wreszcie RosKomunalny to instrument do składania skarg dotyczących problemów z obiektami użyteczności publicznej: brak dostępu do ciepłej wody, przeciekające dachy, niepoposprzątane podwórka. Projekty te powstały mniej więcej w tym samym czasie co Fundusz. Wzmacniają wizerunek sieci jako projektu nastawionego na wspieranie zwykłych obywateli.

Do bardziej szczegółowych projektów, które powstały później, należał projekt ustawy zabraniającej urzędnikom i pracownikom korporacji rządowych kupowania za środki państwowe samochodów droższych niż 1,5 miliona rubli. W czasie protestów przeciwko podwyższeniu wieku emerytalnego powstała strona internetowa Pensiya.org. Umożliwiała wysłanie protestu przeciwko tej zmianie do losowo wybranego deputowanego Dumy, który głosował za ustawą.

Catherine Belton zwraca uwagę na inne, stosunkowo niedawne rozszerzenie działalności AWK:

eprasa.pl b62d9b2f9d

– Dużo rozmawiają z liderami niezależnych związków zawodowych. Gospodarka Rosji słabnie, a poziom życia ludzi raczej się pogarsza, niż poprawia. I to może pewnego dnia stanowić duże zagrożenie dla Kremla.

– Związek Zawodowy Nawalnego zrzesza związki zawodowe Sojusz Lekarzy i Sojusz Nauczycieli, wspierając rosyjskich profesjonalistów w uzyskaniu sprawiedliwego traktowania w miejscu pracy – mówi Władimir Aszurkow. Organizacja powstała w 2019 roku, ale funkcjonuje – przynajmniej oficjalnie – poza parasolem FWK.

Na koniec należy wspomnieć o niezarejestrowanej partii, której Nawalny oficjalnie przewodzi. Zespół Nawalnego od 2012 roku podjął dziewięć prób zarejestrowania tego podmiotu. Zmieniał on nazwy: od początkowego Sojuszu Ludowego, przez Partię Postępu, do ostatecznie Partii Przyszłej Rosji.

– Władze odmówiły rejestracji dziewięć razy – mówi Aszurkow. – Obecnie politycznym ramieniem naszej organizacji jest sieć oddziałów regionalnych, stworzona podczas kampanii prezydenckiej Nawalnego w latach 2017–2018.

Poza Moskwą

Według Catherine Belton, ponieważ to właśnie korupcja pozostaje głównym przedmiotem zainteresowania zespołu Nawalnego, rozwój sieci w regionach był początkowo również efektem przeniesienia się Fundacji na te tereny. Internet, jak podkreśla, umożliwił rozpowszechnianie filmów demaskujących korupcję w rosyjskich elitach władzy. Śledztwa prowadzone przez zespół Nawalnego zainspirowały ruchy oddolne, których wzrost był również wspierany przez aktywność rosnącej liczby działaczy FWK.

Inny projekt pod parasolem FWK, który przyczynił się do wzmocnienia lokalnych oddziałów, to RosWybory. Został on stworzony w celu przygotowania niezależnych obserwatorów do wyborów w 2012 roku i koordynował pracę 12–17 tysięcy obserwatorów podczas wyborów w całej Rosji.

– Polityczna część FWK została przetestowana podczas wyborów mera Moskwy w 2013 roku i pozwoliła na stworzenie dynamicznej struktury wsparcia, która pomogła Nawalnemu zdobyć 27 procent głosów, choć miał status oskarżonego. Pokazało to, jak skuteczna może być sieć i jak bardzo aktywista stał się znany w dużych miastach. To był punkt zwrotny dla organizacji Nawalnego – mówi Mendras.

Ale wciąż miało to miejsce w Moskwie, która jest „państwem samym w sobie", podobnie jak większość metropolii.

„Test" zaangażowania regionalnego miał miejsce w 2017 i 2018 roku. Sieć miała zrealizować dwa zadania i skoordynować je w regionach. Po pierwsze, aktywiści musieli przygotować się do kampanii prezydenckiej Nawalnego, po drugie, zorga-

eprasa.pl b62d9b2f9d

nizować protesty antykorupcyjne. Nadskakuła-Kaczmarczyk pisze, że protesty organizowane przez ekipy Nawalnego w 2017 i 2018 roku były największe spośród inicjowanych przez opozycję antysystemową w tym czasie.

Protesty w marcu 2017 roku zostały wywołane publikacją filmu *On wam nie diemon*, który przedstawia luksusowy styl życia premiera Dmitrija Miedwiediewa. Premiera odbyła się w dziewięćdziesięciu dziewięciu miastach w całej Rosji. W tym czasie istniało tylko trzynaście lokalnych komitetów wyborczych Nawalnego. Druga fala protestów w czerwcu 2017 roku objęła sto pięćdziesiąt cztery miasta (otwarto czterdzieści sześć komitetów). W październiku protesty popierające Nawalnego jako kandydata odbyły się w siedemdziesięciu dziewięciu miastach (dokładnie tam, gdzie znajdowały się komitety Nawalnego). Protesty w styczniu 2018 roku wzywające do „strajku wyborczego" zgromadziły ludzi w stu osiemnastu miastach. Wreszcie, po sfałszowanych wyborach, protesty w maju 2018 roku odbyły się w dziewięćdziesięciu miastach. Należy jednak pamiętać, że liczba protestujących różniła się w zależności od miasta.

– To był kolejny punkt zwrotny – mówi Mendras. – Efekt kuli śnieżnej. Wideo FWK zainicjowało protesty. Potem Putin znów sfałszował wybory. A latem 2018 roku odbył się największy protest społeczny przeciwko reformie emerytalnej. Putinowi i jego rządowi udało się doprowadzić miliony ludzi do wyjścia na ulicę i zaprotestowania przeciw ich decyzji, aż w końcu rząd zmienił ustawę.

W kwietniu 2018 roku sieć zrestrukturyzowała oddziały regionalne. Ze względów finansowych nie udało się utrzymać osiemdziesięciu jeden komitetów. Postanowiono zachować dwadzieścia dziewięć najbardziej aktywnych przedstawicielstw regionalnych, a szesnaście innych wybrało pracę bez wynagrodzenia. Jak wyjaśnia Władimir Aszurkow:

– Nasze obywatelskie i polityczne grupy to zespół ponad dwustu pełnoetatowych pracowników w całej Rosji i tysiące wolontariuszy koncentrujących się na lokalnych problemach i podejmujących działania możliwe do zrealizowania w ich regionach. Fakt, że w styczniu 2021 roku z powodzeniem zorganizowaliśmy wiece w prawie dwustu miastach, pokazuje siłę naszej sieci.

Najokrutniejszy miesiąc to wrzesień

Na konsolidację sieci Nawalnego państwo rosyjskie odpowiedziało prześladowaniem przywódców centralnych i regionalnych, czemu towarzyszyła kampania oszczerstw przeciwko Nawalnemu i jego współpracownikom. W październiku 2019 roku FWK została wpisana na listę „zagranicznych agentów". Aleksiej Nawalny został otruty w sierpniu 2020 roku, a po powrocie do Rosji w 2021 roku – aresztowa-

eprasa.pl b62d9b2f9d

ny. Jego najbliższy współpracownik Leonid Wołkow pozostaje na wygnaniu. Lubow Sobol przebywa w areszcie domowym.

Zapytany o przyszłość organizacji, Władimir Aszurkow odpowiada:

– Jesteśmy teraz jeszcze bardziej zmotywowani do walki o przyszłość naszego kraju. Mamy kilka dużych, aktywnych inicjatyw, które działają i są finansowane indywidualnie. W tej chwili Leonid Wołkow nadal kieruje siecią biur regionalnych w całej Rosji. Jest również odpowiedzialny za organizację wieców i imprez, a także za system inteligentnego głosowania [wprowadzony przez sieć Nawalnego w 2018 roku, zakładający głosowanie na dowolnego najsilniejszego kandydata, który nie startuje z ramienia Jednej Rosji – przyp. aut.]. Iwan Żdanow nadal kieruje FWK.

Wszyscy zastanawiają się, co się stanie przed wrześniowymi wyborami do Dumy.

– Nawalny podkreśla, że teraz ważne jest, aby osłabić, a nawet zniszczyć większościowy udział Jednej Rosji w parlamencie. Putin utrzymuje władzę dzięki sieci Jednej Rosji w regionach, na poziomie miejskim lub regionalnym – stwierdza Catherine Belton. – Jakie będą ruchy Kremla? Rosyjskie władze mają teraz ponad sześć miesięcy na to, aby spróbować zszargać reputację liderów ruchu Nawalnego, wyciągnąć brudy na każdego z nich. Mogą przeinaczać informacje i próbować używać oszczerstw. Widzieliśmy to już na przykładzie działań Kremla, który twierdził, że Nawalny oczernił weterana II wojny światowej. Próbują wszystkiego, co mogą, aby zdławić ten ruch.

Brytyjska autorka podkreśla, że kolejną ważną kwestią jest zmiana pokoleniowa w Rosji:

– Jak powiedział mi jeden z wysokich rangą urzędników Kremla, Putin i ludzie z jego otoczenia zbyt długo są u władzy. Młoda generacja nie rozumie już, kim oni są, co robią ani dlaczego wciąż rządzą Rosją.

Władimir Aszurkow mówi:

– Aleksiej przed aresztowaniem przedstawił jasny, wszechstronny, długoterminowy plan działania. Będziemy stosować naszą inicjatywę inteligentnego głosowania, aby odsunąć od władzy jak największą liczbę popieranych przez Kreml przedstawicieli Jednej Rosji. Zdajemy sobie sprawę, że potrzebujemy milionów wyborców, aby pokonać tę partię w nadchodzących wyborach, i wiemy, jak to osiągnąć.

Marie Mendras uważa, że Kreml prawie osiągnął już granicę tego, co może zrobić, nie ryzykując prawdziwego powstania w dużych miastach. Również z tego powodu wybory do Dumy są dla reżimu poważnym wyzwaniem.

Podkreśla, że Putin, jego rzecznik Dmitrij Pieskow czy inni wysocy rangą rosyjscy urzędnicy są coraz bardziej niespokojni.

– Mają bardzo mało opcji. Oczywiście, mogą łatwo przełożyć wybory pod pretekstem jakiejś nagłej sytuacji. Ale w ten sposób zyskają tylko na czasie. Drugą opcją

eprasa.pl b62d9b2f9d

jest przeprowadzenie wyborów i upewnienie się, że nie więcej niż czterech lub pięciu kandydatów opozycji zostanie wybranych w jednomandatowym okręgu wyborczym, i ewentualnie kilku „typowych podejrzanych" przez głosowanie proporcjonalne – mówi francuska uczona. – I tutaj największym problemem byłoby wstrzymanie się od głosu. Jeśli wykorzystasz wstrzymanie się od głosu, aby dodać głosy do urn, to będzie to jawne oszustwo, które zostanie potępione i prawdopodobnie doprowadzi do masowych protestów. Jednocześnie parlament wybrany w ten sposób będzie miał śmiesznie niską legitymizację.

Mendras uważa, że Kreml nie dopuści do władzy ludzi wpływowych.

– A po protestach w Białorusi będą uważniej przyglądać się kobietom. Wierzę, że reżim nie boi się sięgnąć po większą przemoc. Prawdziwym wyzwaniem dla społeczeństwa i liderów opozycji jest oparcie się spirali przemocy, ponieważ wiedzą, że jeśli zostaną w nią wciągnięci, to przegrają tę bitwę.

Cokolwiek Kreml czy siatka Nawalnego zrobią przed wrześniowymi wyborami, jedno jest pewne – reguły gry politycznej w Rosji się zmieniają. I to nie Kreml pisze nowe zasady.

Władimir Aszurkow jest rosyjskim politykiem opozycyjnym. W 2011 roku wraz z Aleksiejem Nawalnym założył fundację non profit Antykorupcja, której został dyrektorem wykonawczym. W 2014 roku w wyniku politycznie umotywowanych prześladowań karnych ze strony władz rosyjskich przeniósł się do Londynu, otrzymując w 2015 roku azyl polityczny.

Catherine Belton jest autorką książki *Putin's People. How the KGB Took Back Russia and Then Took on the West* (New York 2020). W latach 2007–2013 pracowała jako moskiewska korespondentka „Financial Times", a w 2016 roku jako korespondentka prawna tej gazety. Wcześniej pisała o Rosji dla „Moscow Times" i „Business Week".

Dr Marie Mendras jest pracowniczką naukową Centre national de la recherche scientifique (CNRS) i profesorem w Szkole Spraw Międzynarodowych Uniwersytetu Sciences Po w Paryżu. Członkini rady redakcyjnej czasopism „Esprit" (Paryż) i „Pro et Contra" (Moskwa) oraz Centrum UE–Rosja w Brukseli.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Pożegnanie z ZSRR

Waleria Kostiugowa

Białoruskie protesty stanowią natchnienie dla protestów w Rosji, a białoruskie władze zarażają rosyjskie strachem. I Łukaszenka, i Putin przeżywają demontaż stworzonych przez siebie reżimów politycznych, pomagając sobie wzajemnie sięgnąć dna.

Białoruskie i rosyjskie protesty (przy zasadniczym zróżnicowaniu ich podłoża politycznego) mają wspólną naturę socjologiczną. Rozwój nowych technologii, nowych segmentów gospodarki oraz nowa rola obywateli w gospodarce (zarówno jako konsumentów i konsumentek, jak i płatników i płatniczek podatków), wreszcie nowa współczesna etyka i w Białorusi, i w Rosji doprowadziły do zmiany stosunków społecznych. Zmiany te wydawały się niezauważalne, ale w dłuższej perspektywie doszło do fundamentalnej akumulacji potencjału transformacyjnego. Jednocześnie główne zasady organizujące stosunki państwa i społeczeństwa pozostały mniej więcej na takim samym poziomie jak w późnym Związku Radzieckim.

Białoruś i Rosja odziedziczyły i adaptowały różne elementy minionego systemu polityczno-ekonomicznego, jednak główne zasady współdziałania państwa i społeczeństwa w tej części przestrzeni poradzieckiej są wspólne. Są to: scentralizowany, wertykalny system zarządzania, przeważnie zbudowany na przymusie; nieuniknione zrost wielkiego biznesu i władzy; ograniczenia instytucjonalne, które wynikają z rządzącej zasady: „Jestem naczelnikiem, a ty głupkiem" – itd. Wraz z odejściem z historycznej sceny pokoleń, które wkraczały w życie społeczne jeszcze w czasach Związku Radzieckiego, zasady te nie tylko nie mogą zapewnić ich praktykom efektywnej adaptacji, ale też nie mogą być ani zrozumiane, ani przyjęte przez nowe pokolenia – na tyle bowiem mocno pozostają sprzeczne z owocną adaptacją społeczną.

Długotrwała stagnacja ekonomiczna, zniszczenie zintegrowanego systemu wartości, wreszcie pożądanej wizji przyszłości zrodziły w obywatelkach i obywatelach Białorusi i Rosji wrażenie, że władza w ich krajach jest przestarzała i słaba. Niezdolność Rosji do utrzymywania wpływów w Gruzji, Azerbejdżanie, Azji Centralnej, Mołdawii i Ukrainie – czyli prawie wszystkich krajach byłego ZSRR, na wcześniejszym poziomie wpływu to dowód na anachroniczność bazowej więzi imperialnej.

Przy czym większość autorytarnych reżimów, jak dowodzą eksperci, w dojrzałej formie, czyli mniej więcej dwadzieścia lat po ich „ustanowieniu", z reguły traci

eprasa.pl b62d9b2f9d

zdolność do hipnotyzowania obywateli i przekonywania ich do niezbędnych ofiar na rzecz „szczególnej drogi rozwoju". Wówczas władzy trudniej jest też ukrywać korupcję, własne okrucieństwo, kłamliwość i głupotę.

Tak oto społeczne uwarunkowania protestów w Białorusi i Rosji są zbieżne, jednak kontekst polityczny pozostaje odmienny.

Do tej pory rosyjski reżim prezentował lepszą niż białoruski zdolność adaptacyjną, zarówno w kwestii dopasowania się do nastrojów społecznych, jak i do trendów gospodarki światowej. Po upadku Związku Radzieckiego w Rosji trzykrotnie doszło do przekazania władzy. Klasa rządząca oparła się na częściowo niezależnym biznesie. Punktowo wykorzystuje kooptację opozycji do organów władzy, prowadzi też ofensywną politykę informacyjną oraz wykorzystuje nowe media. W Białorusi nie ma żadnych mechanizmów przekazywania władzy, wejście do klasy rządzącej wynika jedynie z nominacji prezydenta, zaś nieśmiała próba kooptacji opozycji odbyła się tylko raz – w 2016 roku, kiedy opozycji oddano dwa ze stu miejsc w parlamencie. Wysokie ryzyko związane z samodzielnym podejmowaniem – nawet najdrobniejszych – decyzji doprowadziło do tego, że w przejętych przez państwo mediach praktycznie przestano mówić o polityce. Nie przyjęły się nowe w stosunku do radzieckich formaty programów (było kilka prób prowadzenia autorskich *talk-show*, ale „naczalstwo" szybko z nich zrezygnowało), państwo nie zdołało opanować też internetu.

Na spotkaniach z Putinem Łukaszenka musi odgrywać rolę ucznia, który notuje na kolanie każde słowo naczelnika.

W roku 2020 putinowski reżim odnowił konstytucję, nauczył się, jak gasić protesty dzięki efektywnemu wykorzystywaniu nowych mediów i przemocy stosowanej punktowo. Do momentu aresztowania Aleksieja Nawalnego reżim Putina był traktowany jako stosunkowo prawomocny.

O bezprecedensowym męstwie Aleksieja Nawalnego świadczy powrót do Rosji i oddanie się w ręce tamtejszego wymiaru sprawiedliwości. Nawalnemu udało się nadszarpnąć legitymizację Putina, ale póki co wydaje się, że putinowski reżim musi popełnić więcej błędów (w tym również podczas kampanii politycznej), żeby wątpliwości co do tego, że Putin ma prawo mówić w imieniu państwa zyskały w społeczeństwie dominację.

W tym samym czasie Łukaszence nie udało się 9 sierpnia 2020 roku wygrać wyborów. Aresztował swoich głównych konkurentów i przegrał kampanię informacyjną. Z tamtego czasu pozostał taki obraz: Swiatłana Cichanouska ciesząca się masowym poparciem wyborców i wyborczyń, kolejki do lokali wyborczych, gigantyczne akcje protestu. Reżim odpowiedział masową przemocą. W okresie powyborczym

eprasa.pl b62d9b2f9d

wypełnił ulice białoruskich miast wojskowym sprzętem i żołnierzami w nieoznakowanych mundurach. Wszystko to w decydujący sposób poderwało legitymizację reżimu Łukaszenki, a teraz *de facto* jedynym jego umocowaniem jest Władimir Putin. To właśnie dlatego na spotkaniach z Putinem Łukaszenka musi odgrywać rolę ucznia, który notuje na kolanie każde słowo naczelnika.

Długotrwała stagnacja ekonomiczna, zniszczenie zintegrowanego systemu wartości, wreszcie pożądanej wizji przyszłości zrodziły w obywatelkach i obywatelach Białorusi i Rosji wrażenie, że władza w ich krajach jest przestarzała i słaba.

Prawomocność Putina pozostaje wysoka nie tylko w oczach Rosjan, ale też Białorusinów. Słabnie jednak z powodu jednoznacznego poparcia, którego Kreml udzielił Łukaszence.

Póki co trudno przewidzieć, jaką linię przyjmie Putin podczas nadchodzących wyborów do Dumy Państwowej. Należy zaznaczyć, że inteligentne głosowanie (proponowane przez Nawalnego) stawia Kreml pod ścianą. Inteligentne głosowanie ma na celu wsparcie najsilniejszego kandydata opozycyjnego wobec Jednej Rosji, niezależnie od jego poglądów politycznych. Jest duża szansa, że wskutek wzrostu popularności Nawalnego kandydatki i kandydaci wielu partii opozycyjnych i ugrupowań (z wyłączeniem Jabłoka) poprą schemat inteligentnego głosowania. To znaczy, będą agitować nie w swojej sprawie, a na najsilniejsze kontrkandydatki i kontrkandydatów Kremla.

Przy masowym głosowaniu na alternatywnych kandydatów i kandydatki Kreml będzie musiał albo dopuścić ich do Dumy, co da rosyjskiej opozycji poczucie zwycięstwa, albo zrezygnować z kooptacji „konstruktywnej" opozycji – czyli Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji, sił prawicowych – itd., a to zmieni charakter reżimu i obniży poziom jego adaptacji. Przy czym dowolna decyzja Kremla – przy wysokiej frekwencji – zwiększa prawdopodobieństwo masowych protestów przy nieuniknionych usterkach w machnie fałszerstw.

Należy także zauważyć, że tak jak białoruski protest stanowi natchnienie dla rosyjskiego, podobnie białoruskie władze zarażają rosyjskie władze strachem przed współczesnością. Zarażają też autodestrukcyjną nienawiścią. I Łukaszenka, i Putin przeżywają demontaż stworzonych przez siebie reżimów politycznych, pomagając sobie wzajemnie sięgnąć dna.

Przełożyła Anna Łazar

Waleria Kostiugowa jest komentatorką polityczną. Redaktorka strony internetowej „Nasze mnienie". Zajmuje się relacjami białorusko-rosyjskimi.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Nowa klasa bitych

Z Aleksandrem Papką, białoruskim analitykiem,
rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Jakie nastroje panują w szeregach białoruskiej opozycji po pierwszym półroczu protestów?

ALEKSANDER PAPKO: 9 lutego Swiatłana Cichanouska i Paweł Łatuszka opublikowali wspólną strategię opozycji. W głównej mierze zakłada ona wywieranie presji na białoruski reżim przez organizacje międzynarodowe, przeciąganie na swoją stronę urzędników i przedstawicieli struktur siłowych oraz przygotowanie strajku generalnego. Od wiosny ma zacząć się znowu zdecydowany nacisk na białoruskie władze. Trudno oczekiwać od razu szczegółów. Zresztą nie ma co ułatwiać zadania białoruskim służbom specjalnym, które z pewnością znowu zechcą pacyfikować protesty. Poza tym strategia nie ma na celu ukierunkowania zdarzeń, a raczej ma być odpowiedzią na zachodzący od miesięcy na Białorusi proces społeczny. I Cichanouska, i Paweł Łatuszka są jego wytworami.

Strategia zakłada wszystko to, co niestety okazało się nieskuteczne. Zarówno naciski międzynarodowe, przeciąganie funkcjonariuszy państwowych na stronę opozycji, jak i strajk generalny.

Jeśliby spojrzeć na to, co wydarzyło się na Białorusi w ostatnim czasie, i jaki jest tego finał, to można rzecz jasna rozpatrywać rezultaty protestów w kategorii porażki. Protesty mają być wznowione 25 marca, czyli w Dzień Niepodległości Białorusi, świętowany przez opozycję, przemilczany przez reżim. Już teraz służby prowadzą liczne działania: aresztują ewentualnych demonstrantów, chcąc prewencyjnie zdusić ponowny masowy bunt na ulicach. Jednak raczej wątpliwe jest, żeby powstrzymało to Białorusinów przed wznowieniem demonstracji. Zarówno władzę, jak i opozycję niesie fala procesów społecznych, na które obydwie strony mają ograniczony wpływ. Opozycja będzie reagowała aktywnie na postawę białoruskiego społeczeństwa.

Trudno wszystko kontrolować i na wszystko wpływać, jednak pewne procesy można inicjować. Ubiegłoroczne protesty były spontaniczne. Jednak czy w Białorusinach nie wygasł rewolucyjny żar?

Oczywiście, po pół roku finalnie nieudanych protestów wielu ludzi zwątpiło i odstąpiło od aktywnych praktyk opozycyjnych. Dzisiaj lokalne, osiedlowe protesty wynikają z tego, że ludzie nie ty-

eprasa.pl b62d9b2f9d

le myślą o osłabieniu reżimu, ile o byciu wśród podobnie myślących, poczuciu więzi. Obecne aktywności mają przede wszystkim podłoże psychologiczne. Władze intuicyjnie to rozumieją i chcą zniszczyć solidarność pomiędzy ludźmi. Ale rządzącym to się nie udaje, dlatego że dziesiątki tysięcy ludzi poczuło, czym są represje, to zbudowało ich solidarność. Na Białorusi rozróżnienie na „oni", czyli władza, oraz „my", czyli społeczeństwo, stało się klarowne, tak samo jako w Polsce w latach osiemdziesiątych XX wieku.

Jednak trzeba pamiętać, że na oddanie władzy przez komunistów w Polsce trzeba było czekać niemal dekadę. Czy nie obawiasz się, że analogicznie może być na Białorusi? I czy gotowość Białorusinów do walki o zmianę nie wypali się, za to pojawi się marazm, zwątpienie, konflikty w szeregach opozycji? Czy nadal cała opozycja popiera Swiatłanę Cichanouską?

Oczywiście, że będzie marazm. Reżim, który nie ma poparcia społecznego, przy wsparciu zewnętrznym i aparatu represji, może funkcjonować jeszcze wiele lat. W jaki sposób ludzie będą na to reagowali? Już mamy do czynienia z wielką falą emigracji z Białorusi, co jest też częścią protestu. Emigranci nie chcą wspierać reżimu podatkami. Ponadto obserwujemy narodziny prawdziwego narodu, czyli ludzi mających to samo doświadczenie polityczne i mniej więcej jedną wizję polityczną. Wcześniej tego nie było. Często mówiło się, że jest państwo, ale nie ma narodu. Teraz jest jakby na odwrót – narodził się naród, a państwo skurczyło się do Łukaszenki i aparatu bezpieczeństwa. Społeczeństwo zjednoczone doświadczeniem represji zaczyna myśleć o sobie autonomicznie. Ma nieufny stosunek do państwa, niczego od niego nie oczekuje, a wręcz zaczyna się organizować, aby się przed nim bronić. Następuje samoorganizacja. Jest to bolesny proces. Niemal każdy naród europejski przechodził przez niego, doświadczał tragedii, które łączyły ludzi. Będzie marazm, będzie emigracja, ale nie będzie powrotu do *status quo*, kiedy reżim odpowiadał interesom dużej części białoruskiego społeczeństwa. Reżim nie odzyska zaufania społecznego.

Rada Koordynacyjna, która zadeklarowała, że podejmie negocjacje pomiędzy Swiatłaną Cichanouską a Aleksandrem Łukaszenką w sprawie pokojowego przekazania władzy, jest martwa. Wyłoniły się dwa ośrodki. Pierwszy skupiony jest wokół Swiatłany Cichanouskiej. Zebrała ona aktywistów ugrupowania Za Wolność i Zjednoczonej Partii Obywatelskiej oraz młodych ekspertów i technokratów, takich jak na przykład Franak Wiaczorka, który był doradcą Atlantic Council. To ich głosem mówi Swiatłana Cichanouska. Jest jak białoruski Lech Wałęsa. To osoba, która przypadkowo znalazła się w pierwszej politycznej lidze. Reprezentuje na Białorusi – tak jak Wałęsa w latach osiemdziesiątych w PRL – przeciętnego obywatela. Pomimo wykształcenia

eprasa.pl b62d9b2f9d



Archiwum prywatne

Swiatłana Cichanouska jest jak białoruski Lech Wałęsa. To osoba, która przypadkowo znalazła się w pierwszej politycznej lidze. Reprezentuje na Białorusi – tak jak Wałęsa w latach osiemdziesiątych w PRL – przeciętnego obywatela. Pomimo wykształcenia i władania językiem angielskim była gospodynią domową.

i władania językiem angielskim była gospodynią domową. Oprócz emancypacji białoruskiego społeczeństwa mamy do czynienia również z emancypacją kobiet na Białorusi. Autorytarny łukaszenkowski reżim jest mizoginistyczny. Cichanouska jest symbolem przemian. Dwadzieścia sześć lat temu przeciętny Białorusin identyfikował się z Aleksandrem Łukaszenką, dzisiaj identyfikuje się ze Swiatłaną Cichanouską. Drugi ośrodek skupia się wokół Pawła Łatuszki, byłego ministra kultury i dyplomaty. Należą do niego byli urzędnicy państwowi, którzy byli częścią reżimu Łukaszenki.

Eksperci i członkowie „starej opozycji" nie spodziewali się, że w 2020 roku przeciwko Łukaszence powstaną te dwie grupy ludzi. Nie mieli wcześniej doświadczenia represji. Są to grupy „niebitych". Nie pamiętają, co wydarzyło się w 2004, 2006 czy 2010 roku. Nie uczestniczyli w procesach politycznych, byli apolityczni. Nawet nie wiedzieli, jakich środków może użyć Łukaszenka. Dlatego wyszli masowo na ulice.

Czy Swiatłana Cichanouska ma cały czas poparcie środowiska Wiktara Babaryki i Maryi Kalesnikawej?

Oni znajdują się pomiędzy tymi dwoma wspomnianymi przeze mnie środowiskami. Nie chcą się wyodrębniać. Nikt ze sztabu Babaryki nie oczekiwał takiej reakcji społecznej. Kandydat nie walczył o zwycięstwo. Chciał raczej liberalizacji systemu politycznego. Łukaszenka mówił wtedy o zmianie konstytucji, możliwości zakładania nowych partii politycznych. Rosja też na to naciskała. Wszyscy spodziewali się, że system zacznie przypominać ten kazachski. Na to liczyła klasa średnia i średni szczebel urzędników. Wyszło inaczej. Nikt o tym już nie myśli. Koniec końców, środowisko to dołączyło do „zjednoczonego sztabu" i wsparło Swiatłanę Cichanouską. Dzisiaj znajdują się raczej w otoczeniu wspomnianych dwóch grup, nie przynależą ściśle do którejś z nich.

Jest jeszcze trzecie środowisko opozycyjne – grupy społeczne, takie jak ByPol (organizacja białoruskich mundurowych, którzy porzucili służbę reżimowi), BySol (fundusz solidarności dla osób represjonowanych na Białorusi) i ByHelp (pomoc ofiarom represji na Białorusi). Podmioty te wspomagały również osoby, które zdecydowały się na strajk. Władze białoruskie robiły wszystko, żeby je wyeliminować, zmusić do zaprzestania działalności. Białoruskie służby uważały, że najpierw trzeba zamknąć liderów, a potem odciąć źródła finansowania. Bez pieniędzy żadna aktywność społeczna nie będzie miała szans.

Czy pomiędzy tymi ośrodkami opozycyjnymi nie ma konfliktów? Czy w dalszym ciągu zachowują jedność?

Tak. Teraz po prostu dochodzi do ich krzepnięcia. Środowiska Cichanouskiej i Łatuszki są odmienne. Jedno stacjonuje na Litwie, drugie w Polsce. Cichanouska jest bardziej skuteczna, jeśli chodzi o promowanie sprawy białoruskiej

eprasa.pl b62d9b2f9d

na arenie międzynarodowej, natomiast Łatuszka w rozbudowie struktur opozycyjnych.

Czy opozycja nie chce zadeklarować, kto konkretnie będzie kandydatem na prezydenta Białorusi po odsunięciu od władzy Łukaszenki?

Obecnie celem jest zjednoczenie wszystkich prześladowanych przez białoruski reżim. A jeśli dojdzie do wyborów, wystartują w nich wszyscy chętni kandydaci. Celem opozycji jest doprowadzenie do powtórzonych wyborów prezydenckich. Ponadto Cichanouska i Łatuszka zaprezentowali nowy projekt konstytucji Białorusi, który opiera się na propozycji przedstawionej kilka lat temu przez Zjednoczoną Partię Obywatelską.

Co zakłada?

Białoruś miałaby przejść od rządów prezydenckich do parlamentarno-gabinetowych. Rzecz jasna, nie jest to nowy pomysł. Ponadto w ustawie zasadniczej znalazłyby się zapisy zabezpieczające przed powrotem do autorytarnego modelu władzy. Między innymi ograniczona zostałaby liczba kadencji prezydenta.

W jaki sposób ośrodki opozycji na Litwie i w Polsce wspierają represjonowanych Białorusinów pozostających na Białorusi?

Skala pomocy rodaków z zagranicy dla Białorusinów w kraju jest niespotykana w historii. ByHelp zebrała dotychczas 3,5 miliona dolarów.

W jaki sposób te środki są przekazywane potrzebującym?

W sierpniu ubiegłego roku, kiedy pomoc była potrzebna natychmiastowo, aby pokryć mandaty nałożone przez reżim, kilka tysięcy Białorusinów otrzymało przelewy bankowe bezpośrednio na swoje konta. Władze, które zdały sobie sprawę, że osoby te dostały wsparcie, nakazały im raz jeszcze uregulować kary pieniężne. Toczyły się przeciwko nim śledztwa dotyczące finansowania masowych zamieszek. Ta szybko zorganizowana pomoc okazała się niebezpieczna. Zmieniono sposób działania i teraz pieniądze przekazywane są przez osoby prywatne bezpośrednio do rąk potrzebujących. Problem tylko w tym, że poszkodowanych jest kilkadziesiąt tysięcy i proces dostarczania środków będzie pewnie jeszcze trwał kilka miesięcy.

Jaka jest skala represji reżimu wobec opozycji? Jak władza próbuje zastraszyć opozycję?

Wszczęto około 2,5 tysiąca spraw karnych dotyczących „masowych zamieszek". Jest to niespotykana skala represji. Dwieście sześćdziesiąt jeden osób uznano za więźniów politycznych. Setki ludzi przebywają w aresztach i czekają na procesy. Nie ma wyroków uniewinniających. Można oczekiwać, że za rok na Białorusi będzie kilka tysięcy więźniów politycznych. Jeśli chodzi o prześladowania mediów, to w ostatnim czasie dwie dziennikarki Biełsatu zostały skazane na karę pozbawienia wolności. W aresztach śled-

eprasa.pl b62d9b2f9d

czych przebywa dziewięciu dziennikarzy. Około 35 tysięcy osób ukarano aresztami od początku protestów. Według Białoruskiego Komitetu Śledczego, wszczętych zostało około 2400 spraw karnych przeciwko demonstrantom. Wszystkie osoby, które zostały zidentyfikowane w czasie protestów, pokazowo ukarano, żeby ich oraz kolejnych chętnych do demonstrowania zniechęcić. Przykładowo na dwa lata więzienia został skazany młody mężczyzna, który w czasie protestów wspiął się na milicyjną ciężarówkę. Władze starają się ukarać najostrzej nawet nie tyle dziennikarzy czy aktywistów, ile zwykłych demonstrantów. Przed nadchodzącą wiosną władze będą aresztować ludzi prewencyjnie na podstawie przygotowanych list opozycjonistów. Trudno powiedzieć, czy to się okaże skuteczne. Na pewno nie rozwiąże głównego problemu, czyli braku pieniędzy i znienawidzenia reżimu przez społeczeństwo.

Jakie są oczekiwania białoruskiej opozycji oraz zwykłych Białorusinów wobec społeczności międzynarodowej?

Białorusini oczekują wprowadzenia przez Zachód sankcji wobec reżimu. Satysfakcja z ich nałożenia ma raczej charakter psychologiczny. To, co wydarzyło się na Białorusi, jest skutkiem pewnych długofalowych procesów. Jednym z nich jest obumieranie sektora państwowego, polegające na przechodzeniu ludzi z budżetówki do sektora prywatnego lub emigracji za granicę. Dzięki pracy i nauce w krajach za Bugiem zwiększyła się znacząco liczba kontaktów Białorusinów z Zachodem. Kierunek wschodni przestał być najatrakcyjniejszy. Skutkuje to umiędzynarodowieniem społeczeństwa. Obumieranie sektora państwowego spowodowane jest między innymi ograniczeniem rosyjskich subsydiów. W Unii Europejskiej sytuacja jest lepsza, dlatego tam Białorusini wyjeżdżają do pracy. To, co świat może robić, to wspierać sektor prywatny.

A co świat może zrobić tu i teraz, żeby wspomóc białoruską opozycję w jej walce o demokratyzację państwa?

Po pierwsze, wspomóc represjonowanych, którzy uciekają z Białorusi. Ale nie tyle finansowo, ile dając im możliwość pracy w krajach, do których wyjechali, i zapewniając tam mieszkania. Po drugie, należy wspomóc organizacje pozarządowe na Białorusi i dziennikarzy. Po ostatnich protestach poziom zaufania do mediów państwowych zmalał z 40 procent do 16 procent. Za to niezależnym mediom ufa aż 76 procent Białorusinów. Świat musi wywierać presję na Rosję, która jest jedynym zasobem i wsparciem dla Łukaszenki. Należy odciąć Mińsk od finansowania z Moskwy i uniemożliwić Rosji ingerowanie w sprawy Białorusi. Należy wywierać presję na Putina.

W jaki sposób Zachód może wywierać wspomnianą presję na rosyjskie władze?

eprasa.pl b62d9b2f9d

W taki sam, jak czyni to po otruciu Aleksieja Nawalnego, czyli wprowadzając sankcje finansowe, które powinny być cały czas poszerzane. Zachód grozi również Rosji wyłączeniem systemu SWIFT. Jednak jest prawdopodobne, że w przypadku zmiany władzy na Białorusi będziemy mieli niestety do czynienia z rosyjską interwencją militarną.

Jaki stosunek do tego, co się działo w ostatnich miesiącach na Białorusi, ma tzw. stara opozycja, czyli partie i działacze, którzy sprzeciwiali się reżimowi Łukaszenki jeszcze w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych?

Większość tzw. starej opozycji, czyli partie takie jak Białoruski Front Narodowy, Za Wolność, Sprawiedliwy Świat, pozostała na uboczu. Tylko niektórzy z dawnych liderów dołączyli do nowej opozycji. Sporo ludzi Zjednoczonej Partii Obywatelskiej wsparło ekipę Swiatłany Cichanouskiej. Można powiedzieć, że wskoczyli już do rozpędzonego pociągu. Pasywność większości dawnych działaczy wynikała z obawy o własne bezpieczeństwo. Pamiętali, jak brutalnie reżim rozpędził protesty powyborcze w 2006 i 2010 roku. Ponadto nie wierzyli w wybuch społeczny, podobnie jak większość białoruskich ekspertów. Stara opozycja miała inną bazę społeczną niż nowa. Jest spadkobierczynią dawnych partii politycznych, które działały na Białorusi w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Ich liderzy mają doświadczenie parlamentarne. Walczyli z reżimem przez lata w sposób zinstytucjonalizowany, zachowując stare struktury. Ich baza społeczna była zawsze represjonowana. Jednak to doświadczenie represji nie obejmowało szerszych kręgów społecznych.

Starą i nową opozycję różni chyba również profil geopolityczny. Dawni opozycjoniści byli zdecydowanie prozachodni, natomiast obecni starają się zachować neutralność w tym względzie.

To prawda, jednak wybór geopolityczny dla Białorusinów nie jest aż tak ważny. Białorusini są pragmatyczni. Nie sądzę, aby prozachodnia orientacja była specjalnym straszakiem wobec większości społeczeństwa. Dawna opozycja była już na tyle zmęczona i zastraszona, że nie miała siły ponownie wyjść na ulicę i walczyć o wolność i demokrację. Poza tym nie miała kontaktów z nową klasą średnią, chociażby osobami pracującymi w sektorze IT czy pracownikami największych zakładów. A nowa opozycja bazuje na tych ludziach. Swiatłana Cichanouska nie ma doświadczenia politycznego. Ekipa Wiktara Babaryki to ludzie mający doświadczenie w branży reklamowej i kulturalnej. Jednak oni wszyscy byli bardziej reprezentatywni dla społeczeństwa niż starzy opozycjoniści. Nowa opozycja reprezentuje nową klasę bitych.

Czym różniły się zeszłoroczne demonstracje od protestów z 2004, 2006

eprasa.pl b62d9b2f9d

i 2010 roku? Czemu mimo wszystko w 2020 roku opozycja odniosła sukces, a w latach wcześniejszych demonstracje były rozpędzane po kilku dniach?

Dlatego że obecne społeczeństwo znacznie różni się od społeczeństwa sprzed niemal dwudziestu lat pod względem samodzielności, przekonań, miejsca pracy, rozeznania w świecie współczesnym, znajomości technologii komunikacyjnych. Zmienił się także stopień przyjmowania wartości autorytarnego reżimu, czyli państwa opiekuńczego, polegającego na oddaniu wolności za pewne bezpieczeństwo socjalne. W 2004 roku protestowano przeciwko temu, aby Łukaszenka mógł zostać prezydentem dożywotnio. Wtedy większość społeczeństwa nie widziała w tym zagrożenia. W roku 2006 protest miał charakter studencki. Demonstrowało pierwsze pokolenie, które wyrosło w niepodległej Białorusi. Sprzeciwiało się pomysłowi odbudowy Związku Radzieckiego. Wtedy większość ich rodziców nie podzielała opinii swoich dzieci. W 2010 roku protest miał szerszy zasięg, jednak sytuacja gospodarcza nie była na tyle zła, żeby doszło do odsunięcia Łukaszenki. W 2015 roku nie było żadnego protestu, ponieważ toczyła się wojna na Ukrainie i ludzie byli przestraszeni tym konfliktem, co umiejętnie podsycał reżim, twierdząc, że na Białorusi może być tak samo, jeśli władzę przejmie opozycja. W zeszłym roku społeczeństwo, które przeciwstawiło się Łukaszence, okazało się społeczeństwem, którego autorytarny lider nie zna.

Jak długo jeszcze Łukaszenka będzie w stanie utrzymać się u władzy?

Trudno podać konkretną datę. Mogę jednak wskazać czynniki, które będą miały na to wpływ. Na pewno należą do nich nastroje w aparacie władzy. Coraz więcej ludzi rezygnuje z pracy na rzecz reżimu, a ci, którzy pozostają – podejmują coraz gorsze decyzje. Drugim czynnikiem będzie pomoc finansowa Rosji. Trzecim – sytuacja gospodarcza Białorusi. Kwestią decydującą może okazać się jedno zdarzenie, które stanie się punktem zwrotnym.

Aleksander Papko jest białoruskim politologiem i dziennikarzem. Współpracuje z Telewizją Biełsat oraz ośrodkiem analitycznym EAST Center. Ukończył Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Kolegium Europejskie w Natolinie. Stopień doktora socjologii uzyskał w Polskiej Akademii Nauk. Jest autorem artykułów naukowych na temat systemu gospodarczego i polityki zagranicznej Białorusi, białoruskich mediów oraz ideologii władz białoruskich.

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA

Nie tylko BAUHAUS

Międzywojenna fotografia niemiecka i polskie tropy



WYSTAWA EXHIBITION do/until 1.08.2021



More than BAUHAUS

German photography between the wars and Polish parallels

GALERIA MIĘDZYNARODOWEGO CENTRUM KULTURY INTERNATIONAL CULTURAL CENTRE GALLERY

Rynek Główny 25, Kraków

www.mck.krakow.pl

Organizatorzy / Organisers

30 MCK ICC

Międzynarodowe Centrum Kultury International Cultural Centre

LVR-LandesMuseum Bonn

LVR Qualität für Menschen

Stiftung F.C. Gundlach

deutsche FOTOTHEK

Przy wsparciu finansowym / With the financial support of

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Konsulat Generalny Republiki Federalnej Niemiec w Krakowie

Partner wystawy / Exhibition partner

Archiwa Państwowe Narodowe Archiwum Cyfrowe

Patroni medialni wystawy / Exhibiton media patrons

Kultura

wyborcza

Lynx

oojestgrane24

Stali patroni medialni / Permanent media patrons

60 Kraków

Radio Kraków

Herito

AHACE Art and Heritage in Central Europe

eprasa.pl b62

REKLAMA

KSIĘGARNIA POD GLOBUSEM

POROZMAWIAJMY O KSIĄŻKACH!



KSIĘGARNIA POD GLOBUSEM
UL. DŁUGA 1, KRAKÓW
LIBERGLOB.PL

PN-PT 10.00–19.00
SOBOTA 10.00–14.00

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA

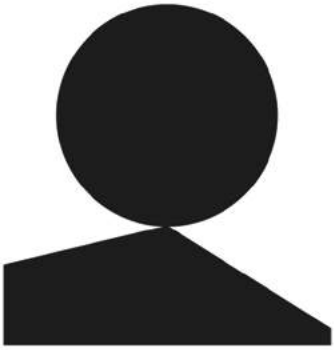

Fundacja
Znak

Działamy na rzecz skutecznej
edukacji obywatelskiej,
ekologicznej i klimatycznej.
Przyjmując przy tym często
perspektywę globalną.

Fundacja.Znak.org.pl

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA

TO CO NAJWAŻNIEJSZE

21 tekstów Tischnera na XXI wiek

Ks. Józef Tischner miał niezwykły dar przyciągania ludzi. Przez swoje teksty nadal uczy nas patrzenia na świat, w którym sprzeczności nie znikają, ale mogą się harmonizować. Skłania do refleksji nad tym, co jest naprawdę ważne. Przekonuje, dlaczego należy dbać o wolność i jak z niej mądrze korzystać.

Wojciech Bonowicz dokonał wyboru najważniejszych i najbardziej aktualnych tekstów ks. Tischnera, które pomagają rozumieć otaczającą nas rzeczywistość.

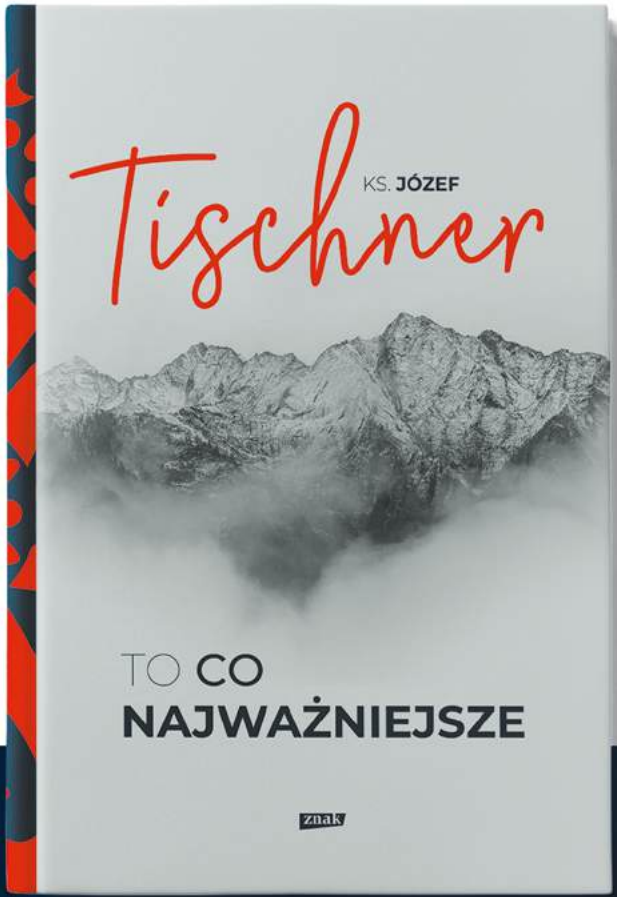

znak

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA

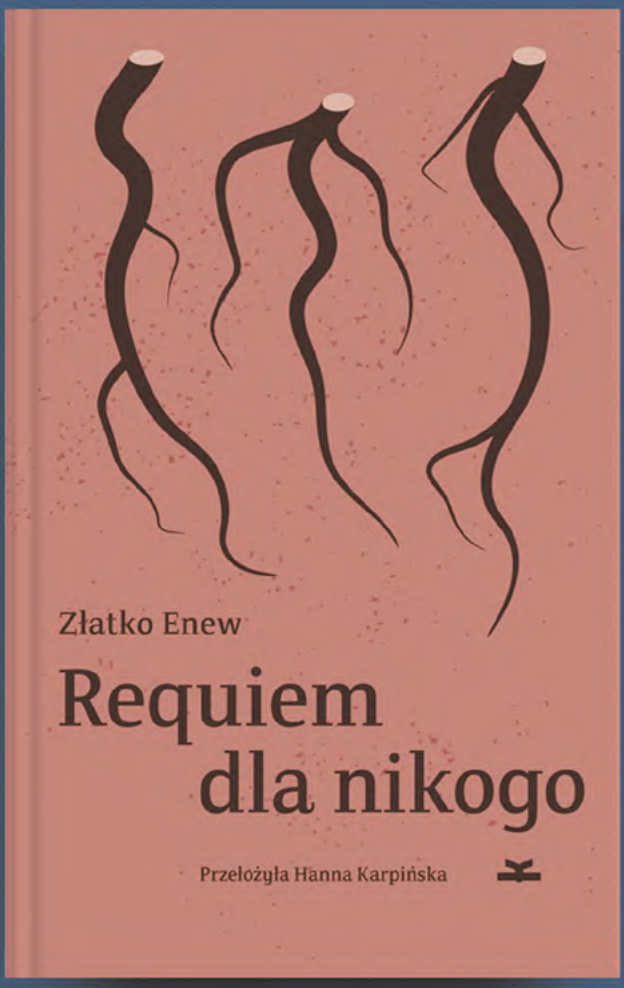

Gorzka, wielowymiarowa i bezkompromisowa powieść Złatka Enewa to pierwsza poważna literacka próba zmierzenia się z tematem przymusowej zmiany nazwisk bułgarskich Turków w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku.

Trafiłem kiedyś do martwej wsi w bułgarskich Rodopach, opuszczonej przez bałkańskich muzułmanów. Ta nieobecność kąsała, ale wymykała się językowi. Po prostu nie miałem pojęcia, co tam mogło się wydarzyć. Po lekturze tej powieści już wiem.

Andrzej Muszyński

Pozostaje nam tylko i wyłącznie posępny, suchy, kancelaryjny język faktów: w ciągu zaledwie dwóch miesięcy Bułgarię opuściło ponad trzysta tysięcy uchodźców – pod nosem słodko drzemiącej Europy, która nawet nie zauważyła, że gdzieś tam, na jej peryferiach, dokonuje się pierwsza masowa czystka etniczna w powojennej historii kontynentu. Czy jest to tylko zapowiedź rzeczy, jakie przyszłość przygotowała dla tej części Europy?

fragment

WWW.KSIAZKOWEKLIMATY.PL

KSIĄŻKOWE KLIMATY

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA

Lidia Czukowska | *Zapiski o ANNIE ACHMATOWEJ* w TRZECH TOMACH



Książki dostępne
w najlepszych
polskich księgarniach
i w sklepie
internetowym
www.kew.org.pl

20 LAT
Kolegium
Europy
Wschodniej

CENTRUM
POLSKO-ROSYJSKIEGO
DIALOGU I POROZUMIENIA

W niezwykłych zapiskach
z rozmów dwóch wspaniałych kobiet,
chorych, biednych i nieszczęśliwych,
czuć smak i zapach życia codziennego
w kleszczach stalinowskiego terroru;
czuć niszczące działanie codziennej
trucizny, z którą zmagają się te kobiety,
myśląc o uwięzionych najbliższych.

Adam Michnik

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA

Debata wokół „Listów Milenijnych”

11 maja | godz. 18.00

Rola Kościoła katolickiego w Polsce w przestrzeni międzynarodowej

18 maja | godz. 18.00

Listy milenijne jako wyraz zaangażowania Kościoła w budowanie dialogu

25 maja | godz. 18.00

Orędzie do biskupów niemieckich na nowo odczytane



Szczegóły na: www.zajezdnia.org

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

niepodległa

POZNAJ HISTORIĘ
DOLNEGO ŚLĄSKA

www.sklep.zajezdnia.org

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA

Kierunek Wschód



Wiktoria Amelina, *Dom dla Doma*
tłum. Katarzyna Kotyńska

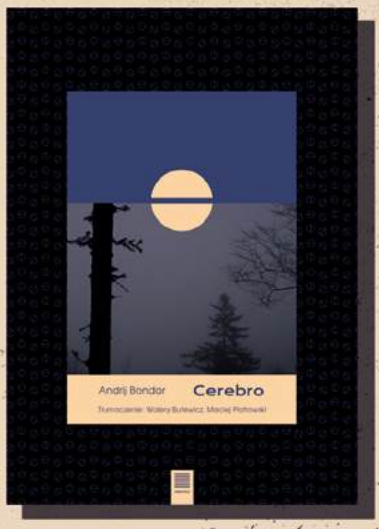

Andrij Bondar, *Cerebro*
tłum. W. Butewicz, M. Piotrowski

Literatura ukraińska w Wydawnictwie Warstwy

warstwy

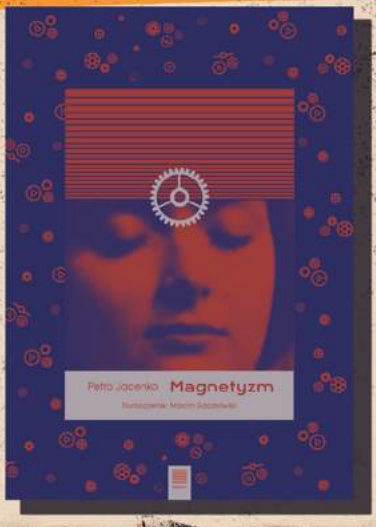

Petro Jacenko, *Magnetyzm*
tłum. Marcin Gaczkowski



Serhij Żadan, *Antena*
tłum. Bohdan Zadura

Wrocławski Dom Literatury

Wrocław Miasto Literatury UNESCO

www.wydawnictwowarstwy.pl **www.literatura.wroclaw.pl**

Potyczki z nienawiścią

Z Jeleną Milić, serbską analityczką, rozmawia Dominika Kardaś

DOMINIKA KARDAŚ: Była Pani nazywana „zdrajczynią", „opłacaną przez NATO dziwką", życzono śmierci Pani i Pani dzieciom, ponieważ... prowadzi Pani w Belgradzie think tank, który promuje integrację kraju z Unią Europejską oraz państwami członkowskimi NATO. Pani historię opisała fińska dziennikarka Jessika Aro, której książka *Trolle Putina* ukazała się niedawno w Polsce. Jak do tego doszło, że stała się Pani celem ataków rosyjskich trolli i wrogiem numer jeden serbskich władz sprzyjających Kremlowi?

JELENA MILIĆ: Założyłam Centrum Studiów Euroatlantyckich (Centar za evroatlantske studije, w skrócie CEAS) w 2007 roku, mniej więcej od 2012 roku zaczęliśmy zwracać uwagę na rosnącą obecność rosyjskich struktur wpływu w Serbii. W roku 2016 ukazał się nasz obszerny raport na ten temat zatytułowany *Eyes Wide Shut. Russian Soft Power Gaining Strength in Serbia – Goals, Instruments and Effects*. Dołączyliśmy do niego listę ponad stu partii politycznych, organizacji pozarządowych, portali i mediów szerzących prokremlowskie treści, które łączyły historyczny rewizjonizm z wykorzystywaniem słabości serbskich struktur demokratycznych, dezinformacją, a nawet oczernianiem i zastraszaniem.

Raport odbił się głośnym echem, był wielokrotnie cytowany, ale miało to też negatywne skutki: stałam się – a razem ze mną także CEAS jako organizacja, która opracowała raport – celem bezwzględnej kampanii nienawiści. Moje konta w mediach społecznościowych zostały zalane obrzydliwymi wiadomościami i komentarzami wysyłanymi przez rosyjskich i serbskich trolli. Zakładano fejkowe konta pod moim nazwiskiem, a moje stare posty miksowano w nowe, zupełnie niedorzeczne kombinacje i publikowano je na radykalnie prawicowych portalach o niewiadomej proweniencji, strukturze organizacyjnej i anonimowej redakcji. Zniesławiające mnie artykuły przez kilka lat regularnie pojawiały się też na dobrze wszystkim znanym portalu Sputnik, który finansowany jest przez państwo rosyjskie.

W książce Jessiki Aro można przeczytać, że podobny los spotkał wiele osób, które postanowiły stawić czoła prokremlowskiej propagandzie. Byli wśród nich między innymi litewski dyplomata Renatas Juška, norwescy dziennikarze, którzy prowadzą ser-

eprasa.pl b62d9b2f9d

wis poświęcony sytuacji na Morzu Barentsa czy Elliot Higgins, założyciel Bellingcat, prężnie działającego serwisu zajmującego się badaniem otwartych źródeł, który jako pierwszy ogłosił, że za zestrzelenie samolotu Malaysia Airlines odpowiedzialni są Rosjanie. W Pani historii uderzyło mnie jednak to, że właściwie jako jedyna stała się Pani nie tylko celem ataków anonimowych trolli, ale także mainstreamowych mediów...

Tak, to prawda. Oczerniające mnie materiały pojawiały się w licznych serbskich tabloidach, a także w stacjach telewizyjnych, które jawnie sympatyzują z rządem i po prostu reprodukują jego narrację polityczną. Na początku 2017 roku, podczas jednego z programów w popularnej stacji RTV Pink, ówczesny premier, a obecnie prezydent Serbii Aleksandar Vučić powiedział mi prosto w twarz, że wszystko, co robię, jest przeciwko interesom Serbii. Wyszłam wtedy ze studia. Kiedy mówi ci coś takiego premier twojego kraju w programie na żywo, w momencie kiedy liczyłaś na merytoryczną rozmowę – co innego możesz zrobić?

Ale czasem dochodziło do wręcz zabawnych sytuacji! Jestem fanką serbskiego tenisisty Noaka Dokovića. Kiedy wiem, że niedługo będzie grał ważny mecz, zbieram przez kilka dni stertę rzeczy do prasowania (tyle, by starczyło do piątego seta) i kiedy nadchodzi ten dzień, rozkładam na środku pokoju deskę, włączam telewizor i zabieram się do prasowania. Któregoś razu Dokovićowi szło naprawdę kiepsko i strasznie mnie to wkurzało, więc z tych emocji zaklęłam na głos: *Idi u tri pičke materine!* I nagle, ku mojemu zaskoczeniu, zorientowałam się, że zła passa minęła, Noak zaczął odzyskiwać przewagę. Odtąd, zawsze gdy grał ważny mecz, wrzucałam na Facebooka post z tym samym serbskim przekleństwem – na szczęście. Za którymś razem, właśnie w czasie nasilonej kampanii przeciwko mnie, serbskie media wykorzystały ten mój zwyczaj, rozgłaszając, że darzę nienawiścią naszego wielkiego tenisistę…

Dlaczego serbskie władze i sympatyzujące z nimi media tak ochoczo przyłączyły się do kampanii propagandowej, która miała podważyć wiarygodność Pani i Pani badań?

W czasie kiedy opublikowaliśmy raport, rząd Serbii prowadził politykę otwartych drzwi wobec wszelkich przejawów rosyjskiej „miękkiej siły" (ang. *soft power*). Jako organizacja CEAS nieustannie przypominał o konieczności rozliczenia zbrodni wojennych, a także o tym, dlaczego w 1990 roku doszło do zbombardowania Belgradu przez NATO; zwalczaliśmy też nieprawdziwe informacje na temat wykorzystania zubożonego uranu w zastosowanej wtedy broni. Gdy narrację o tamtych tragicznych wydarzeniach przejęły proputinowskie media, staliśmy się pierwszym celem.

Później CEAS ujawnił też, że serbska armia została zinwigilowana przez rosyjskie struktury wpływu – to formal-

eprasa.pl b62d9b2f9d

nie związki zawodowe, które powinny trzymać się z dala od polityki międzynarodowej, ale ich członkowie utrzymują bliskie relacje z rosyjskimi weteranami, chętnie odwiedzają Moskwę, a nawet byli przyjmowani w Dumie. Publicznie wygłaszają opinie, że jakikolwiek kompromis w sprawie Kosowa powinien zostać uznany za zdradę stanu. Ostatnio mieliśmy kolejny skandal. Okazało się, że członkom potężnego kartelu narkotykowego udało się przeniknąć do struktur serbskiej policji. Są nawet spekulacje, że były szef policji, obecny minister obrony Nebojša Stefanović, był zamieszany w całą sprawę.

Wśród historii, które opisała Jessika Aro, uderzyło mnie to, że gdy to kobiety stają się celem internetowych trolli, w dużo większym stopniu ataki te dotyczą ich życia prywatnego albo wręcz wprost – seksualnego. Czy kobietom jest trudniej, gdy znajdą się na celowniku takiej kampanii? Łatwiej zniszczyć ich reputację w środowisku?

Jestem po prostu ekspertką w swojej dziedzinie i jako analityczka i dyrektorka think tanku przykładam ogromną wagę do jakości prowadzonych badań. „Mediom" takim jak Sputnik i spółka nie udawało się więc podważanie tego, co pisaliśmy w naszych raportach. Moi przeciwnicy postanowili więc sięgnąć po inne środki – oczernianie i zniesławienie. Nie do końca widzę w tych działaniach dyskryminację ze względu na płeć, choć oczywiście jako kobieta zajmująca się zawodowo mało „kobiecymi" tematami (takimi jak bezpieczeństwo międzynarodowe) często spotykam się z lekceważeniem. Gdy dostaję zaproszenie do telewizji, jestem jedyną osobą spośród zaproszonych ekspertów, do której wszyscy zwracają się po imieniu. Inni są „panem X lub Y", ja – „Jeleną".

Był jednak przypadek, w którym wniosłam pozew do sądu, argumentując go wyłącznie szowinistyczną treścią ataku. Vojislav Šešelj, człowiek oskarżony o zbrodnie wojenne, a jednocześnie częsty gość popularnej w Serbii stacji Nacionalna Televizija Happy, w 2019 roku opublikował o mnie książkę *NATO picajzla Jelena Milić*, czyli *Jelena Milić – NATO-wska wesz łonowa*. Potem promował ją na Serbskich Targach Książki i udzielał w mediach wywiadów, gdzie sugerował, że nabawiłam się chorób wenerycznych, sypiając z generałami NATO. Šešelj napisał książki o Tonym Blairze i Carli Del Ponte, więc w pewnym sensie znalazłam się w uprzywilejowanym towarzystwie, ale to, jak się zachowywał wobec mnie, było czystą mizoginią.

W ubiegłym roku musiałam zmierzyć się z Šešeljem w sądzie, gdzie dalej wykrzykiwał w moją stronę: „To jest ta dziwka, wesz łonowa Jelena Milić!". To było naprawdę trudne doświadczenie, bo podczas składania zeznań musisz opowiedzieć o wszystkim, co cię spotkało, a przy tak traumatycznym doświadczeniu wszystko do ciebie wraca, przechodzisz przez całe to szambo jeszcze raz.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Autorkę *Trolli Putina* poznała Pani w 2016 roku, w czasie nasilonej kampanii skierowanej przeciwko Pani, i od tamtego czasu utrzymywały Panie regularny kontakt. Jak zmieniła się Pani sytuacja, po tym jak w 2019 roku Jessika Aro skończyła pracę nad książką?

W tej chwili jest nieco lepiej – przynajmniej, jeśli chodzi o media, bo odkąd poparłam dążenia rządu Serbii do wypracowania kompromisu w sprawie Kosowa, moje stosunki między innymi z prezydentem Aleksandarem Vučićem można uznać za w miarę poprawne. Ale w sądach przegrywamy kolejne sprawy, a procesy wiążą się z ogromnymi kosztami i niestety przed CEAS stoi realna groźba zamknięcia. Utrzymujemy się z grantów oraz dotacji i w tej chwili nie stać nas na kolejne procesy, a niedługo nie będzie nas nawet stać na dalszą działalność. Straciliśmy rozpęd, straciliśmy też szansę na przeprowadzenie wielu projektów, bo nie byłam w stanie rekrutować nowych pracowników, a wiele osób z zespołu odeszło z powodu gróźb, które dostawali, lub po prostu ze strachu.

Serbski system sądowniczy także nie jest wolny od nacisków prorosyjskich organizacji i właściwie jako osoba jawnie sprzeciwiająca się propagandzie Kremla nie mogę liczyć na sprawiedliwy wyrok. Sprawcy są uniewinniani, a sąd uzasadnia decyzję na przykład tym, że jestem osobą publiczną, więc powinnam mieć wyższy poziom tolerancji na takie ataki. W innym przypadku oskarżony przedstawił zaświadczenie o niepoczytalności i prawdopodobnie nigdy nie odpowie za to, że mnie nękał. A jednocześnie te „problemy psychiczne" nie przeszkadzają mu pojawiać się w telewizji i komentować mojego życia prywatnego czy moich postów na Facebooku. Serbia może stara się wyglądać jak dobra kandydatka do Unii Europejskiej, ale w wielu obszarach jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Myśli Pani, że w jakimś zachodnim kraju Pani sytuacja wyglądałaby inaczej?

Mam taką nadzieję. Widziałam, jak duże wsparcie otrzymała Jessika Aro zarówno od swoich pracodawców, jak i od władz Finlandii, i wierzę, że kiedyś w końcu dorównamy europejskim standardom. Na razie jednak mamy wiele braków. Kiedy razem z CEAS zaczynałam badania nad wzrastającą obecnością rosyjskiej „miękkiej siły" w Serbii, z oczywistych względów nie mogłam liczyć na wsparcie władz państwowych, które na tę obecność patrzyły przychylnym okiem. Ale ogromnym rozczarowaniem było dla mnie to, że nie dostałam też żadnego wsparcia od kolegów i koleżanek po fachu. Już wówczas, gdy nasiliły się ataki na mnie i na CEAS, mieliśmy w Serbii sporo think tanków i organizacji pozarządowych, których zadaniem była walka z dezinformacją oraz fake newsami. Ale żadna z nich nie chciała mnie wesprzeć w walce z propagandą na temat bombardowania przeprowadzonego przez NATO. Jeden ze znajomych tłumaczył mi: „Nie mogę, mam dzieci".

eprasa.pl b62d9b2f9d

Serio? Ja też mam dzieci! Bombardowanie z 1999 roku to świeża historia i jeden z najtrudniejszych tematów w naszym kraju, a dementowanie rosyjskiej propagandy na temat zubożonego uranu, który miał być wykorzystany przez wojska NATO, kosztowało mnie naprawdę wiele. Tu nie wystarczy raz opublikować artykuł, że: „wcale tak nie było". To jest długi, skomplikowany proces odkłamywania historii, który wymaga ogromnej pracy.

Od wielu lat działa Pani na rzecz integracji Serbii z Unią Europejską i NATO, ale z drugiej strony bardzo krytycznie wypowiada się Pani na temat stanowiska Unii w sprawie Kosowa i wspierała Pani pomysł wznowienia negocjacji pod egidą administracji Donalda Trumpa. W 2018 roku zespół CEAS opublikował nawet projekt nowej linii granicznej, który zakładał przywrócenie Serbii czterech gmin zamieszkanych w większości przez ludność serbską. Czy opowiedzenie się przeciwko głównej linii Unii nie podważa Pani wiarygodności jako osoby lobbującej za przystąpieniem Serbii do Unii?

Wierzę w wartości takie jak demokracja i praworządność, dlatego jestem całym sercem za integracją Serbii z Unią Europejską. Ale uważam, że w kwestii Kosowa Unia źle traktuje Serbię i nie docenia tego, że nasze władze naprawdę są gotowe do podjęcia negocjacji. Nie jest idealnie i moja historia jest tylko jednym przykładem tego, co w naszym państwie nie działa. Ale to dla mnie kolejne wielkie rozczarowanie, że liberalne media i organizacje z zachodniej Europy, tak wiele mówiące o wolności i dialogu, potrafią natychmiast odciąć się, jeśli ktoś zacznie prezentować poglądy nie do końca zgodne z linią obowiązującą w ich narracji.

Co Pani ma konkretnie na myśli?

W lutym ubiegłego roku opublikowaliśmy niewielki raport, *The Dark Side of the Moon*, który potwierdził, że odkąd CEAS zaczął propagować potrzebę negocjacji między Belgradem i Pristiną, także ja – osoba mniej więcej raz w tygodniu zapraszana do Radia Wolna Europa, Voice of America, BBC czy Deutsche Welle, by skomentować sprawy związane z polityką międzynarodową lub bezpieczeństwem – praktycznie zniknęłam z tych mediów. A to przecież media, które uważają się za niezależne, sytuujące się na przeciwnym biegunie względem propagandowych szmatławców. Prozachodnie media w Serbii także mnie unikają. CEAS jest organizatorem dużej konferencji, Belgrade NATO Week, na którą zapraszani są wysocy urzędnicy i specjaliści najwyższej klasy – ale te portale czy rozgłośnie w ogóle o tym nie wspominają, udają, jakby takiego wydarzenia nigdy nie było. To pokazuje, że organizacje określające się jako liberalne również nie zawsze są obiektywne czy zupełnie odporne na manipulację. Z prostej przyczyny – jeśli będą propagować linię polityczną Unii Europejskiej, także w sprawie uznania niepodległości Kosowa, zyskają więcej

eprasa.pl b62d9b2f9d

grantów, więcej przetargów, a ich prace będą szeroko komentowane. Jeśli nie – znajdą się „po ciemnej stronie Księżyca".

Jessika Aro kilkakrotnie podkreśla w swojej książce, że najważniejszym celem „trolli Putina" jest wzbudzanie wzajemnej nieufności i dzielenie tych, którzy mogliby stanąć po jednej stronie w walce przeciwko interesom Kremla. Jak widać, to się udaje...

To prawda. Dla mnie media społecznościowe to nie media w pełnym znaczeniu, ale jeśli chodzi o mobilizację ludzi i ich zaangażowanie, mają ogromne znaczenie – niestety bez względu na to, czy obrany cel jest szczytny, czy wręcz przeciwnie. Jednocześnie ten potencjał, wykorzystywany do granic możliwości przez prokremlowskie organizacje, powoduje silny opór i histeryczne reakcje z drugiej strony. W rezultacie cała ta *cancel culture* robi się naprawdę nieznośna i powoduje, że także liberalne organizacje zamykają się w swoich bańkach, finansują badania, które same chcą czytać, a jeśli coś nie jest po ich myśli, udają, że tego nie ma, bez względu na trafność argumentów czy rzetelność badań.

Nadal jednak wierzę, że integracja Serbii z Zachodem może wnieść wiele dobrego. Unia Europejska i Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie pracują właśnie wraz z serbskim rządem nad stworzeniem grupy roboczej, która zadbałaby o sytuację dziennikarzy w Serbii i wypracowała sposoby na ich ochronę przed zastraszaniem czy podobnymi kampaniami, jakie prowadzono przeciwko mnie (choć członkowie think tanków nie będą objęci tym programem i mam wrażenie, że analitycy są często w takich sytuacjach pomijani). Przede wszystkim jednak jako kraj potrzebujemy nabrać doświadczenia w obchodzeniu się z demokracją. Wciąż musimy wypracować na tyle stabilne struktury państwowe, by zapewniły one możliwość przeprowadzania regularnych wyborów, rozdział władzy, niezawisłe sądownictwo, a także – bezpieczne środowisko dla niezależnych think tanków i mediów.

Jelena Milić jest serbską analityczką; założycielka i dyrektorka Centrum Studiów Euroatlantyckich (Centar za evroatlantske studije). W swojej pracy skupia się na polityce międzynarodowej i kwestiach bezpieczeństwa. Jedna z bohaterek książki *Trolle Putina*.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Małżeństwo trudne, lecz nierozerwalne

Tadeusz Iwański

Politycy, urzędnicy, pracownicy organizacji pozarządowych lobbujący liberalne reformy na Ukrainie dorobili się etykiety „sorosjata". To gra słów: Soros – amerykański miliarder lobbujący liberalny model gospodarki i rozwój społeczeństwa obywatelskiego, i *porosjata* – z ukraińskiego prosiaki, w tym przypadku symbolizujące przejadanie grantów.

Ukraina ma permanentne problemy z płynnością finansową. Wynika to między innymi z wewnętrznych uwarunkowań politycznych, modelu gospodarczego, uzależnienia od koniunktury na rynkach światowych, niskiej atrakcyjności dla inwestorów zagranicznych, korupcji i braku niezawisłego sądownictwa. Kluczowym czynnikiem pozwalającym na uniknięcie bankructwa – przede wszystkim w okresach kryzysów i dekoniunktury – jest współpraca z globalnymi instytucjami finansowymi. Najważniejszą rolę w tym kontekście odgrywa Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Skuteczna kooperacja z nim nie tylko oznacza przypływ gotówki, ale też jest ważnym wskaźnikiem dla innych kredytodawców – Banku Światowego, Komisji Europejskiej i unijnych agend finansowych, a także pomniejszych donatorów. Dobre relacje z MFW są rękojmią wiarygodności także dla innych graczy, w tym rynkowych, a państwu, które współpracuje z Funduszem, przynoszą oszczędności, choćby w postaci niższej stawki procentowej państwowych papierów dłużnych sprzedawanych na giełdach międzynarodowych.

Od kryzysu do kryzysu

MFW kredytuje Ukrainę od 1994 roku. Współpraca ta ma charakter w zasadzie nieprzerwany – zawarto jedenaście umów kredytowych zarówno typu *stand-by*, jak i *extended fund facility*, opiewających na prawie 80 miliardów dolarów. Środki z Funduszu na ogół nie były wydatkowane na pokrycie deficytu budżetowego – choć zdarzały się i takie sytuacje, na przykład w kryzysowym 2008 roku. Zostały w większości przekazane Narodowemu Bankowi Ukrainy w celu uzupełnienia re-

eprasa.pl b62d9b2f9d

zerw walutowych wykorzystywanych przez regulatora do stabilizacji kursu hrywny w wyniku interwencji na rynku walutowym.

Z obiecanych środków Kijów otrzymał jednak nie więcej niż połowę. Wynika to z faktu, że choć koszt finansowy tych pożyczek jest relatywnie niski (na ogół poniżej 3 procent), to polityczny – często zbyt wysoki. Kredyt z MFW jest bowiem opatrzony specjalnym memorandum, w którym rząd zobowiązuje się do spełnienia kryteriów, precyzyjnie rozpisanych na konkretne ustawy i terminy. Dotyczą one reform gospodarczych i politycznych, których celem jest liberalna sanacja państwa poprzez przekształcanie całych sektorów jego funkcjonowania: od energetyki, handlu ziemią i bankowości po walkę z korupcją, sądownictwo i ordynację wyborczą. Przyjęcie odpowiednich ustaw, nie mówiąc o ich implementacji, jest zgodnie uznawane przez szeroko pojęty ukraiński establishment polityczno-biznesowy za poważną przeszkodę w utrzymaniu *status quo*, umożliwiającym w zasadzie bezkarne rozkradanie publicznych środków. Dlatego rządzący najczęściej spełniają jedynie część kryteriów potrzebnych do otrzymania kredytów w ilości pozwalającej na oddalenie ryzyka krachu gospodarki, by następnie, gdy sytuacja jest opanowana – kończy się kryzys lub wraca koniunktura na rynkach zagranicznych – za pomocą różnych wymówek wykręcić się od kontynuacji reform. Wówczas współpraca z MFW zostaje zamrożona – aż do kolejnego kryzysu.

Modus operandi i krytyka

Taką prawidłowość w historii współpracy Ukrainy z MFW najlepiej ilustruje okres po 2014 roku. Wówczas – krótko po rewolucji godności, skutkującej ucieczką z kraju prezydenta Wiktora Janukowycza, aneksją Krymu i gorącą fazą wojny w Donbasie – nowe władze były tak osłabione przez rosyjską agresję i kryzys gospodarczy, że nie miały innego wyboru, niż ściśle współpracować z MFW. Przyjęto wówczas szereg ważnych reform ustrojowych i ekonomicznych, a „strategia sandwicha" – polegająca na wywieraniu podwójnej presji na rządzących: od góry ze strony donatorów i od dołu ze strony społeczeństwa obywatelskiego – pozwoliła Ukrainie na uzyskanie w latach 2014–2015 aż 11 miliardów dolarów. Jednak wraz z uspokojeniem się sytuacji militarnej w Donbasie oraz oddaleniem ryzyka bankructwa władze ograniczyły wolę wprowadzania reform, a tym samym przykręcono kurek z zachodnimi pieniędzmi.

MFW bywa krytykowany za ingerencje w sprawy wewnętrzne i liberalne recepty na reformy. Jednak w przypadku Ukrainy, a także niektórych innych krajów posowieckich, gdzie monopolizacja poszczególnych sektorów i udział państwa w gospodarce są znaczne, działania skoncentrowane na deregulacji, otwieraniu i stymulowaniu konkurencji w poszczególnych sektorach, a także uniezależnianiu i profesjonalizacji

eprasa.pl b62d9b2f9d

zarządów państwowych spółek wydają się słusznym kierunkiem reform. Choć często są one przyjmowane w ograniczonym wymiarze, a tempo ich wdrażania pozostawia wiele do życzenia, rzadko są potem w pełni wycofywane. Dzięki temu można je uznać za raz mniejszy, raz większy, ale jednak pozytywny krok w kierunku zreformowania danego sektora.

Partnerem MFW w realizacji reform najczęściej są wybrane organizacje społeczne typu *watch dog* lub *advocacy*, które – często także za zachodnie pieniądze – patrzą władzy na ręce i lobbują określone rozwiązania reformatorskie na poziomie deputowanych do Rady Najwyższej czy średniego szczebla urzędników, wciągając ich do udziału w konkretnych projektach szkoleniowych. Politycy ci i urzędnicy, a także pracownicy organizacji pozarządowych dorobili się nad Dnieprem wspólnej pejoratywnej etykiety „sorosjata". Jest to gra słów od nazwiska Sorosa – amerykańskiego miliardera lobbującego na świecie liberalny model gospodarki i rozwój społeczeństwa obywatelskiego, oraz ukraińskiego słowa *porosjata* (oryg. поросята) – prosiaki, w tym przypadku symbolizujące „przejadanie" grantów. Większość mediów oligarchicznych, czyli między innymi wszystkie najpopularniejsze na Ukrainie stacje telewizyjne, których właściciele nie są zainteresowani reformami politycznymi i gospodarczymi, gdyż te ograniczyłyby rentowność ich przedsiębiorstw, nie oszczędza reformatorów, aktywnie ich stygmatyzując. Działania te widoczne są także w mediach społecznościowych, szczególnie na Telegramie stającym się główną platformą walki politycznej i informacyjnej spośród mediów społecznościowych, skutecznie wypierającym Facebook. Kampanii oszczerstw towarzyszy narracja o zewnętrznym sterowaniu, czyli „chodzeniu na pasku Zachodu" (nie tylko Sorosa), co ma wskazać na brak patriotyzmu zwolenników reform.

Szczególnie aktywne w promowaniu tego przekazu są media – tradycyjne i społecznościowe – związane z kapitałem lub służbami rosyjskimi. Środowiska te dążą nie tyle do uzyskania konkretnych korzyści ekonomicznych, ile zależy im na rozluźnieniu więzów Kijowa z Zachodem, czemu sprzyja brak lub odwrót od reform.

Pandemiczne kłopoty

Jak wszędzie na świecie, pandemia koronawirusa mocno uderzyła także w ukraińską gospodarkę. Jednak niebędąca członkiem Unii Europejskiej i mająca ciągłe problemy z płynnością finansową Ukraina nie może liczyć ani na zmobilizowanie własnych zasobów w skali adekwatnej do potrzeb, ani tym bardziej na tani pieniądz z programów typu EU NextGen.

Ukraińskie problemy finansowe zaczęły się jeszcze przed pandemią. Już w styczniu i lutym 2020 roku zabrakło 17 miliardów hrywien dochodów z ceł między in-

eprasa.pl b62d9b2f9d

nymi wskutek spadku importu oraz załamania koniunktury na światowych rynkach surowcowych. Tylko w pierwszej połowie marca, gdy rozpoczął się spadek wartości hrywny, Narodowy Bank Ukrainy przeznaczył na interwencje ponad 1,5 miliarda dolarów z rezerw walutowych. Dalej kryzysowe zjawiska pogłębiały się: PKB w pierwszym kwartale, a więc jeszcze przed wprowadzeniem większości ograniczeń związanych z pandemią i przed ostrym wyhamowaniem globalnej wymiany handlowej, skurczył się o 1,3 procent, na co spory wpływ miała produkcja przemysłowa, spadająca od października 2020 roku, a w pierwszym kwartale 2021 roku o 5,1 procent. W kolejnych dwóch kwartałach spadek produktu krajowego brutto wyniósł odpowiednio 11,4 procent i 3,5 procent, natomiast za ubiegły rok spadek wyniósł 4 procent.

Ukraińskie problemy finansowe zaczęły się jeszcze przed pandemią. Już w styczniu i lutym 2020 roku zabrakło 17 miliardów hrywien dochodów z ceł między innymi wskutek spadku importu oraz załamania koniunktury na światowych rynkach surowcowych.

Choć jeszcze w grudniu 2019 roku Kijów uzgodnił z MFW program typu *Extended Fund Facility* na sumę 5,5 miliarda dolarów na okres trzech lat, przekazanie środków było uzależnione od spełnienia dwóch kluczowych kryteriów: uchwalenia reformy znoszącej moratorium na handel gruntami rolnymi oraz wprowadzenie ustawowego zakazu zwrotu banków byłym akcjonariuszom. W praktyce chodziło o największy na Ukrainie PrywatBank, który do grudnia 2016 roku należał do oligarchów Ihora Kołomojskiego i Hennadija Boholubowa, a następnie został przejęty przez państwo w ramach reformy systemu bankowego. Przyjęcie tych ustaw wiosną 2020 roku, pomimo zmasowanego sprzeciwu obu oligarchów, których deputowani do Rady Najwyższej złożyli w sumie kilkanaście tysięcy poprawek do ustaw w celu obstrukcji procesu legislacyjnego, otworzyło drogę do pieniędzy z MFW. W celu ułatwienia ich wydatkowania w czerwcu powrócono do formatu współpracy typu *stand-by* i podpisano wart 5 miliardów dolarów program, którego pierwsza transza (w wysokości ponad 2 miliardów dolarów) została niemalże natychmiast przetransferowana na rzecz walki z kryzysem gospodarczym oraz utrzymania stabilności hrywny. Reszta środków ma zostać wypłacona w czterech transzach po 700 milionów dolarów – jednak znów – nie na piękne oczy ani poczucie humoru prezydenta Zełenskiego w rozmowach z dyrektor wykonawczą Kristaliną Georgiewą, a w zamian za reformy.

Jak było do tej pory, tak i tym razem żądania Funduszu dotyczą różnych spraw. Szczególnie istotne znaczenie – nie tylko zresztą dla MFW, ale także Unii Europejskiej i G7 – ma dalsza reforma ukraińskiego systemu sądownictwa, w tym ustawa

eprasa.pl b62d9b2f9d

o wyższej radzie praworządności. Jest to najwyższy organ samorządu sędziowskiego, kontrolujący nominacje i dymisje sędziowskie, a także odpowiedzialność sędziów wobec prawa. O ile w Prokuraturze Generalnej doszło do chociażby cząstkowych reform, część prokuratorów nie przeszła weryfikacji i nie przedłużono im umów o pracę, o tyle do cna skorumpowane środowisko sędziowskie pozostało nienaruszone, a niezreformowana rada – związana ciasną siecią wzajemnego szantażu i powiązań o charakterze klientelistycznym – pozostaje ich niezdobytą twierdzą.

Inną ważną kwestią jest regulacja cen gazu dla ludności, wprowadzona przez rząd tej zimy. Decyzja ta – podyktowana większym zużyciem surowca wskutek mrozów, a tym samym większymi wydatkami gospodarstw domowych – stanowi krok wstecz wobec kontynuacji budowy rynku gazu w segmencie gospodarstw domowych, wprowadzonego w czerwcu ubiegłego roku. Choć rząd obiecuje, że jest to regulacja tymczasowa jedynie na okres sezonu grzewczego (do około połowy kwietnia), zapewnienia te są dla Funduszu niewystarczające. Przecież już nie raz i nie dwa Kijów wystrychnął MFW na dudka – obiecał, wziął pieniądze, a reform nie ukończył.

Obecnie szefem stałego biura Funduszu w Kijowie jest Goesta Ljungman – szwedzki ekonomista, od kilkunastu lat związany z Funduszem, doświadczony w pracy także w innych państwach posowieckich, takich jak Gruzja i Mołdawia, a zatem dobrze znający realia: wpływ oligarchów, słabość biurokracji i prawne sztuczki autorów ustaw i rozporządzeń. Biuro to na bieżąco konsultuje nowojorską centralę MFW, która regularnie przysyła misje eksperckie, przez kilka dni lub nawet tygodni badające na miejscu (obecnie z powodu pandemii misje działają online w formie rozmów z urzędnikami i ekspertami) poziom realizacji dwustronnych memorandów. Ostatnia misja, która skończyła pracę na Ukrainie 12 lutego, nie wydała końcowego oświadczenia, co w praktyce oznacza brak spełnienia kryteriów przez Kijów i dalszą zwłokę z wypłatą transzy kredytu.

Nie ma alternatywy dla reform

MFW daje Ukrainie finansową kroplówkę stabilizującą kurs hrywny, a współpraca z Funduszem stanowi papierek lakmusowy pozwalający starać się o środki pomocowe od innych partnerów zagranicznych. Jednocześnie kooperacja z MFW oraz innymi kredytodawcami wciąga Ukrainę w spiralę zadłużenia. Pożyczone pieniądze, nawet na preferencyjnych warunkach, trzeba oddać. Tylko w 2021 roku suma spłat i obsługi kredytów zaciągniętych wobec Funduszu wynosi 40 miliardów hrywien, czyli prawie 1,7 miliarda dolarów, a do 2036 roku – prawie 12 miliardów dolarów. Bieżący rok będzie dla Ukrainy szczególnie trudny pod względem kosztów spłaty i obsługi całości – wewnętrznego i zagranicznego – zadłużenia państwa, opiewają-

eprasa.pl b62d9b2f9d

cych w sumie na 16 miliardów dolarów, czyli około 10 procent nominalnego PKB. To prawie dwa razy więcej niż w 2022 i 2023 roku.

Ukraina samodzielnie nie dysponuje zasobami zdolnymi wygenerować takie środki i przeznaczyć je na spłatę. Tym samym będzie musiała zwiększyć potencjał, pozwalający jej na zrefinansowanie długu i jego obsługę. Źródeł jest kilka, lecz kluczowe są dwa: zapożyczenia w kraju lub za granicą. Pierwsze wydaje się drogą łatwą, lecz będzie napędzać inflacje, prowadzić do deprecjacji wartości hrywny, a tym samym odpływu elektoratu od rządzących. Na Ukrainie wiele osób trzyma oszczędności w twardej walucie i rozpoczyna dzień od sprawdzenia kursu w kantorze. Inna droga to szukanie chętnych na państwowe papiery dłużne na rynkach międzynarodowych, jednak tu kluczowe znaczenie ma cena pieniądza. Euroobligacje są dość kosztowną dla Ukrainy przyjemnością – w grudniu ubiegłego roku Kijów sprzedał papiery dłużne o wartości 600 milionów dolarów, jednak na wysoki procent (6,2 procent), podczas gdy pożyczki od międzynarodowych instytucji finansowych są w najgorszym razie dwa razy tańsze. Tym samym – najtańszym sposobem, a jednocześnie najkorzystniejszym dla państwa i obywateli, jest konsekwentne reformowanie kraju i gospodarki w zamian za tanie kredyty od MFW i innych zachodnich struktur: Unii Europejskiej i jej bankowych instytucji, Banku Światowego etc.

Wydaje się, że recepta jest prosta i społecznie niekontrowersyjna, a ostateczny cel zbożny – sanacja państwa i wzrost jego samodzielności. Tyle że przez ostatnie prawie trzydzieści lat na przeszkodzie zawsze w pewnym momencie stawały partykularyzmy, korupcja i niejawna sieć współzależności polityki z wielkim biznesem i służbami specjalnymi. Niewiele wskazuje na to, by tym razem miało być inaczej.

Tadeusz Iwański jest kierownikiem działu Ukrainy, Białorusi i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Karty zostały przetasowane

Z Thomasem de Waalem, brytyjskim analitykiem, autorem bestsellerowych książek o Kaukazie, rozmawia Bartłomiej Krzysztan

BARTŁOMIEJ KRZYSZTAN: Druga wojna o Górski Karabach pozostawiła Kaukaz Południowy w nowym ładzie geopolitycznym. Jakie są Pana zdaniem główne zmiany z punktu widzenia porządku międzynarodowego?

THOMAS DE WAAL: Ta wojna była porażką próby osiągnięcia wielostronnego, międzynarodowego, pokojowego rozwiązania konfliktu karabaskiego. Od początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku wizja była następująca: w kwestii Karabachu ma miejsce nie tylko mediacja rosyjska, ale także mediacja ze strony Stanów Zjednoczonych i Francji. Częścią tej wizji było założenie, że zostanie zawarty jakiś rodzaj wielostronnego pokoju, być może podobnego do tego, który został zawarty na Bałkanach, ale bez jego wad. Takiego, który uwzględniałby problem łamania praw człowieka i któremu towarzyszyłaby pewna demokratyzacja i program integracji europejskiej. Taka była nadzieja. Ale ten konflikt zawsze był na obrzeżach Europy. Jest on o wiele bardziej marginalny dla Europy niż konflikty na Bałkanach. A ponadto region ten jest zupełnie inny.

Konflikt nie został rozwiązany z różnych powodów, za które można winić Zachód, jak również Rosjan. Ale przede wszystkim musimy winić lokalnych aktorów – Armenię i Azerbejdżan. Kraje te nie próbowały wykorzystać tej szansy. Konflikt ten przerodził się w drugą wojnę i pokój został wynegocjowany przez Rosję. Tak więc mamy teraz nominalną kontynuację wielostronnego, międzynarodowego procesu OBWE. W praktyce widzimy jednak, że Rosja jest głównym mediatorem i pośrednikiem, a w istocie głównym wentylem bezpieczeństwa, przy wsparciu Turcji, która jednak odgrywa mniejszą rolę. Europejczycy i Amerykanie nie są całkowicie wykluczeni, ale z pewnością zmarginalizowani. Wydaje mi się, że jest to jedyny przykład na świecie, gdzie mamy do czynienia z pokojem zawieranym na szczeblu regionalnym, w którym podmioty międzynarodowe pozostają na uboczu. To powrót do niezbyt wspaniałych tradycji Kaukazu z XIX i początku XX wieku, kiedy głównymi aktorami międzynarodowymi byli wielcy sąsiedzi, mocarstwa imperialne: Rosja, Turcja i Iran. To jest główny geopolityczny efekt tego konfliktu.

Czy uważa Pan, że zmierzamy w kierunku całkowitego wycofania się Zachodu – w tym USA – z Kaukazu?

eprasa.pl b62d9b2f9d

Nie, nie sądzę. Kaukaz Południowy pozostaje regionem, który zawsze będzie międzynarodowym węzłem, skrzyżowaniem dróg. Jest to miejsce spotkań różnych mocarstw. Nie widzę, aby któreś z nich mogło wieść tam prymat. Rosjanie wrócili do znacznie bardziej „zatłoczonego" regionu niż ten, który opuścili pod koniec istnienia Związku Radzieckiego. Jest tam Turcja, są Chiny, są mocarstwa azjatyckie, jest też Unia Europejska. Na pewno obecna w Gruzji, w mniejszym stopniu w Armenii i Azerbejdżanie. Stany Zjednoczone są nadal ważnym podmiotem decydującym o interesach gospodarczych. Myślę więc, że nie należy mówić o wycofaniu się mocarstw zachodnich, ale Zachód powinien zdecydować, w jakim stopniu ten region jest jego priorytetem strategicznym. Myślę, że Zachód może ponownie zdobyć wpływy w tym regionie dzięki jego mądremu dotowaniu. Wiąże się to oczywiście z pytaniem, czy Zachód dysponuje odpowiednimi środkami finansowymi. Potrzeby gospodarcze są ogromne, szczególnie teraz – po konflikcie w Armenii i Azerbejdżanie.

Po wojnie zmienił się układ sił między Armenią a Azerbejdżanem, ale także pozycja Gruzji jest dość niepewna. Jak ocenia Pan nowe okoliczności zaistniałe w regionie?

Od połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku widzieliśmy, jak kraj o najmniejszym potencjale w regionie – Armenia, wywiera na niego nieproporcjonalny wpływ. Erywań mógł prowadzić taką politykę ze względu na zwycięstwo w pierwszej wojnie karabaskiej. Azerbejdżan znajdował się w trudnej sytuacji, mając setki tysięcy wewnętrznych przesiedleńców. Teraz Azerbejdżan odwrócił tę dynamikę i nie sądzę, aby chciał pozwolić na jej ponowną zmianę. Widzimy, że oś Azerbejdżan–Turcja jest o wiele silniejsza niż dawniej, a Armenia pomiędzy tymi dwoma krajami czuje się zagrożona. To z kolei zwiększa jej zależność od Rosji jako głównego patrona i sojusznika w kontekście bezpieczeństwa. To również sygnał alarmowy dla Gruzji, która przyzwyczaiła się do myśli, że jest regionalnym centrum. Najbardziej otwartym krajem na Kaukazie Południowym i głównym szlakiem tranzytowym między Wschodem a Zachodem. Teraz mamy proponowaną przez Rosję alternatywę, czyli planowaną rosyjsko-azerbejdżańsko-turecką sieć transportową, która pobiegnie przez Rosję, Azerbejdżan, przetnie niewielki fragment południowej Armenii, Nachiczewan i prowadzi do Turcji. Docelowo powstaną tam koleje i drogi. Jest to alternatywna trasa Wschód–Zachód, z której mogą korzystać Rosja, Turcja i Chiny. Ten projekt nie jest mile widziany w Gruzji z uwagi na rosnące wpływy Moskwy na południu. Gruzja musi więc lepiej przedstawić swoje argumenty jako regionalne centrum, szlak tranzytowy, musi ponownie przyjrzeć się projektom takim jak Port Głębinowy Anaklia na Morzu Czarnym. Niestety, z wydarzeń obserwowanych pod koniec lutego wynika, że Tbilisi zdaje się w ogóle tych wniosków nie wysnuwać.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Widzimy masową eskalację wewnętrznego kryzysu politycznego, opartego na polityce wendety, która wyniszczyła ten kraj przez ostatnie dziesięć lat, od kiedy rewanżyzm między Gruzińskim Marzeniem a Zjednoczonym Ruchem Narodowym dominuje w tamtejszej polityce.

Czy uważa Pan, że budowa wspomnianej infrastruktury może prowadzić ku „pojednaniu" czy jest to raczej jakiś diabelski plan Turcji i Azerbejdżanu, aby jeszcze bardziej zamknąć Armenię?

Jest to jeden z najbardziej pozytywnych elementów wynikających z zakończenia tego konfliktu. Szczególnie mam na myśli kontekst humanitarny, czyli prawo powrotu dla przesiedlonych wewnętrznie Azerbejdżan. Kolejnym pozytywnym elementem jest plan ponownego otwarcia komunikacji transportowej między Armenią a Azerbejdżanem, być może także między Armenią a Turcją. Wiemy, że Ormianie i Azerbejdżanie zawsze prowadzili wymianę handlową, również w latach przedłużającego się konfliktu. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat wspólnie handlowali w Gruzji. Jest to więc zjawisko pozytywne, nie sądzę jednak, by stało się prawdziwie trwałym zarzewiem pokoju. Nie nastąpi on, dopóki nie zobaczymy prawdziwego politycznego zaangażowania w nowym porządku. Obecnie podpisano w zasadzie porozumienie o zawieszeniu broni, do którego dołączono pewne elementy gospodarcze. Tak naprawdę nie ma żadnego planu normalizacji politycznej, rozwiązania kwestii Ormian z Karabachu i ich statusu, nie mówiąc już o pojednaniu i zakończeniu toksycznych nacjonalistycznych dyskursów między dwoma krajami. Myślę więc, że bez tego elementu politycznego możemy zobaczyć wiele strachu i nieufności pomiędzy tymi dwoma krajami oraz raczej ograniczony program gospodarczy, który być może będzie trochę odpowiadał Azerbejdżanowi i Turcji, ale nie oznacza dużego kroku naprzód dla całego regionu.

Wynegocjowane przez Rosję porozumienie o zawieszeniu broni pozostawiło wiele kwestii nierozwiązanych. Czy uważa Pan, że teraz wchodzimy w etap, w którym Erywań i Baku będą musiały znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia, czy może jest to nowy „zamrożony konflikt", a rywalizacja będzie trwała nadal, ale w innej formie?

Nie możemy mówić o pełnym pokoju. Jest to porozumienie o zawieszeniu broni, które powstrzymało walki. Mamy pięć lat, czyli określony czas mandatu rosyjskiej misji pokojowej, aby doprowadzić do pewnego rodzaju stabilizacji, normalizacji i porozumienia politycznego. Pod koniec tego pięcioletniego okresu jedna ze stron, prawdopodobnie Azerbejdżan, ma prawo zawetować przedłużenie misji pokojowej. Oczywiście Rosjanie będą starali się znaleźć mocne argumenty, aby ją kontynuować, ale oznacza to, że istnieje możliwość załamania się nowego porządku w ciągu pięciu lat. Czy

eprasa.pl b62d9b2f9d

te dwa narody są zainteresowane zawarciem trwałego pokoju? Współpracą? Byłoby to logiczne, ale nie obserwowaliśmy takiego pragmatyzmu przez ostatnie ćwierćwiecze. Obecnie oba kraje wydają się bardzo zajęte swoimi wewnętrznymi problemami. Prezydent Alijew umacnia triumf w Azerbejdżanie, starając się jeszcze bardziej zmarginalizować opozycję. W Armenii toczy się dość niepokojąca walka polityczna, w której premier Nikol Paszinjan walczy o swoje polityczne życie. To nie pozostawia wiele miejsca na myślenie perspektywiczne i współpracę z drugą stroną. Rosjanie są zainteresowani pewnego rodzaju stabilizacją, ale mają też przeciwny interes: jeśli nastąpi pełna normalizacja stosunków, to rosyjska misja pokojowa w Karabachu nie ma racji bytu. Tak więc Rosjanom również nie spieszy się do pełnego porozumienia pokojowego pomiędzy tymi dwoma krajami. Myślę więc, że najlepsze, co możemy powiedzieć, to że karty zostały przetasowane i mapa się zmieniła. Pojawiły się nowe możliwości, które ludzie mogą wykorzystać. Miejmy nadzieję, że niektóre podmioty, być może biznes, mogą zastanowić się nad nowymi możliwościami. Ale, szczerze mówiąc, nie widzę zbyt wielu dowodów na perspektywiczne myślenie strategiczne ani w Armenii, ani w Azerbejdżanie.

Co Pan sądzi o zwycięstwie Azerbejdżanu? Już teraz widzimy w tym kraju program triumfalizmu. Czy uważa Pan, że jest to moment, w którym Alijew będzie jeszcze bardziej umacniał swój autorytarny reżim? Obserwujemy również to, co dzieje się w Armenii. Czy postrzega Pan to jako porażkę aksamitnej rewolucji z 2018 roku?

Zacznę od Azerbejdżanu. Myślę, że prezydent Alijew prawie na pewno postrzega wygraną jako potwierdzenie słuszności swojej polityki prowadzonej w ciągu ostatnich dziesięciu–piętnastu lat. Mam na myśli autorytarną konsolidację, a także niezaangażowaną politykę zagraniczną. Alijew wybiera partnerów zagranicznych i współpracuje z nimi, ale nie utożsamia się z jednym konkretnym porządkiem regionalnym: czy to z Rosją, czy z Zachodem. W istocie, opierając się na dość represyjnym stylu rządzenia, Alijew patrzy na Gruzję, Armenię, Ukrainę i Turcję. Widzi, że we wszystkich tych krajach doszło do powstań społecznych, które albo zakwestionowały, albo usunęły poprzednie reżimy. Uważa, że Azerbejdżan tego uniknął. Można powiedzieć, że prezydent Azerbejdżanu odłożył problemy na później, zamiast je rozwiązywać. Nie spodziewałbym się więc żadnych zmian w polityce zagranicznej. Główną słabością Azerbejdżanu jest gospodarka. Dochody z ropy spadają. W zeszłym roku wyniosły 3,5 miliarda dolarów, w 2011 roku – 20 miliardów. Reżim będzie też prawdopodobnie musiał stawić czoło dewaluacji manata [lokalnej waluty – przyp. red.] w nadchodzących miesiącach. Wydatki związane z wojną i procesem odbudowy Karabachu będą jeszcze kosz-

eprasa.pl b62d9b2f9d

towniejsze. W kontekście politycznym jest co świętować, ale klimat ekonomiczny nie jest tak korzystny. Alijew odniósł spektakularne krótkoterminowe zwycięstwo polityczne.

Jeśli chodzi o Armenię, to z pewnością aksamitna rewolucja jawi się teraz jak odległe wspomnienie, a miała miejsce niecałe trzy lata temu. Nikol Paszinjan doszedł do władzy na ogromnej fali poparcia społecznego, ale wykorzystał ją głównie do prowadzenia wewnętrznych walk politycznych. Nie ma zbyt wielu dowodów na budowanie instytucji państwa w tym kraju. Paszinjan w reakcji na kryzys wzywa ludzi do wyjścia na ulice, co jest raczej domeną lidera opozycji, a nie szefa rządu. To też uczynił podczas ostatniego kryzysu. Aksamitna rewolucja zdołała zlikwidować jeden reżim, ale nie wprowadziła w jego miejsce nowego porządku politycznego. Mamy do czynienia z systemem hybrydowym, w którym wciąż silnie zaznacza się obecność oligarchii. Rząd Paszinjana stracił oczywiście w sondażach po katastrofalnej porażce w wojnie, ale nadal jest popularniejszy niż opozycja. Nie ma jednak zbyt wiele do zaoferowania. Po przegranej wojnie istnieje obawa, że wielu Ormian przedłoży kwestie bezpieczeństwa narodowego nad demokrację i uzna, że ważniejsza jest obrona Armenii przed Azerbejdżanem i Turcją niż budowanie demokracji.

Napisał Pan niedawno, że przykład pojednania powinien przyjść z góry. Przemówienia prezydenta Alijewa, a także premiera Paszinjana po zakończeniu wojny nie dają już tak wielkich nadziei. Nienawiść, budowanie obrazu wroga po obu stronach granicy trwa, choć wojna się skończyła. Czy myśli Pan, że politycy w Baku i Erywaniu zdają sobie sprawę z tego, jak szkodliwe dla pojednania mogą być te pełne nienawiści przemówienia, czy tylko instrumentalizują tę możliwość?

Można by mieć nadzieję, że powstała nowa możliwość zmiany tego dyskursu. Przez trzydzieści lat Armenia i Azerbejdżan były swego rodzaju przeciwieństwami, niczym yin i yang. Oba państwa definiują siebie w opozycji do drugiej strony. Armenia jest anty-Azerbejdżanem, Azerbejdżan jest anty-Armenią. Ich projekty narodowe opierały się na wzajemnym przeciwstawianiu się, niemalże na niszczeniu drugiej strony. Można by mieć nadzieję, że to się zmieni, ale słusznie Pan zauważył: mowa nienawiści nadal jest słyszalna po obydwu stronach granicy. Armenofobiczny dyskurs w Azerbejdżanie. Przy tym żadnej refleksji, że Azerbejdżan może mieć swoje winy wobec Ormian. I rozpowszechniony w Armenii pogląd, że Azerbejdżanie są dla niej egzystencjalnym zagrożeniem. Przygotowują drugie ludobójstwo. To ma usprawiedliwiać wszelkie działania Ormian. Te dyskursy są dość silne i rzeczywiście zostały wzmocnione przez ostatni konflikt. Oczywiście dobrze by się stało, gdyby odgórne przywództwo polityczne przypomniało Ormianom i Azerbejdżanom, że

eprasa.pl b62d9b2f9d

w historii istniało wiele przykładów na to, że oba narody dochodziły do porozumienia i że potrafią ze sobą współpracować. Nie spodziewam się, że to nastąpi w najbliższym czasie. Najlepsze, na co można mieć nadzieję, to stopniowe łagodzenie napięcia. Można też liczyć na to, że kontakty międzyludzkie zaczną się nieco wznawiać, szczególnie gdy obie strony będą żyły bliżej siebie. Ormianie i Azerbejdżanie zawsze dogadywali się w kwestii handlu i wielu innych dziedzinach. Na przykład wciąż współpracują ze sobą muzycy, mają podobną tradycję muzyczną. Ani jedni, ani drudzy nie mają tak bliskich kontaktów z Gruzinami.

Relacje międzyludzkie nie zmienią się radykalnie, dopóki nie zmieni się przesłanie płynące z góry. To wymaga politycznego przywództwa i politycznej woli.

Aby to osiągnąć, konieczna jest zmiana przywództwa? Czy też potrzebna jest zmiana wewnątrz przywództwa, które już jest u władzy?

Być może różni przywódcy mogliby przekazać odmienne komunikaty, ale myślę, że ci przywódcy wyłaniają się z kultury politycznej i społeczeństwa, w którym panuje szeroki konsensus w tych sprawach. Zatem oczekiwanie na innych przywódców politycznych może być błędem. Możliwe, że ich następcy mieliby tę przewagę, że nie byliby kojarzeni z tym konfliktem i mogliby otworzyć nową kartę, co, jak sądzę, byłoby pozytywne. Trzeba szukać innych członków społeczeństwa, którzy będą pracować nad zmianą tego dyskursu, czy to będą ludzie kultury, ludzie biznesu, czy młodzi ludzie, którzy być może mają dość takiego przekazu, jakim starsze pokolenia karmią ich od wielu lat.

Problem, który zawsze widziałem w relacjach między młodymi Ormianami i Azerbejdżanami, polega na tym, że nie pamiętają oni czasów, kiedy żyli razem, spędzali wspólnie czas. Młodzi ludzie są więc bardzo często bardziej konfrontacyjni w stosunku do strony przeciwnej, ponieważ brakuje im doświadczenia wspólnego życia w czasach sowieckich.

Z pewnością wielu młodych jest nastawionych antagonistycznie, dorastając w warunkach prania mózgów przez ostatnie trzy dekady, podczas gdy starsi ludzie, którzy żyli razem w czasach sowieckich, mają wspólne wspomnienia i są bardziej tolerancyjni. Mimo to uważam, że niektórzy młodsi ludzie są nieco dysydenccy i są zainteresowani budowaniem więzi między sobą. Przekonałem się o tym osobiście. Od początku konfliktu kontaktowali się ze mną i chcieli poznać ludzi z drugiej strony. Niestety, szczególnie w przypadku Azerbejdżanu, wiele z tych osób przebywa obecnie poza krajem, ponieważ nie czują się tam komfortowo i bezpiecznie. Być może – i jestem tu nieco ostrożny, ponieważ zawsze trzeba być ostrożnym w przypadku tego konfliktu – jest to początek pewnego rodzaju pokojowych wspólnych inicjatyw. Tego rodzaju wspólne inicjatywy

eprasa.pl b62d9b2f9d

można zaobserwować w wielu innych sytuacjach konfliktowych, na przykład na Cyprze lub w Irlandii Północnej, tam były one wystarczająco duże, aby zmienić wszystko. Na Kaukazie były one zawsze znacznie bardziej ograniczone, w rzeczywistości prawie nie istniały, w kontekście ormiańsko-azerbejdżańskim to zaledwie kilka jednostek. Miejmy nadzieję, że w ciągu najbliższych kilku lat te inicjatywy nieco się rozrosną i staną się czynnikiem, z którym należy się liczyć.

Powiedział Pan, że widzi jeszcze jeden pozytywny rezultat ostatniej wojny – prawo powrotu dla azerbejdżańskich przesiedleńców z lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Z drugiej strony, teraz tysiące Ormian uciekło z dystryktów odzyskanych przez Azerbejdżan. Odnoszę więc wrażenie, że zamieniamy jeden kryzys humanitarny na drugi. Jak można rozwiązać ten problem? Czy uważa Pan, że pokojowe współistnienie w Karabachu jest możliwe?

Jest kilka kwestii, które trzeba podkreślić. Po pierwsze, oczywiście tragedią jest to, że w wyniku tego konfliktu przesiedleni zostali tym razem Ormianie, ale jeśli chodzi o statystykę, liczba beneficjentów jest znacznie większa po zakończeniu konfliktu. Ponad pół miliona Azerbejdżan będzie miało prawo do powrotu. Myślę, że powinniśmy mówić o prawie do powrotu, ponieważ minie wiele lat, zanim te okupowane dystrykty Azerbejdżanu zostaną rozminowane i zrekonstruowane, a następnie staną się zdatne do zamieszkania. Ludzie już teraz nielicznie odwiedzają swoje dawne domy. Z pewnością dotyczy to ponad 5 procent całej populacji Azerbejdżanu. Można to postrzegać jako wielki humanitarny plus tego konfliktu. Z pewnością szkoda, że doszło do tego w wyniku wojny, podczas gdy teoretycznie można było to osiągnąć dzięki pokojowemu porozumieniu bez rozlewu krwi. Z drugiej strony, ma Pan rację, mówiąc, że są nowi przesiedleńcy: ponad 30 tysięcy Ormian z Karabachu, szczególnie z regionu Hadrut, a także z miasta Szusza lub Szuszi, jak nazywają je Ormianie. Pozostaje też kilka tysięcy Azerbejdżan, którzy nie mają w tej chwili prawa powrotu: to Azerbejdżanie z Chodżałów, z Karabachu, a także z miasta Laczyn. Przesiedleni Ormianie z pewnością znaleźli się w tragicznej sytuacji i będą stanowić rozgoryczony elektorat. Czy możliwe jest pokojowe współistnienie? Prawdopodobnie stanie się to, gdy dojdzie do pełnego porozumienia politycznego. Na co można liczyć w tej chwili? Określiłbym to „życiem obok siebie", zachodzi pewnego rodzaju interakcja pomiędzy obiema stronami, przede wszystkim poprzez handel i biznes. Ale Ormianie i Azerbejdżanie będą żyć w tych samych miejscach, obok siebie w bardzo, bardzo odległej perspektywie.

Wielu Ormian jest w stanie zaprzeczania rzeczywistości, podczas gdy Azerbejdżanie tworzą triumfalistyczną, ale nierealistyczną narrację. Nie

eprasa.pl b62d9b2f9d

zdają sobie sprawy, jaki jest rzeczywisty koszt odbudowy okupowanych regionów i części Karabachu pod kontrolą Azerbejdżanu. Ale czy Górski Karabach jako odrębny, nieformalny byt nadal istnieje? Czy też status, który miał w czasach sowieckich i przez ostatnie trzydzieści lat, minął i nie będziemy już się na niego powoływać?

To ważne pytanie i nie jestem pewien, czy mam na nie odpowiedź. Z pewnością możemy powiedzieć, że Górski Karabach jako jednostka terytorialna w granicach wyznaczonych w 1923 roku, kiedy to utworzono Górsko-Karabaski Obwód Autonomiczny, tak naprawdę nie istnieje w tym sensie, że Azerbejdżan kontroluje obecnie około trzeciej części tego terytorium i nie uznaje go już za odrębną jednostkę. Mimo to Ormianie z Karabachu nadal tam są, dla nich jest to ojczyzna. Jak wiemy, są to niezwykle twardzi ludzie, którzy nie zamierzają tak po prostu poddać się Azerbejdżanowi. Pomysł, że pokojowo włączą się ponownie do Azerbejdżanu, jest mrzonką. Zatem pytanie brzmi: Co stanie się z tymi ludźmi na mniejszym terytorium, które im pozostało? W perspektywie krótkoterminowej wiele zależy od rosyjskiej strategii. Czy Moskwa zamierza uczynić z nich małą rosyjską enklawę i dać im rosyjskie paszporty? Czy są oni mniej ważni na liście rosyjskich priorytetów niż Azerbejdżan? To wszystko są pytania bez odpowiedzi. Myślę, że możemy z całą pewnością powiedzieć, że Ormianie z Karabachu są ważną grupą w regionie, a także w narodzie ormiańskim. Pomysł, że po prostu poddadzą się, jest nie do zrealizowania. Potrzebują jakiegoś sprawiedliwego rozwiązania. Nie otrzymają niepodległości, ale chcą być czymś więcej niż zwykłym dystryktem Azerbejdżanu. I to jest wyzwanie, które pozostaje. Zawsze stanowiło to sedno tego konfliktu i nie zostanie on rozwiązany, dopóki kwestia ta nie będzie rozstrzygnięta.

Thomas de Waal jest analitykiem Centrum Carnegie, specjalizuje się w problematyce Europy Wschodniej i Kaukazu. Autor bestsellerowych książek: *The Caucasus: An Introduction* (Oxford University Press, 2018); *Great Catastrophe: Armenians and Turks in the Shadow of Genocide* (Oxford University Press, 2015); *Black Garden: Armenia and Azerbaijan Through Peace and War* (NYU Press, wydanie drugie: 2013).

eprasa.pl b62d9b2f9d

Kiedy znika kostka cukru

Ewa Polak

Torturowana przez rodzinę kobieta stara się wyzwolić. Ale teściowie, sąsiedzi i policjanci natarczywie pytają: jak możesz to zrobić swojemu mężowi? Chcesz, żeby twoje dzieci wychowywały się bez ojca? Jak im spojrzysz w oczy i powiesz, że to przez ciebie są sierotami? Tak działa patriarchalne ormiańskie społeczeństwo.

W sierpniu 2020 roku rozpoczął się proces sióstr Chaczaturjan. Dokładniej: dwa procesy, bo najmłodsza z sióstr oskarżonych o morderstwo ojca jest sądzona oddzielnie. Kristinie, Angelinie i Marii grozi do dwudziestu lat więzienia.

Prowadzone przez dwa lata śledztwo wykazało, że nastoletnie Ormianki długo były ofiarami psychicznego i fizycznego znęcania się ze strony ojca – Michaiła Chaczaturjana. Dziewczyny także wykorzystywano seksualnie. Na początku grudnia 2019 roku śledczy sfinalizowali akt oskarżenia przeciwko trzem siostrom. Stwierdzono w nim, że morderstwa dokonały z premedytacją, kierując się „silną osobistą niechęcią wobec ojca" z powodu ciągłego fizycznego wykorzystywania. Taka kwalifikacja czynu działa zdecydowanie na ich niekorzyść. Obrońcy twierdzą, że działały one w obronie własnej; z powodu braku odpowiednich mechanizmów ochronnych wobec ofiar przemocy domowej ich jedynym wyborem była obrona albo śmierć z rąk ojca.

Sprawa przyciągnęła uwagę światowych mediów i przez moment do głosu dopuszczono organizacje walczące z przemocą wobec kobiet, w tym te z Rosji – gdzie mieszkają siostry Chaczaturjan, i te z Armenii – skąd pochodzi ich rodzina. Niestety, „jak zwykle" i „przy okazji", gdy ktoś ginie, choć alarm podnosiły od dawna. Zainteresowanie jest też większe, gdy zamordowanym jest sprawca, nie ofiara przemocy domowej, bo sytuacja wymyka się stereotypowi i podważa ustalone społecznie role. Zwykle jednak ofiara pozostaje niewidoczna – dla krewnych, dla policji, dla mediów – nawet gdy umiera. Bez blasku fleszy to „sprawa rodzinna", w zacienionych gabinetach – „politycznie wrażliwa".

Blizny

„Sam bym zabił, gdyby ktoś stanął mi na drodze do mojego dziecka i nie pozwalałby mi się z nim widzieć!" – takie komentarze można było przeczytać pod do-

eprasa.pl b62d9b2f9d

niesieniami medialnymi o brutalnym morderstwie dokonanym w Erywaniu. Trzydziestojednoletni Władik Martirosjan na oczach swojego półtorarocznego dziecka siekierą zamordował teściową, ciężko ranił teścia i byłą żonę Taguhi.

Nie więcej jak trzy miesiące wcześniej został skazany na pół roku więzienia w zawieszeniu za znęcanie się nad nią. W dniu tragedii pojawił się już wcześniej w domu teściów, gdzie schroniła się kobieta z dzieckiem – pobił Taguhi i jej matkę, próbując sforsować drzwi wejściowe. Poszkodowane zgłosiły sprawę na policję, która przybyła na miejsce zdarzenia i zabrała kobiety. Martirosjan wymówił się złym samopoczuciem i obiecał, że zgłosi się kolejnego dnia. Taguhi mówi, że atak ze strony byłego męża nie był dla niej zaskoczeniem, spodziewała się go. Zanim wysiadła z rodzicami i dzieckiem z radiowozu, który odwiózł ich pod dom, prosiła, by policjanci upewnili się, że Martirosjana nie ma w okolicy. Mundurowi zapewnili, że wszystko będzie dobrze i nie wychodząc z auta, odjechali. Mężczyzna zaś czekał na klatce schodowej uzbrojony w siekierę. Gdy rodzina pchnęła drzwi, atakował ich, uderzając w głowę, brzuch, kończyny. Po ponad czterech latach od zdarzenia Martirosjan wciąż nie został skazany (werdykt miał zapaść, gdy pandemia osiągnęła szczyt w Armenii), natomiast dalej walczy o prawo widywania się z dzieckiem. Przecież jest ojcem!

Zwykle ofiara pozostaje niewidoczna – dla krewnych, dla policji, dla mediów – nawet gdy umiera. Bez blasku fleszy to „sprawa rodzinna", w zacienionych gabinetach „politycznie wrażliwa".

Przypadek Taguhi jest wyjątkowy z kilku względów. Na pewno jest ona silną kobietą: mimo braku wykształcenia i pracy zdecydowała się odejść od męża w niepewną przyszłość. Przeżyła atak, którego brutalność wstrząsnęła opinią publiczną. Taguhi zaczęła działać nie tylko w swoim imieniu, ale także dla swojego dziecka i na rzecz innych kobiet, próbując doprowadzić do zmian w legislacji i w świadomości Ormian. Znajduje w sobie siłę, by pokazać blizny, by przemawiać z mównicy Zgromadzenia Narodowego, by po raz kolejny opowiadać o tym, co ją spotkało i co należy zrobić, by inni ludzie nie musieli dzielić jej losu. Przede wszystkim miała wsparcie rodziny, które pozwoliło jej zrobić pierwszy, najtrudniejszy krok. A to wcale nie jest oczywiste.

Co się stało po tym, gdy z cukiernicy zniknęły dwie kostki cukru to tytuł opowiadania dziewiętnastowiecznego ormiańskiego pisarza Nar-Dosa (w rzeczywistości Michael Howhannisjan). Główna bohaterka Anan jest oskarżona o podbieranie cukru bez zgody teściowej. Z całej sprawy wynika awantura: Anan zostaje zaatakowana najpierw przez surową Heghnar, a potem zabita przez męża Jagora. Można uznać, że to południowokaukaski odpowiednik polskiego „bo zupa była za słona", z tą jednak różnicą, że autor przewidział kluczową partię dla teściowej. Ta zaś wydaje się

eprasa.pl b62d9b2f9d

wciąż nie wychodzić z roli przewidzianej w szkolnej lekturze i po dziś dzień odgrywa ją w wielu ormiańskich rodzinach.

Rodzice Władika Martirosjana poszli razem z synem do sądu walczyć o jego prawa rodzicielskie, a za całą sytuację winą obarczają synową Taguhi. Ciotka i kuzyn sióstr Chaczaturjan również nie mają wątpliwości, że dziewczyny niesłusznie pokazywane są w roli ofiar. Podobno miały chcieć się pozbyć ojca, który umyślił przeprowadzić się z nimi do Izraela – bez niego mogłyby żyć po swojemu, nic by ich nie ograniczało. Dlatego miały zaplanować morderstwo i samookaleczyć się, by winę zrzucić na niego. Oczywiście rodzina Michaiła Chaczaturjana nie daje też wiary w opowieści o przemocy, o wykorzystywaniu seksualnym, o codziennym terrorze, którego doświadczały siostry, i stara się o „odzyskanie jego dobrego imienia" w mediach.

Dwudziestoletnią Zaruhi mąż i teściowa pobili na śmierć. Wcześniej przez wiele lat wspólnie się nad nią znęcali. Dziewczyna była sierotą i nie miał kto się za nią wstawić. Według jej siostry, policja nawet sporządzała jakieś raporty – nie wiadomo, czy na niekorzyść Zaruhi przeważyło to, że jej mąż miał krewnych w policji (na co lubił się powoływać, odbierając jej nadzieję na pomoc), czy też zwykłe machnięcie ręką na „domowe problemy".

Specyfika przemocy domowej, gdzie zagrożenie płynie ze strony najbliższych, od których ofiary są uzależnione emocjonalnie i finansowo, to przekleństwo, zwłaszcza w społeczeństwach, gdzie „dobro" (czytaj: trwałość) patriarchalnej rodziny jest stawiane ponad wszystko. Zwykle to właśnie krewni zmuszają mężatki, by trwały w toksycznym, niebezpiecznym związku, a gdy dziewczyna próbuje się ratować, oskarżają ją o rozbicie rodziny. Kobiety słyszą, że skoro nie układa im się w nowej rodzinie, tym bardziej nie ma co się afiszować, tym bardziej trzeba zachować to dla siebie. Że to rodzinna, normalna, może trochę wstydliwa sprawa i nie należy w nią mieszać obcych. A gdy kobieta stara się wyzwolić, teściowie, sąsiedzi i policjanci natarczywie pytają: jak możesz to zrobić swojemu mężowi? Chcesz, żeby twoje dzieci wychowywały się bez ojca? Jak im spojrzysz w oczy i powiesz, że to przez ciebie są sierotami? Przemoc domowa w Armenii jest zbiorowa, „rodzinna", nawet gdy na kobietę rękę podnosi tylko jedna osoba.

Gorąca linia

Zdaniem ekspertek, co piąta kobieta w Armenii doświadcza przemocy domowej. Każdego roku od dziesięciu do piętnastu z nich ginie z rąk najbliższych. Południowokaukaska republika poczyniła w ostatnich latach wymierny postęp w walce przeciwko dyskryminacji i przemocy wobec kobiet. Jeszcze przedrewolucyjny parlament (złożony w znacznej mierze z przedstawicieli Republikańskiej Partii Arme-

eprasa.pl b62d9b2f9d

nii) zdążył przyjąć wzbudzające emocje prawo „O przeciwdziałaniu przemocy domowej i przywracaniu solidarności w rodzinach". Specjaliści zajmujący się prawami kobiet dziwią się, widząc drugi człon nazwy dokumentu – zdradza on, jakie dyskusje towarzyszyły jego powstawaniu i jakie argumenty padały ze strony jego przeciwników. Niewiele więcej niż miesiąc po tym wydarzeniu Armenia podpisała konwencję stambulską. Tworzono kolejne dokumenty mające na celu rozpisanie działań zmierzających do wypełnienia podjętych zobowiązań. Powstała rządowa rada do spraw zapobiegania przemocy domowej, rozpoczęto szkolenia dla policji, otwarto państwową gorącą linię. Choć wiele zostało do zrobienia, wydawać by się mogło, że apele aktywistek i ekspertek zostały w końcu wysłuchane.

To wszystko działo się w przededniu wejścia w życie nowej umowy ramowej mającej na celu uregulowanie relacji pomiędzy Erywaniem a Brukselą. Serż Sargsjan właśnie kończył drugą kadencję prezydencką i chciał, by umowa stanowiła kolejny etap przybliżania Armenii do Unii Europejskiej, zwłaszcza w kontekście jego decyzji z 2013 roku, która na kilka lat odsunęła kaukaskie państwo od zjednoczonej Europy. Sargsjan po wizycie w Moskwie ogłosił wówczas, że Armenia nie podpisze umowy stowarzyszeniowej z Unią, a niedługo potem zdecydował o zacieśnieniu sojuszu z Rosją i wstąpieniu do euroazjatyckiego projektu integracyjnego pod jej egidą. W 2017 roku nie chciał, by coś stanęło mu na drodze w realizacji planu zbliżenia z Europą, wymusił więc na podległych mu jako liderowi partii deputowanych republikanach, by głosowali za ochroną praw kobiet. A że działo się to wbrew znacznej części ormiańskiego społeczeństwa: konserwatywnego i zmanipulowanego przez przeciwnych zmianom krzykaczy? Nie pierwszy raz interesy byłego już prezydenta nie były zbieżne z przekonaniami Ormian. Gdy w 2020 roku w cyklicznych badaniach społecznych pytano ich o konwencję stambulską, jedynie 22 procent ankietowanych opowiedziało się za jej przyjęciem. Ta po dziś dzień nie została jeszcze w Armenii ratyfikowana.

Walka

Poradzieckie społeczeństwa od zgoła trzydziestu lat stoją przed wyborami mającymi cywilizacyjne znaczenie. Początkowo działały w napięciu pomiędzy inercją starych struktur tworzących socjalistyczny kraj a zapałem do działania, do pierestrojki, czyli przebudowy zastanego porządku. W praktyce dla jednych czas ten oznaczał bogacenie się i konsolidowanie władzy, dla innych – walkę o codzienne trwanie. Dla tych, co się odnaleźli w nowych realiach – zachwyt nad liberalnym turbokapitalizmem, dla tych, którzy radzili sobie słabiej – tęsknotę za uprzednią stabilnością i względnym poczuciem bezpieczeństwa.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Gdy kurz po upadku ZSRR trochę opadł, a pierwszy szok i naiwne oczekiwania się rozwiały, Rosja przystąpiła do odbudowywania pozycji w regionie i na świecie. Tworzyła kolejne struktury integracyjne i nie pozwalała, by „bliska zagranica" wyszła poza jej orbitę wpływów. W podobnych kategoriach rosyjskie kierownictwo postrzegało działania państw Zachodu na rzecz zbliżenia z byłymi republikami ZSRR. Niezależnie od pewnych niedostatków Partnerstwa Wschodniego oferta zacieśniania więzi z Europą jawiła się na tyle atrakcyjnie, że państwa partnerskie mogły uznać ją za lepszą od rosyjskiej. Moskwa nie chciała jednak do tego dopuścić. Gdy więc Bruksela zamierzała grać w szachy, Kreml podjął decyzję, że będzie uprawiać boks.

Na pierwszym miejscu wśród obaw powstrzymujących przed wyrażeniem poparcia dla członkostwa Armenii w Unii Europejskiej jest przekonanie, że „zaszkodzi to ormiańskiej kulturze i tradycjom".

Pozostająca w najstarszym nierozwiązanym konflikcie na terytorium poradzieckim (wojna o Górski Karabach) i zależna gospodarczo Armenia jest wyjątkowo podatna na naciski Kremla. I choć Moskwa może różnymi sposobami wpływać na armeńskich liderów, ma jednak świadomość, że z ormiańskim społeczeństwem nie pójdzie jej tak łatwo. Trudno kogoś zmusić do sympatii: jeszcze w 2013 roku 83 procent Ormian uważało Rosję za największego „przyjaciela" Armenii, dziś jest to 57 procent. Najlepiej więc wykreować i wskazać wspólnego wroga.

Ormianie przez stulecia byli pozbawieni własnego państwa i zmuszeni do życia jako poddani innych regionalnych imperiów – perskiego, osmańskiego czy rosyjskiego, które przekształciło się w radzieckie. Z tego wynikają ich dwie mocno zakorzenione cechy narodowe: niechęć do instytucji państwowych postrzeganych jako narzędzia opresji i silne przywiązanie do tradycji. Pozwalało to im zachować tożsamość, nie rozpłynąć się w masie innych narodów i doczekać powstania niepodległego państwa ormiańskiego. Dlatego też na pierwszym miejscu wśród obaw powstrzymujących ich przed wyrażeniem poparcia dla członkostwa Armenii w Unii Europejskiej jest przekonanie, że „zaszkodzi to ormiańskiej kulturze i tradycjom". Tak odpowiedziała prawie trzecia część ankietowanych. Natomiast 18 procent z nich obawia się, że członkostwo we Wspólnocie negatywnie wpłynie na relacje z Rosją. Prokremlowskie środowiska wiedzą więc, jaką kartą grać, by skutecznie odstraszać Ormian od Europy. Idealną ku temu okazją są dyskusje dotyczące mechanizmów zapobiegania przemocy domowej, gdzie można było odwołać się do obu lęków – przed ingerencją ze strony państwa oraz przed podważaniem konserwatywnego porządku społecznego. Kwestia praw kobiet stała się polem walki geopolitycznej.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Godność

Pierwsi pojawili się aktywiści – przeciwnicy nowych przepisów, którzy wybudzali swoje organizacje z hibernacji w momentach ideologicznego wzmożenia. Podający się za obrońców rodzin działacze okazali się jednocześnie członkami rosyjskojęzycznych klubów dyskusyjnych i gośćmi agencji informacyjnej Sputnik. Nie zajęło wiele czasu ustalenie, że organizacje, które reprezentowali – Panarmeński Komitet Rodzicielski, Stop G7, Centrum Informacji i Analiz „Lyus", gazeta „Iravunk" i inne – działały pod parasolem siostrzanych organizacji w Rosji i to stamtąd płynęły do nich wyrazy poparcia, również w formie materialnej. Za nimi pojawiła się dezinformacja – niemające związku z faktyczną treścią przepisów emocjonalne przekazy, które jak kręgi po wodzie rozchodziły się coraz szerzej wśród armeńskiego społeczeństwa. Według nich Unia Europejska miała zmusić Armenię do przyjęcia prawa pozwalającego państwu odbierać rodzinom dzieci, wyrzucać z domu mężów na życzenie ich kapryśnych żon, otwierając kobietom drogę do wywłaszczania mężczyzn i przejmowania majątków. Tak jak w przypadku Taguhi, która „była winna" odcięcia męża od dziecka i tak jak w przypadku sióstr Chaczaturjan, które „pozbyły się" ojca stojącego im na drodze. Politycy chętnie wpisali się w ten chór, prezentując coraz bardziej karkołomne solowe popisy interpretacji szykowanego aktu prawnego. Pewnie nie bez związku jest fakt, że melodia, na którą śpiewali, zależała od geopolitycznych sympatii, a tonacja – od dominującej w parlamencie płci.

Najaktywniejsi „antygenderowi" działacze pojawiają się w Armenii w ważnych politycznie momentach: w okresie negocjowania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską (nie podpisano jej w 2013 roku), w przededniu wejścia w życie nowej umowy ramowej o pogłębionej współpracy (podpisana 24 listopada 2017 roku, weszła w życie 1 czerwca 2018 roku), a teraz także w nowym kontekście porewolucyjnej Armenii. Ta jest szczególnie wrażliwa na punkcie relacji z Rosją. Z jednej strony premier Nikol Paszinjan chciałby się prezentować wyborcom jako gracz przywracający Armenii podmiotowość w stosunkach z zagranicą – godność Ormian była bowiem największą siłą napędową rewolucji, która wyniosła go ku władzy. Jednocześnie jednak sukces ten osiągnięto przy milczącej akceptacji Moskwy, wobec której nowe władze musiały wykonać szereg gestów zapewniających o stabilności kursu armeńskich relacji zagranicznych, a także o nienaruszaniu pewnych sfer interesów. Ze względu na niewielkie doświadczenie polityczne ekipy Paszinjana Kreml może chcieć przesuwać ich granice, wiedząc, że podstawowe uwarunkowania geopolityczne Armenii nie zmieniły się przecież wraz ze zmianą osób u steru państwa. Przedstawiciele poprzedniej ekipy również mają świadomość tych ograniczeń i pewnie lepiej niż ktokolwiek inny zdają sobie sprawę z tego, jak ciasne pole manewru ma

eprasa.pl b62d9b2f9d

Nikol Paszinjan. Znają swoje społeczeństwo, znają Rosję i liczą, że odpowiednio poprowadzona strategia pozwoli im wrócić do władzy.

Nikol Paszinjan wobec braku jasno wyznaczonych celów politycznych stał się zakładnikiem swojej popularności. To zaś powoduje, że wycofuje się on z wielu potencjalnie budzących kontrowersje reform jeszcze przed ich rozpoczęciem. Tak było między innymi w przypadku decyzji w sprawie konwencji stambulskiej. Armenia podpisała ją w 2018 roku, jeszcze pod rządami Serża Sargsjana i Republikańskiej Partii Armenii. Gdy obecny rząd wyraził chęć ratyfikowania dokumentu, przez Armenię po raz kolejny przetoczyła się dyskusja, w której padły argumenty o narzuceniu obcych wartości tradycyjnej ormiańskiej rodzinie. Do utartego podziału na obóz proeuropejski i obóz prorosyjski dołączyli Apostolski Kościół Ormiański i politycy partii republikańskiej – jednocząc siły z tym drugim. Nie miało większego znaczenia, że raptem parę lat wcześniej ci sami politycy zagłosowali za podpisaniem dokumentu. Pod internetową petycją przeciw konwencji, utworzoną przez przewodniczącego Izby Adwokackiej, podpisał się rzecznik Republikańskiej Partii Armenii, dopisując „Nie dla perwersji!". Po tak zmasowanym ataku rząd Paszinjana wycofał się rakiem z pomysłu.

Temat przemocy domowej w Armenii wraca jak bumerang. Prawdopodobnie nie będzie też o wiele lepszego ani o wiele gorszego momentu, by się nim zająć. Nikol Paszinjan próbuje poczynić ukłon w stronę konserwatywnego społeczeństwa. Stara się też wpisać kwestię przemocy domowej w szerszy kontekst: żaden obywatel Armenii nie powinien być ofiarą przemocy: „Niektórzy nie lubią wysokich ludzi, inni nie lubią tych niskich, niektórzy nie lubią fanów żuliena [ormiańskiej potrawy – przyp. E.P.], jeszcze inni miłośników kebabu i tak dalej. My mówimy, że nie powinno być przemocy wobec żadnego obywatela Armenii, w tym dzieci. W przypadku przemocy wobec małoletniego państwo ma prawo do interwencji. Jeśli stosuje się przemoc wobec kobiet, państwo musi ingerować. Przemoc nie powinna być stosowana wobec nikogo". Premier zaznaczył, że wynika to z logiki i ideologii rewolucji, w której Ormianie postawili sobie za zadanie uwolnienie społeczeństwa od wszelkich form prześladowań. Pomimo deklaracji społeczeństwo wciąż nie wydaje się w pełni gotowe na rewolucję – tę, po której stronie walczą siostry Chaczaturjan, Taguhi i wiele innych ormiańskich kobiet.

Ewa Polak jest analityczką i antropolożką polityki, zajmuje się krajami byłego ZSRR. Stała współpracowniczka „Nowej Europy Wschodniej". Prowadziła badania w Rosji, na Ukrainie, Białorusi i w Uzbekistanie. Przez pięć lat mieszkała i pracowała w Armenii.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Kryzys i zmierzch Zachodu na Kaukazie Południowym

Bartłomiej Krzysztan

Od kilku lat na Kaukazie Południowym wyraźniej obnażana jest słabość Zachodu. Wyczerpywanie się idei wolności i traktowanie jej jako jedynego pożądanego rozwiązania skutkuje kryzysami demokracji w Armenii i Gruzji. Brak działania oznaczać może stopniowe staczanie się południowokaukaskich republik w otchłań autorytaryzmu.

Dokładnie sto lat temu Armia Czerwona, zajmując Gruzję, dokonała pełnej aneksji Kaukazu Południowego – bolszewicy przejęli władzę na kolejne siedemdziesiąt lat. W dzisiejszej sytuacji wewnętrznej, regionalnej oraz mocarstwowej układance, można odnaleźć wiele analogii do roku 1921. Nie oznacza to, że w najbliższym czasie któreś z regionalnych lub światowych mocarstw planuje aneksję Armenii, Azerbejdżanu i Gruzji. Jednak geopolityczne roszady w znaczącej mierze wpływają na politykę poszczególnych graczy w regionie, a tym samym ograniczają suwerenność i podmiotowość południowokaukaskich republik. W konsekwencji najbardziej traci na tym demokracja.

Dyskretny urok autorytaryzmu

Podobnie stracone w wyniku zaniechania i agresji zostały trzy rozwijające się, targane konfliktami i problemami zewnętrznymi, ale jednak unikatowe projekty demokratyczne utworzone po zakończeniu I wojny światowej. Wówczas Kaukaz Południowy został włączony do nowej odsłony kolonialnego podporządkowania, ulegając sowietyzacji. Krótkie doświadczenie niepodległości okazało się tylko pełnym nadziei, ale jednak epizodem – zaburzeniem w długiej historii dependencji. Aktualnie zależności są znacznie subtelniejsze, a proces stopniowy, wszystko wskazuje jednak na to, że jego konsekwencje będą analogiczne. Bo ponowne wtłoczenie państw regionu w wielowiekową tradycję podporządkowania i *quasi*-niezależności może skutkować tylko jednym – ostatecznym upadkiem nadziei na zmianę i stabilizację. Ten kryzys demokracji nie jest nagłym, zaskakującym załamaniem, ale procesem długotrwałym i wieloaspektowym, którego struktury zdają się wyni-

eprasa.pl b62d9b2f9d

kać z unikalnego doświadczenia historycznego przestrzeni na skrzyżowaniu szlaków kulturowych, geograficznych i politycznych, jaką jest Kaukaz.

Zwykliśmy sądzić, że demokracja jako idea w połączeniu z wolnością, a w wydaniu amerykańskim również nieposkromionym kapitalizmem, jest niezwykle atrakcyjnym produktem eksportowym zachodniego świata. Hurraoptymizm lat dziewięćdziesiątych XX wieku, koniec historii, a następnie prodemokratyczne zrywy w krajach posowieckich w pierwszej dekadzie XXI wieku skłoniły nawet największych sceptyków do przekonania, że dla proponowanego modelu nie ma żadnej równie sensownej alternatywy. Na pozór logiczne domniemanie, bo dlaczego kogoś mogłyby przyciągać ograniczenia wolności, a w skrajnych przypadkach obozy koncentracyjne. Problem zaczyna się, kiedy zachęcająca idea jako produkt eksportowy okazuje się wyłącznie atrakcyjnie opakowana, a jest pusta w środku. Jednocześnie implementowana na miejscu bez odpowiedniego kulturowego i politycznego przygotowania staje się ironicznym obrazem samej siebie, kiczowatym pastiszem.

Demokracja po kaukasku nie jest tym samym, co starannie teoretycznie skrojony przez politologów typ idealny. Nie jest też nawet odbiciem obywatelskich, a jednocześnie zróżnicowanych w szczegółach modeli demokracji w krajach globalnej, bogatej Północy. W Gruzji i Armenii demokracja to przede wszystkim przekonanie, że własne niezadowolenie wyrażać się powinno przez wyjście na ulice. Jakkolwiek w przypadku przyzwyczajonych do zupełnie innych uwarunkowań, pozbawionych obywatelskiej edukacji zwykłych mieszkańców Tbilisi i Erywania może to być jeszcze zrozumiałe, tak już wykorzystywanie protestów i kontestacji jako podstawowego narzędzia walki politycznej przez liderów zarówno rządzących, jak i opozycyjnych ugrupowań wykracza poza ogólnie przyjęte standardy. Fale protestów przetaczające się od zakończenia wojny w Armenii są tego dobrym przykładem. Zrozumiałe jest wykorzystywanie obywatelskiego sprzeciwu przez opozycję, ale nieodpowiedzialnością zdaje się odpieranie ataków przez premiera Nikola Paszinjana wywoływaniem własnych zwolenników na ulicę. W dojrzałej demokracji bowiem pełnienie najważniejszej funkcji publicznej, a taką jest premierostwo w Armenii, musi łączyć się z porzuceniem roli trybuna ludowego.

W Gruzji i Armenii demokracja to przede wszystkim przekonanie, że własne niezadowolenie wyrażać się powinno przez wyjście na ulice.

Podobnie jest w Gruzji. Opozycja i rządzące Gruzińskie Marzenie od wyborów zamiast spróbować w drodze dialogu i kompromisu ustabilizować sytuację w kraju, skłania się ku konfrontacji, która opiera się na schemacie zerojedynkowej gry. Albo my, albo oni. Przy okazji nadużywanie tego narzędzia wytraca jego skuteczność jako

eprasa.pl b62d9b2f9d

zabezpieczającego mechanizmu w momentach kryzysowych. Wypacza to rozumienie sprzeciwu jako aktywności obywatelskiej na rzecz traktowania go jak jedynego sposobu działania. Jednocześnie to, co jest podstawą skonsolidowanej demokracji i państwa prawa, a więc niezależne instytucje, nie są kształtowane, przy czym można odnieść wrażenie, że gdyby nie sugestie partnerów z Zachodu – nikt prawdopodobnie nawet nie próbowałby ich budować. Nic dziwnego więc, że zaczyna się to źle kojarzyć, a modele alternatywne, całkowicie nie do przyjęcia dla obywatelskiego Zachodu, zaczynają wydawać się całkiem atrakcyjną perspektywą.

Do tego dochodzi jeszcze fakt, że staranie się o dołączenie do zorganizowanego świata Zachodu przestało być trendy. Przestało być warte ogromnej ilości starań i wyrzeczeń, bo druga strona nie jest i nigdy nie była partnerem, a w zamian za faktyczne starania, z różnym skutkiem, odpowiada wyłącznie obietnicami i kolejnymi wymaganiami. Po latach oczekiwania na wzajemność i bardziej wymierne rezultaty na Kaukazie cierpliwość się powoli kończy. Znacznie bardziej pociągająca zdaje się demokracja regulowana, sterowana odgórnie, nieliberalna, ale taka, która zabezpiecza, stabilizuje i chroni. W takich okolicznościach nie dziwi więc zupełnie, że rządy silnej ręki, powolne staczanie się w autorytaryzm, mają dyskretny urok. Całkowicie zaskakująco dla zapatrzonego w siebie Zachodu, hybrydowe, *quasi*-demokratyczne, semiautorytarne reżimy stały się kuszącą alternatywą.

Autorytarna stabilizacja

Po uzyskaniu niepodległości po rozpadzie ZSRR Azerbejdżan praktycznie od samego początku zrezygnował z idei implementacji demokracji. Reżim Alijewów, najpierw ojca Hejdara, a następnie syna Ilhama, został skonstruowany na mieszance paternalizmu, klanowego klientelizmu i oligarchicznych powiązań, w oparciu o zasobność w bogactwa naturalne. Omawiając więc kryzys demokracji na Kaukazie Południowym, wydawać by się mogło, że bakijski system władzy i zarządzania państwem powinien zostać pominięty. To pozorne, ponieważ dynamika przekształceń w kaspijskim chanacie oddziałuje na Gruzję i Armenię w stopniu dużo bardziej znaczącym, niż chcieliby i uświadamiają to sobie politycy w Tbilisi i Erywaniu. Abstrahując bowiem od represyjnego reżimu, regularnie zamykającego stawkę w indeksach wolności, wspólnie z Turkmenistanem, Koreą Północną czy Erytreą, Azerbejdżan na tle swoich sąsiadów przynajmniej pozornie jest ostoją stabilności. Gruzja – w latach dziewięćdziesiątych XX wieku rozbite państwo z dwoma republikami separatystycznymi, kilkuletni brak kontroli nad Autonomiczną Republiką Adżarii, permanentny kryzys ekonomiczny, rewolucja róż, wojna domowa, wojna sierpniowa z Rosją, regularne zamieszki i protesty, spolaryzowana i skonfliktowana scena polityczna,

eprasa.pl b62d9b2f9d

czworo prezydentów, kilkunastu premierów. Armenia – konflikt o Górski Karabach, a więc trzy wojny, zamach w parlamencie, pałacowy zamach stanu, klientelistyczny *quasi*-demokratyczny reżim przez dwie dekady, stagnacja ekonomiczna, regularne protesty z ofiarami śmiertelnymi, nieudana kolorowa rewolucja, aksamitna rewolucja, czterech prezydentów, kilkunastu premierów. Na poziomie faktów Azerbejdżan nie jest oczywiście pozbawiony problemów – Górski Karabach, jednowymiarowa gospodarka oparta na surowcach, powracające kryzysy ekonomiczne wynikające z uzależnienia manata od światowych cen ropy i gazu, ogromne nierówności pomiędzy ociekającym bogactwem Baku i biedną prowincją. Jednak dla zmęczonych ciągłymi zmianami i wewnętrznymi konfliktami Gruzinów i Ormian stabilność w Azerbejdżanie może być kusząca, a cena, jaką muszą płacić jego obywatele w postaci zamordyzmu i politycznych represji, coraz częściej staje się niedostrzegalna, albo, co gorsza, nieistotna. Szczególnie że podobne skuteczne wzorce pozornego stabilizowania przez autorytaryzację polityki można odnaleźć w sąsiedniej Turcji czy w Rosji. Negatywną przeciwwagą z kolei często w dyskursie jest stale wewnętrznie rozbita Ukraina. W poszukiwaniu stabilności można zrezygnować z wolności i demokracji, zwłaszcza że coraz częściej mylącym przekonaniem jest to, że ich brak w autorytarnym systemie rekompensowany jest przez zapewnienie bezpieczeństwa. Zwycięska kampania Alijewa w Górskim Karabachu może to przeświadczenie, szczególnie w Armenii, umacniać. Demokracja oznacza brak stabilizacji i porażkę w konflikcie, który dla Ormian jest istotną częścią posowieckiego projektu tożsamościowego. Wojna karabaska sugeruje, że stabilna dyktatura lub nieliberalna demokracja, takie jak w Azerbejdżanie czy w Turcji, a także w Rosji, są znacznie skuteczniejsze. A jednocześnie – bezpieczniejsze od demokracji.

Na Kaukazie Południowym demokracja przegrywa w narracyjnym starciu z potrzebą bezpieczeństwa. Obywatele państw regionu są gotowi zrezygnować z wolności na jego rzecz.

Kuszenie pięknymi ideami

Na Kaukazie Południowym demokracja coraz częściej przegrywa w narracyjnym starciu z potrzebą bezpieczeństwa. Obywatele państw regionu są gotowi zrezygnować z wolności na jego rzecz. Wojna o Górski Karabach wyznaczyła niebezpieczny wzorzec. Okazało się bowiem, że skuteczniejsze są autorytarne reżimy w Turcji, Rosji i Azerbejdżanie, które uzyskały to, czego chciały, pozostawiając demokratyczną, porewolucyjną Armenię w szczątkach. Zaznaczając świadomość odmienności okoliczności związanych z konfliktami w Abchazji i Osetii Południowej, azerbejdżański

eprasa.pl b62d9b2f9d

wzór może się okazać kuszącą perspektywą dla Gruzji w jej planach reintegracji terytorialnej. Dodatkowym aspektem jest wsparcie udzielane Azerbejdżanowi przez Izrael. Formalnie demokratyczne państwo raczej bez wątpliwości zaliczane do Zachodu wspiera dyktaturę, nie wywołując przy tym jakichkolwiek kontrowersji. Sygnał, który płynie do Erywania i Tbilisi jest jasny – nie jest konieczne utrzymywanie demokratycznych standardów, aby zachować wsparcie od Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. Kaukaz wydaje się podzielony wzdłuż linii trzech sojuszy – turecko-azerbejdżańskiego, rosyjsko-armeńskiego oraz gruzińsko-zachodniego. Paradoksalnie, najmniejsze wymierne korzyści z wyboru konkretnego frontu geopolitycznego uzyskuje Gruzja. Jej głębokie starania i próby dołączenia do NATO od lat spełzają na niczym. Otwartym pytaniem pozostaje to, jak długo jeszcze da się utrzymać pozory. Albo też, kiedy pojawi się bardziej kusząca alternatywa. Na przykład z Chin, dla których dominacja w czarnomorskim kraju oznaczałaby posiadanie okna na Europę. Nie chodzi bowiem wyłącznie o bezpieczeństwo w sensie militarnym, ale również o gospodarkę.

Zachód proponuje Gruzji i Armenii ideę, zapominając, że w trawionych biedą, bezrobociem i ekonomiczną niestabilnością państwach dużo większe znaczenie ma wspieranie zrównoważonego rozwoju.

Zachód proponuje Gruzji i Armenii przede wszystkim ideę, zapominając, że w trawionych biedą, bezrobociem i ekonomiczną niestabilnością państwach dużo większe znaczenie ma wspieranie zrównoważonego rozwoju. Fasadowość zachodniego wsparcia brutalnie obnażyła światowa pandemia koronawirusa, w czasie której Tbilisi i Erywań zostały praktycznie pozostawione same sobie, a ograniczenia podróżowania z niej wynikające, mają i mieć będą jeszcze długo fatalny wpływ na systemy ekonomiczne w dużym stopniu oparte na przychodach z turystyki. Chiny, w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku – Nowego Jedwabnego Szlaku i oddzielnych pomniejszych inicjatyw, budują swoją pozycję stopniowo i cierpliwie, przez inwestycje zarówno na dużą, jak i niewielką skalę. I można to odczuć bezpośrednio. Już niedługo Gruzini będą mogli przejechać z Tbilisi do Batumi autostradą Wschód–Zachód zbudowaną w dużej części przez Chińczyków. Na półkach sklepowych dominują towary z Turcji, do tureckich przedsiębiorstw należy też spora część gruzińskiego przemysłu. Analogicznie wygląda wpływ Rosji na Armenię i również tam znaczący jest odsetek chińskich inwestycji. Aby Zachód pozostał istotną częścią układanki geopolitycznej i ekonomicznej na Kaukazie Południowym, musi postawić na bardziej wymierne działania, a więc inwestycje. Polityczne projekty, jak ledwo zipiące Partnerstwo Wschodnie, czy kuszenie pięknymi ideami demokracji i wolności przestały już dawno wystarczać.

eprasa.pl b62d9b2f9d

***

Współcześnie wzorce systemowe czerpie się nie tylko z Zachodu, ale również, być może nawet częściej, ze Wschodu. W postkolonialnym świecie wróciliśmy poniekąd do multilateralnego porządku, w którym Zachód nie dominuje w narracji wskazywania na optymalny system polityczny. Trendy wyznaczają dziś Chiny i Rosja, a także Turcja. Widać to nawet w Unii Europejskiej, gdzie tureckie czy rosyjskie rozwiązania stają się wzorcami w Budapeszcie, Bratysławie czy Warszawie. Pułapka fasadowego przekonania o większej stabilności i bezpieczeństwie reżimów opartych na zwiększonej kontroli, a z czasem na represyjności, skutkuje w Armenii i Gruzji coraz wyraźniej akcentowaną i wdrażaną ucieczką od wolności. Wydaje się, że jedynym wyjściem, które może Zachód utrzymać jako ważnego gracza w regionie, jest całkowita zmiana agendy. W przestrzeni zreorganizowanej po II wojnie karabaskiej światłe idee i misja cywilizacyjna nie wystarczą, a zdają się nawet anachronizmem zadufanego świata krajów rozwiniętych. Potrzeba większego zaangażowania, przede wszystkim ekonomicznego, już dawno została zrozumiana i przyjęta jako wiodąca w Moskwie, Ankarze i Pekinie. Tylko inwestując więcej, z wymiernymi efektami, namacalnymi dla zwykłych mieszkańców Armenii i Gruzji, Zachód i jego idea demokracji liberalnej pozostać mogą ważnym punktem odniesienia.

Bartłomiej Krzysztan jest adiunktem w Instytucie Studiów Politycznych PAN i niezależnym analitykiem. Zajmuje się antropologią polityczną, pamięcią zbiorową i konfliktami na Kaukazie.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Dyktator na lodzie

Zbigniew Rokita

Turniej hokejowy na Białorusi miał być potwierdzeniem, że świat uznaje łukaszenkowską władzę. Sport od dawien dawna stanowił sposób na upodmiatawianie się i szukanie legitymacji międzynarodowej. Stało się jednak inaczej.

Kapitał z krajów i regionów niedemokratycznych – z Chin, Rosji czy krajów Zatoki Perskiej – od lat zdobywa kolejne przyczółki na sportowym Zachodzie: od francuskiego futbolu po amerykańską koszykówkę. Inaczej jest jednak w świecie reprezentacji narodowych, gdzie nie można z dnia na dzień kupić sobie zespołu i zawodników – tam prym wiodą kraje demokratyczne. Również osoby pochodzące z tych krajów na ogół rządzą poszczególnymi federacjami, takimi jak FIFA, MKOl czy Międzynarodowa Federacja Hokeja na Lodzie (IIHF). W dużej mierze dlatego podejmowane są takie decyzje, jak niedawna Światowej Agencji Antydopingowej o wykluczeniu Rosji między innymi z olimpiad. Choć historia, która właśnie rozegrała się na Białorusi, pokazuje, że pochodzenie z demokratycznego państwa nie zawsze oznacza bezwarunkowe sprzyjanie demokracji.

Lukashenko, Puck You!

Sprawdzam tabele medalowe ostatnich zimowych igrzysk – wszystkie dziesięć najbardziej utytułowanych krajów Freedom House klasyfikuje jako „wolne". Na ostatnich igrzyskach letnich w najlepszej dziesiątce osiem państw „wolnych" i dwa „niewolne" (Rosja i Chiny). Sprawdzam też pierwsze dziesiątki reprezentacji narodowych w rankingach najpopularniejszych dyscyplin sportowych: futbol – dziewięć „wolnych" i jedno „częściowo wolne"; hokej dziewięć „wolnych" i jedno „niewolne"; koszykówka – osiem „wolnych", jedno „częściowo wolne" i jedno „niewolne"; siatkówka – osiem „wolnych i dwa „niewolne". Dzieje się tak, choć w zestawieniu Freedom House kraje „wolne" są w mniejszości.

Inaczej jest jednak z organizatorami dużych imprez. Niektóre federacje, choćby FIFA, chętnie powierzają duże zawody krajom sportowo peryferyjnym, na przykład, żeby popularyzować w nich dane dyscypliny. Często sprawia to, że organizatorami zostają państwa niedemokratyczne, a to przekłada się co rusz na wezwania do odebrania im tych imprez. Od lat takie protesty towarzyszą mundialom (Rosja, Katar),

eprasa.pl b62d9b2f9d

igrzyskom europejskim (Białoruś, Azerbejdżan) czy piłkarskim mistrzostwom Europy (Ukraina), ale też igrzyskom letnim organizowanym przez olimpijskie mocarstwa: Chiny i Rosję. Protesty na ogół nie przynoszą rezultatów. Sprawy nie ułatwia fakt, że kraje autorytarne często okazują się sprawnymi organizatorami – wznosząc wspaniałe hotele, stadiony czy dewastując przyrodę, nie muszą w takim stopniu jak państwa demokratyczne zwracać uwagi choćby na koszty społeczne czy finansowe.

Siedem lat temu pojechałem do Mińska, żeby zobaczyć mistrzostwa świata w hokeju. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, organizacja na wysokim poziomie, a znajoma Białorusinka powiedziała mi: „Wcześniej milicjanci chodzili trójkami: śmialiśmy się, że jeden umie pisać, drugi czytać, a trzeci liczyć. Podczas mistrzostw chodzą w czwórkę – może ten czwarty zna jakiś język?". Przed tamtą imprezą również głośne były głosy nawołujące do odebrania Łukaszence prawa do organizacji turnieju. W Parlamencie Europejskim przeprowadzono na przykład akcję „Lukashenko, Puck You!" (*puck* to z angielskiego krążek hokejowy). Wówczas Łukaszence się upiekło – mimo że gdy ja bawiłem się na stadionie podczas meczu, w więzieniach siedzieli niewinni ludzie.

Utrata mistrzostw to dla Łukaszenki znaczny cios, choć głównie wizerunkowy. Kraj osuwa się w kolejne lata międzynarodowej izolacji.

Na przełomie maja i czerwca 2021 roku Białoruś po raz kolejny miała organizować hokejowe mistrzostwa świata – wspólnie z Łotwą. Tym razem spełnił się jednak najczarniejszy sen Aleksandra Łukaszenki.

Po co żresz mięso?

Białoruś nie jest sportową potęgą. Jej reprezentacja hokejowa – w przeciwieństwie do koszykarskiej, piłkarskiej czy siatkowej – odnosi jednak skromne sukcesy. Białorusini plasują się dziś na trzynastym miejscu w światowym rankingu, a na koncie mają nawet czwarte miejsce na olimpiadzie w Salt Lake City (dodajmy: prezydentem białoruskiego komitetu olimpijskiego jest Łukaszenka).

Na Białorusi hokej jest „sportem prezydenckim". Prezydent głęboko sięga do kieszeni, finansując swoją ulubioną dyscyplinę. W kraju powstało przeszło trzydzieści „lodowych aren" – okazałych obiektów do gry w hokeja mieszczących się nie tylko w dużych miastach, ale nawet w niewielkim Szkłowie, gdzie Łukaszenka był kiedyś dyrektorem pobliskiego kołchozu. Brakuje badań na ten temat, ale spotkałem się wielokrotnie z opinią, że środki inwestowane w hokej są niewspółmierne do popularności dyscypliny wśród Białorusinów. Sam prezydent zapewnia, że w hokej gra kilka razy tygodniowo, a po sieci krąży mnóstwo jego fotografii na tafli. Uczestniczy

eprasa.pl b62d9b2f9d

na przykład we własnym Amatorskim Bożonarodzeniowym Turnieju Hokejowym o Puchar Prezydenta Białorusi, w którym niemal zawsze ów Puchar Prezydenta zdobywa (a plotki podpowiadają, że gra w kuloodpornym hełmie).

Sport jest też okazją do pokonania wrażych krajów, symbolicznie reprezentowanych przez sportowców. Na tafli panują inne reguły niż w wielkiej polityce.

To w przerwie gry w hokeja udzielił szokującego wywiadu, w którym lekceważył pandemię. Polecał – obok ciężkiej pracy i wódki – właśnie tę dyscyplinę jako najlepsze remedium na wirusa. Powiedział wówczas: „Sport, a zwłaszcza hokej, to najlepsze lekarstwo. Widziała pani, żeby latały tutaj jakieś wirusy? [na to dziennikarka poważnie odpowiada: „Nie" – przyp. Z.R.] Ja też nie. Na lodzie ich nie ma, na tafli jest jak w lodówce. To najlepsze lekarstwo". Tyrady o zdrowym trybie życia Łukaszenka wygłasza prawie przy każdej okazji. Parę lat temu w orędziu powiedział: „Po co żresz mięso z ziemniakami? Weź zjedz ze śledziem albo z rybą! Po co na noc żresz z bulwami to mięso i kładziesz się spać? Jak ty będziesz spał i jak się obudzisz? (…) I w taki oto sposób, nie dbając o siebie, nie uprawiając sportów, trujemy się byle czym!". I choć postać Łukaszenki hokeisty kusi, aby opowiadać o niej za pomocą anegdot, to niektóre z nich są przygnębiające. Zimą 2010 roku, gdy zanosiło się na protesty i Płoszczę po wyborach prezydenckich, dyktator polecił na mińskim placu Październikowym – gdzie zwykle gromadzą się Białorusini – zrobić duże lodowisko. Zmniejszył w ten sposób plac, choć niektórzy mieszkańcy stolicy brali ze sobą sól i posypywali sobie kawałek lodu pod nogami, aby ustać.

Miłość do hokeja Łukaszenka dzieli zresztą z Władimirem Putinem, obaj panowie nieraz uganiali się wspólnie za „szajbą" (*szajba* to z rosyjskiego krążek hokejowy). Być może grali też na lodowisku, które w rezydencji pod Gelendżikiem Aleksiej Nawalny pokazał w niedawno opublikowanym filmie *Dworiec dla Putina*.

Głupio wyszło

Na początku stycznia do Mińska przybył René Fasel. Szwajcar od 1994 roku jest prezydentem IIHF – hokejowego odpowiednika piłkarskiej FIFA. Prezydentem federacji został więc w tym samym roku, w którym na prezydenta Białorusi wybrano Łukaszenkę.

Świat niebawem obiegło nagranie, na którym dwójka panów się wita – śmiali się i serdecznie przytulali. Znają się od dawna, są na „ty" i widać, że się lubią. Szwajcar chciał otrzymać od Białorusina gwarancje, że hokejowy mundial przebiegnie bez zakłóceń. Zamierzał w ten sposób uspokoić krytyków pozostawiania imprezy

eprasa.pl b62d9b2f9d

w rękach Łukaszenki. Co ciekawe, jednym z najgłośniejszych krytyków były władze współorganizatora, czyli Łotwy – to tak, jakby w 2012 roku Polska domagała się odebrania Euro Ukrainie.

Łukaszenka uspokajał swojego przyjaciela, nawiązując do szturmu na Kapitol: „U nas protestujący i inni niezadowoleni nie szturmują budynków rządów i kapitoli, u nas z punktu widzenia standardów demokratycznych panuje zupełnie normalna sytuacja. I, René, to właśnie budzi niezadowolenie niektórych polityków w Europie".

Wizyta Fasela i gesty przyjaźni przyniosły skutek odwrotny do zamierzonego. Ostatecznie, w proteście przeciwko łamaniu praw człowieka na Białorusi, niektórzy sponsorzy, między innymi Nivea i Škoda, postanowili się wycofać. Na Białorusi pojawiły się najbardziej absurdalne wyjaśnienia tych decyzji. Witalij Utkin, deputowany i działacz hokejowy, na kanale STW powiedział: „To zemsta na nas, potomkach zwycięzców II wojny światowej, za to, że nasi dziadkowie zatykali flagę nad Reichstagiem. (…) Choćby Škoda. W czasie wojny, jak wiemy, to oni montowali sprzęty niemiecko-faszystowskich agresorów i produkowali lekkie czołgi".

Decyzja o odebraniu Łukaszence hokejowych mistrzostw nie jest jaskółką zmian i więcej mówi o samym hokeju niż o sporcie w ogóle. Piłkarskiego mundialu dyktator by za swoje winy nie stracił.

Z kolei w mediach mniej sprzyjających reżimowi często przypominano też, że szefem białoruskiej federacji hokejowej jest Zmicier Baskau – człowiek oskarżany o porwanie i zakatowanie jesienią aktywisty Ramana Bandarenki.

Fasel znalazł się w ogniu krytyki. Przyznał później zresztą, że w Mińsku „głupio wyszło". A imprezę Białorusi odebrano. Łukaszenka zamilkł. Nazajutrz po decyzji IIHF opublikowano zdjęcia prezydenta kąpiącego się w przeręblu i rąbiącego drewna. Towarzyszył mu jedynie ukochany pies Umka.

Naciski polityczne

Dlaczego Białoruś straciła turniej? W oficjalnym komunikacie IIHF czytamy, że powodem była pandemia i sytuacja społeczno-polityczna. Ale wypowiedzi samego Fasela rzucają na sprawę inne światło. Powiedział on w rozmowie z rosyjską agencją RIA Nowosti: „Patrząc na to, co się dzieje na Białorusi, widzieliśmy, że opozycja wykorzysta mistrzostwa w Mińsku do swoich celów politycznych i przeprowadzi demonstracje. Oczywiście w takiej sytuacji nastąpiłaby reakcja władz". Z kolei w rozmowie z rosyjską agencją TASS stwierdził: „Sytuacja bardzo się zmieniła po wyborach na Białorusi, gdy Łukaszenkę wybrano na kolejną kadencję. Wszystko zaczęło się od demonstracji, wtedy rozpoczęły się problemy". W tej krótkiej rozmowie

eprasa.pl b62d9b2f9d

Szwajcar pięciokrotnie używa też frazy „naciski polityczne", jakie miano wywierać w sprawie odebrania Mińskowi turnieju.

Co w ten sposób powiedział prezydent IIHF? Po pierwsze, że uznaje legalność władzy Łukaszenki. Po drugie, że uznaje, że czynnikiem destabilizującym sytuację na Białorusi są protesty, a nie fałszerstwa – myli w ten sposób skutek z przyczyną. Po trzecie, daje pośrednio do zrozumienia, że to protestujący odpowiadają za utratę przez Białoruś turnieju, bo zamierzają wychodzić podczas mistrzostw na ulice. Nie mówi o łamaniu praw człowieka, tysiącach zatrzymanych, więźniach politycznych, o zabitych itd.

Miłość do hokeja Łukaszenka dzieli zresztą z Władimirem Putinem, obaj panowie nieraz uganiali się wspólnie za „szajbą".

Uwidoczniło się tu napięcie między dwoma postulatami: niemieszania sportu i polityki oraz niepozwalania polityce na mieszanie się w sport. Inna sprawa, że naciski polityczne są w tej historii istotne, ale niewykluczone, że ważniejsze były naciski finansowe. Wycofanie się sponsorów było ogromnym ciosem w IIHF.

Dlaczego? IIHF to nie FIFA, nie obraca tak znacznymi sumami. Dlatego zresztą łatwiej zabrać komuś prawo do organizacji mistrzostw hokejowych niż na przykład piłkarskich – koszty są mniejsze. Wróćmy do rozmowy Fasela z TASS. Dziennikarz pyta go, czy nie chciałby zamiast na Białorusi zorganizować turnieju w Szwajcarii. Fasel odpowiada: „Tam jest trochę za drogo. Za hotele i wszystko inne trzeba zapłacić tyle, że nawet nie może sobie pan tego wyobrazić. Budżet ostatnich mistrzostw świata wynosił 37 milionów euro". 37 milionów euro to dwa i pół raza mniej niż w 2020 roku wynosił budżet Instytutu Pamięci Narodowej. Dla porównania koszt organizacji rosyjskiego mundialu w 2018 roku to 13 miliardów dolarów. Hokejowe mistrzostwa odbywają się poza tym każdego roku i występują w nich niemal wyłącznie zespoły z Europy.

Decyzja IIHF nie jest jaskółką zmian i więcej mówi o samym hokeju niż o sporcie w ogóle. Piłkarskiego mundialu Łukaszenka by za swoje winy nie stracił. Putinowi wszak za Krym, Donbas czy otrucie Skripalów nie odebrano mistrzostw piłkarskich. Olimpiadę Łukaszenka też by zachował – w przyszłym roku zimowe igrzyska olimpijskie mają organizować Chińczycy i nie zapowiada się na to, żeby na przykład prześladowania Ujgurów były wystarczającym argumentem, by im je zabrano.

Pokonaliśmy Niemców

Utrata mistrzostw to dla Łukaszenki znaczny cios, choć głównie wizerunkowy. Kraj osuwa się w kolejne lata międzynarodowej izolacji, z której udało mu się wyjść

eprasa.pl b62d9b2f9d

po aneksji Krymu i goszczeniu ukraińsko-rosyjskich rozmów pokojowych. Hokejowy turniej miał być potwierdzeniem tego, że świat uznaje łukaszenkowską władzę. Sport to od dawien dawna sposób na upodmiatawianie się i szukanie legitymacji międzynarodowej. W takich nieuznanych powszechnie krajach jak Abchazja ministerstwa sportu nieraz przejmują obowiązki ministerstw spraw zagranicznych – na przykład wtedy, gdy Abchazja została przyjęta do światowej federacji domino i w 2011 roku zorganizowała oficjalne mistrzostwa świata w tej dyscyplinie.

Sport jest też okazją do pokonania wrażych krajów, symbolicznie reprezentowanych przez sportowców. Na tafli panują inne reguły niż w wielkiej polityce. O ile Łukaszenka nie może utrzeć nosa przywódcom dużych europejskich państw, o tyle jego hokejowa *sborna* klasyfikowana jest wyżej niż Włosi, Brytyjczycy, Polacy, Litwini czy Francuzi, a i z Niemcami miałaby szansę wygrać. Nagłówek w „Komsomolskiej Prawdzie" o treści *Pokonaliśmy Niemców* jest bezcenny. Zwłaszcza dla deputowanego Utkina, który znajduje historyczne analogie między turniejem a Hitlerem.

Zbigniew Rokita jest dziennikarzem i redaktorem. Specjalizuje się w tematyce wschodniej i problematyce dotyczącej Śląska. Autor książki *Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku* (Wołowiec 2020).

eprasa.pl b62d9b2f9d

Trzy tragedie i początek czwartej

Jiří Pehe

W okresie późnej monarchii austro-węgierskiej w naszym regionie Europy rodziły się znakomite inicjatywy kulturalne, które zasadniczo można określić jako „środkowoeuropejskie". Dziś powiedzielibyśmy, że region ten posiadał również niemałą *soft power*.

Zwłaszcza środkowoeuropejska muzyka, sztuki plastyczne i literatura miały własną, niepowtarzalną tożsamość, promieniującą na cały świat. Do dziś to odczuwamy w utworach takich pisarzy, jak Franz Kafka, Joseph Roth, Hermann Broch czy Robert Musil. Podobnie jest z dziełami autorów, którzy z tego regionu pochodzili, ale swoje najważniejsze książki napisali już po upadku Austro-Węgier. Należą do nich choćby Stefan Zweig, Gregor von Rezzori, Bruno Schulz czy Sándor Márai.

Ta silna tożsamość kulturowa, która powstała wskutek połączenia wpływów niemieckich, żydowskich i poszczególnych narodów monarchii, przetrwała nie tylko upadek Austro-Węgier i czas dwudziestolecia międzywojennego. Można było ją odnaleźć także w produkcji kulturalnej czasów komunizmu, zwłaszcza w twórczości pisarzy i twórców teatralnych, którzy zajęli krytyczne stanowisko wobec władzy komunistycznej. Wymieńmy chociażby Václava Havla, Milana Kunderę, Czesława Miłosza, Györgya Konráda, Sławomira Mrożka czy Danila Kiša, a także twórców filmowych, takich jak Miloš Forman i Jiří Menzel, jeśli ograniczymy się do Czechów.

Odpowiedź na pytanie, co czyniło tę kulturalną produkcję tak wyraźnie powiązaną z regionem Europy Środkowej, dostarcza nam również niepokojącego wyjaśnienia tego, dlaczego środkowoeuropejska polityka, w przeciwieństwie do środkowoeuropejskiej kultury, tak często kończyła się wielkim karambolem.

Już dzieła wielkich twórców schyłkowych Austro-Węgier przepełnione są obrazami społeczeństwa nękanego absurdalną mieszanką autorytaryzmu i wszechobecnej biurokracji, a także cierpiącego z powodu słabości demokratycznie wybranych polityków. Powtarza się motyw jednostki zagubionej na obrzeżach gigantycznego, dziwacznie dysfunkcyjnego mocarstwa lub jednostki uwięzionej w sieci bezosobowych, niezrozumiałych sił.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Tragedia pierwsza: upadek Austro-Węgier

Jest pewnym historycznym paradoksem, że na przekór swoim dziwacznym cechom politycznym, instytucjonalnej archaiczności (w porównaniu z Europą Zachodnią) i nierealnym ambicjom geopolitycznym (które przyczyniły się do wybuchu I wojny światowej) to właśnie rozpad mocarstwa, tej musilowskiej Kakanii, był pierwszą tragedią polityczną naszego regionu. Nacjonalistyczne ambicje poszczególnych narodów monarchii, patrząc wstecz, są co prawda zrozumiałe – jako wyraz niezadowolenia ze scentralizowanej władzy, w której prym wiedli etniczni Niemcy – ale ich zwycięstwo doprowadziło do stworzenia w centrum Europy geopolitycznej próżni.

Słabe państwa, które wyłoniły się z Austro-Węgier, same prosiły się o to, aby powstałą geopolityczną próżnię wypełniły Niemcy bądź Związek Radziecki.

Słabe państwa, które wyłoniły się z Austro-Węgier, same prosiły się o to, aby powstałą geopolityczną próżnię wypełniły Niemcy bądź Związek Radziecki. Przyczyną słabości nowo powstałych państw nie były zaś jedynie ich mniejsze rozmiary i siła w porównaniu z monarchią łączącą politycznie cały środek Europy, ale także ich słabe instytucje polityczne i mało demokratyczna kultura polityczna, akcentująca raczej gorsze strony politycznego systemu monarchii.

Skłonności do jakiejś formy autorytaryzmu opartego na nacjonalizmie były silne praktycznie we wszystkich państwach na terenie dawnej monarchii. Austria, Węgry i Polska stopniowo przeszły do autorytarnej formy rządów. Czechosłowacja do 1938 roku wytrwała jako demokracja, ale i ta wykazywała również szereg problematycznych cech – od przesadnego, pustego partyjniactwa, poprzez obchodzenie mechanizmów parlamentarnych w wykonaniu Wielkiej Piątki [nieformalne porozumienie szefów największych partii Pierwszej Republiki, powstałe w 1920 roku jako odpowiedź na socjalny i polityczny kryzys, w którym znalazła się Czechosłowacja – przyp. tłum.], po niewielką umiejętność uczynienia kraju domem także dla dużych mniejszości narodowych.

Wszystkie kraje pohabsburskiej Europy Środkowej wykazywały także niewielką umiejętność produktywnej współpracy, w tym niechęć do tworzenia bloków obronnych. W niemal wszystkich tych państwach dyplomacja opierała się na wyolbrzymionych wyobrażeniach o własnym znaczeniu. Pojawiały się w nich różne formy przekonania o wyjątkowości własnego narodu, wzmacniane przez poczucie historycznej krzywdy. Dla niemieckiego reżimu nazistowskiego nie było więc dużą trudnością przejąć militarną i polityczną kontrolę nad tą mieszaniną słabych państw.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Tragedia druga: okupacja niemiecka

Niemcy już od pierwszej połowy XIX wieku forsowały własną wersję Europy Środkowej, która potrzebuje niemieckiego porządku. „Mitteleuropa", zgodnie z koncepcją wypracowaną przede wszystkim przez niemieckiego liberalnego polityka Friedricha Naumanna, miała być przedłużeniem Niemiec, gdzie pewną rolę odgrywał także wpływ niemieckiego dziedzictwa kulturowego.

Adolf Hitler na drodze do podboju Europy Środkowej nie zawracał sobie głowy niuansami kulturowymi i wkładem poszczególnych narodów środkowoeuropejskich w koncepcję „Mitteleuropy". Region ten był dla niego przede wszystkim „Lebensraum" – przestrzenią życiową dla rzekomo wyższej rasy niemieckiej. Podstawowym pytaniem nie było więc, jak stworzyć „Mitteleuropę", o której marzył Naumann, ale jak stopniowo pozbyć się rzekomo mniej wartościowych rasowo narodów na wschód od Niemiec.

Niestety podbój Europy Środkowej przez Hitlera mógł być wspierany przez występujące na tym obszarze rozległe piąte kolumny. Mowa tu nie tylko o etnicznych Niemcach, ale także licznych przedstawicielach wspomnianych już patologicznych cech środkowoeuropejskiej kultury politycznej. We wszystkich krajach środkowoeuropejskich w latach trzydziestych XX wieku pojawiły się silne, faszyzujące partie i ugrupowania, które chciały z Hitlerem współpracować – w tej czy innej formie – a przy tym zniszczyć w państwie to, co być może jeszcze zostało z demokratycznej kultury.

Ziemie czeskie także doświadczyły nasilenia rodzimego faszyzmu, zwłaszcza w okresie między układem monachijskim a okupacją z wiosny 1939 roku. Jednocześnie uwarunkowania polityczne drugiej republiki nie były czymś narzuconym przez niemiecką piątą kolumnę: były organiczną kontynuacją pewnych tendencji obecnych już w kulturze politycznej Pierwszej Republiki.

Okupacja niemiecka i Holokaust sprawiły, że Europa Środkowa w postaci, w jakiej istniała u schyłku Austro-Węgier, a następnie częściowo aż do nadejścia nazizmu, została definitywnie zniszczona. Amalgamat wpływów niemieckich, żydowskich i specyficznych wpływów narodowych został rozbity nie tylko przez eksterminację milionów środkowoeuropejskich Żydów, ale także wypędzenie Niemców z Czechosłowacji i Polski.

Tragedia trzecia: komunizm radziecki

Zwycięstwo Związku Radzieckiego nad Niemcami w Europie Środkowej i Wschodniej dopełniło dzieła zniszczenia. Moskwa próbowała wytworzyć u swych satelitów

eprasa.pl b62d9b2f9d

pewne poczucie wspólnoty, ale kulturowo nie było to możliwe. W sferze nieoficjalnej jednak, zwłaszcza w kręgach dysydenckich, jakaś forma wspólnoty istniała. Była to wspólnota nie tylko polityczna, ale i kulturowa, a równocześnie do pewnego stopnia nawiązywała do tradycji kulturowych Europy Środkowej jeszcze z czasów późnej monarchii austro-węgierskiej.

Dla reżimów komunistycznych w pewnym stopniu korzystne było to, że większość radzieckich państw satelickich (do czasu powstania Solidarności w Polsce) miała słabe społeczeństwo obywatelskie, co było także konsekwencją ogólnego upadku kultury demokratycznej w regionie. Jak również fakt, że radziecka bizantyjska biurokracja dobrze współgrała z pewnymi aspektami kultury politycznej, którą państwa środkowoeuropejskie odziedziczyły po późnych Austro-Węgrzech. Kultura dysydencka natomiast, przeciwnie, nawiązywała do najlepszego, co dała światu Europa Środkowa czasów późnych Austro-Węgier.

Jednocześnie jednak, jak się zdaje, niektórzy jej czołowi reprezentanci ulegli pewnym złudzeniom. Kiedy w 1983 roku Milan Kundera opublikował słynny esej *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*, pisał w nim o Europie Środkowej, która nie tylko miała swoją niepowtarzalną tożsamość kulturową, ale i była spadkobierczynią duchowego rozwoju Zachodu. Zdaniem Kundery, zagarnięcie tego regionu przez Związek Radziecki było „porwaniem" krajów, które według niego tożsamościowo przynależały do Zachodu już choćby dlatego, że przeszły renesans i oświecenie, podczas gdy Rosja (i stworzony przez nią Związek Radziecki) nigdy nie doświadczyła tego etapu rozwoju.

Być może jednak Kundera – w swojej próbie zwrócenia uwagi zachodnich intelektualistów i polityków na tragedię Europy Środkowej, podkreślając „zachodniość" naszego regionu – trochę przesadził. Można bowiem polemizować, twierdząc, że zasady zachodniego racjonalizmu i polityczne wzorce zachowań znane z demokracji zachodnich w Europie Środkowej nigdy się w pełni nie przyjęły.

W ciągu ostatnich mniej więcej stu dwudziestu lat elementy zachodniej kultury politycznej mieszały się w naszym regionie z kulturą bizantyjską, a polityka położonych tu krajów pozostaje w uścisku etnicznego nacjonalizmu, a także przesadnych wyobrażeń o własnej wyjątkowości i rzekomo specjalnych interesach narodowych.

Początek czwartej tragedii?

W 1989 roku wydawało się, że wolna Europa Środkowa ma wielki potencjał. Wielu ludzi spodziewało się, że gwarantowana przynależność do struktur zachodnich, takich jak NATO i Unia Europejska, pozwoli wreszcie tym krajom „pokazać się z najlepszej strony".

eprasa.pl b62d9b2f9d

Niestety, te optymistyczne przewidywania nie uwzględniły nie tylko skali komunistycznej dewastacji i indoktrynacji społeczeństw Europy Środkowej (do tego stopnia, że nawet trzydzieści lat po upadku poprzedniego reżimu wciąż żywe są tu maniery, rytuały i język późnego komunizmu), ale także wcześniejszych wpływów. Na przykład spuścizny kultury politycznej późnych Austro-Węgier, która do dziś przetrwała w pewnej formie nacjonalizmu i nieufności wobec otwartej polityki parlamentarnej, co utrudnia racjonalne rządy oparte na kompromisie.

Wszystkie kraje pohabsburskiej Europy Środkowej wykazywały także niewielką umiejętność produktywnej współpracy, w tym niechęć do tworzenia bloków obronnych.

Dziedzictwo partykularnych interesów, polityki rozumianej bardziej jako „jesteśmy przeciw czemuś" niż poszukiwanie wspólnych rozwiązań, jest szczególnie silne. „Nowa" Europa Środkowa, politycznie reprezentowana głównie przez Grupę Wyszehradzką, wyrobiła sobie w Europie pewną reputację. Ale niestety nie jest to reputacja pozytywna.

Przez zachodnich polityków jest coraz częściej postrzegana jako region niechętny do współpracy, podlegający nacjonalistycznym złudzeniom i ksenofobii oraz niezdolny do negocjacji. I niestety także jako ta część kontynentu, której do tej pory nie udało się przejść od autorytaryzmu do liberalnej demokracji.

Powstało wiele teorii próbujących wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. W często dyskutowanej książce Ivana Krasteva i Stephena Holmesa *Światło, które zgasło. Jak Zachód zawiódł swoich wyznawców* [polskie wydanie ukazało się w 2020 roku nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej – przyp. tłum.] problemy naszego regionu z liberalną demokracją tłumaczy się przede wszystkim nadmierną presją Zachodu, by Europa Środkowa się do niego dostosowała. To wywołało rzekomo w regionie silny opór, który przejawiał się szeregiem problemów, takich jak otwarte ataki na praworządność i liberalną demokrację w Polsce i na Węgrzech.

Krastev i Holmes uważają, że Europa Środkowa została bez wyczucia poddana nie tylko neoliberalnemu eksperymentowi z wprowadzeniem pewnego typu gospodarki rynkowej, ale także – w celu integracji ze strukturami zachodnimi – nadmiernej presji w kierunku politycznej i instytucjonalnej modernizacji na wzór zachodni.

Chimeryczna trzecia droga

Poglądy o tym, że dla postkomunistycznej Europy Środkowej pewną obrazą były oczekiwania zachodnich sojuszników, by w zamian za korzystne z punktu widzenia ekonomii i bezpieczeństwa członkostwo w zachodnich organizacjach respektowała

eprasa.pl b62d9b2f9d

pewne polityczne i demokratyczne normy oraz geopolityczną orientację atlantycką, w samych państwach środkowoeuropejskich, nie są rzadkością.

Także dzisiaj część ich elit intelektualnych i politycznych uważa, że powinniśmy byli pójść jakąś własną drogą. Mówi się, że błąd popełniono już w czasie rewolucji antykomunistycznych, gdy zamiast podjąć próbę zorganizowania Europy na nowo, Europa Środkowa dała się bezkrytycznie „porwać na Zachód".

W spostrzeżeniach o nadmiernym podporządkowaniu się Zachodowi brak jednak krytycznej autorefleksji. Na przykład: co właściwie Europa Środkowa, zdziesiątkowana politycznie i społecznie przez zawirowania XX wieku, mogłaby zaoferować jako alternatywę?

Czy naprawdę ktoś wierzył, że naciski nowych demokracji w Europie Środkowej po 1989 roku – na przykład, aby stworzyć jakąś nową, ogólnoeuropejską strukturę bezpieczeństwa, która zastąpiłaby NATO i zaangażowała Rosję – mogły ostatecznie przynieść pozytywne skutki? Musielibyśmy w takim razie również uwierzyć, że obecny zwrot Rosji w kierunku autorytaryzmu jest, jak twierdzi sama rosyjska propaganda, wynikiem tej samej zachodniej arogancji i niewrażliwości, wskutek której rzekomo ucierpiała również Europa Środkowa.

Jakie inne opcje miała w 1989 roku Europa Środkowa, niż przyjąć otwarte ramiona Zachodu, razem z wypróbowanym już systemem liberalnej demokracji i gospodarki rynkowej – a wszystko to w połączeniu z hojnym wsparciem ekonomicznym i ochroną ze strony krajów zachodnich?

Z pewnością Zachód niesie na swoich barkach spory ciężar historyczny, na który składa się choćby kolonializm czy szereg niepotrzebnych wojen. Co więcej, jego rynkowy model gospodarki właśnie w okresie upadku komunizmu przyjął ryzykowny neoliberalny zwrot, który w związku z postępującą globalizacją wyrządził wiele szkód. Ale czy istniała dla Europy Środkowej alternatywa w postaci jakiejś własnej, trzeciej drogi? Biorąc pod uwagę jej losy w XX wieku, zakończone tragicznym komunistycznym doświadczeniem, po prostu nie wiadomo, skąd wzięłyby się środkowoeuropejskie elity, które mogłyby z powodzeniem przeprowadzić tak ambitny eksperyment – nie mówiąc już o postkomunistycznej mentalności dużej części społeczeństwa.

Jedyny sposób na powodzenie Europy Środkowej

Niestety istnieje możliwość, że w Europie Środkowej dojdzie do kolejnej – już czwartej w ciągu stu lat – tragedii, jeśli jej politycy i społeczeństwa nie zrozumieją, że podkreślanie rzekomych specyficznych interesów narodowych i własnych wyjątkowych cech (na przykład Polska i Węgry jako strażnicy „chrześcijańskich fun-

eprasa.pl b62d9b2f9d

damentów Europy"), a także flirt z nacjonalistycznym konserwatyzmem w obronie „tradycyjnych" wartości w opozycji do zachodnioeuropejskiej nowoczesności, są wyłącznie drogą do kolejnego upadku i zagrożeń geopolitycznych.

Odwoływanie się do jakichś dawnych, złotych czasów tych krajów jest niestety przede wszystkim niebezpośrednim wywoływaniem złych duchów, które już trzykrotnie zniszczyły nasz region. Budowanie fałszywych przekonań, że bezduszny Zachód coś nam narzuca lub że naszych narodowych doświadczeń nie da się połączyć z zachodnią koncepcją państwa prawa i liberalnej demokracji, jest karmieniem tego wszystkiego, co ostatecznie doprowadziło do opisanych powyżej tragedii Europy Środkowej. Niezachodnie tendencje, które *de facto* są porażką regionu na drodze do nowoczesności, udają bowiem coś oryginalnego, „nasz" wkład w Europę i świat.

Czy istniała dla Europy Środkowej alternatywa w postaci jakiejś własnej, trzeciej drogi, jeśli wziąć pod uwagę jej losy w XX wieku, zakończone tragicznym komunistycznym doświadczeniem?

To, co w ostatnim czasie prezentuje Grupa Wyszehradzka, jest bardziej przejawem błędnych wyobrażeń na własny temat – przekonania, że mamy rację, nawet jeśli zachowujemy się egoistycznie i niesolidarnie wobec reszty Unii Europejskiej. To prawda, Europa Środkowa zawsze znajdowała się geograficznie między Zachodem a Wschodem, ale za każdym razem musiała za to zapłacić, jeśli jej polityczne elity chciały pozostać „pomiędzy" w sensie geopolitycznym i pod względem wartości. Ostatecznie na taką politykę nigdy nie miała dość sił i brutalnie trafiała w ręce innych.

Przełożył Łukasz Grzesiczak

Jiří Pehe jest politologiem, publicystą i dyrektorem New York University Prague.

Tekst ukazał się w czeskiej gazecie „Deník N". W nieznacznie skróconej wersji publikujemy go za zgodą redakcji i autora.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Patrząc z Polski na białoruską sztukę współczesną

Anna Łazar

Potrzeba, która często powraca w rozmowach o sztuce Białorusi, ale też w tamtejszej praktyce artystycznej, to konieczność opisania, zebrania i udostępnienia współczesnej sztuki białoruskiej szerszej publiczności. Ten encyklopedyczny impuls jest godny podziwu.

Opisanie współczesnej kultury Białorusi staje się ważnym zadaniem zarówno dla tych, którzy ją dobrze znają, jak i podróżników i podróżniczek dopływających do tej tajemniczej przestrzeni po raz pierwszy. Potrzebę opisywania Białorusi, tworzenia jej map doskonale uchwycił artysta, pisarz i architekt Artur Klinau. Jego książka, zestawiająca socrealizm z utopią renesansowego filozofa Tommasa Campanelli, *Mińsk. Przewodnik po Mieście Słońca* cieszy się nieustannym powodzeniem nie tylko w Białorusi, ale również w Polsce i w Niemczech. Przewodniki jednak pisane są dla osób, które przychodzą na krótko i nie chcą tracić czasu. Dzięki nim od razu wiadomo, dokąd trafić. Po co to robić? Wezwanie, żeby się pobłąkać, jest w *Przewodniku* Klinaua czytelne, choć może nawet mniej wyraźne niż ironia nad kolonizowaniem Białorusi przez jej opisywanie. Ja też pisuję o Białorusi, zatem ostrze tej ironii poszerza i moją świadomość.

Od upadku Związku Radzieckiego Artur Klinau brał udział we wszystkich ważniejszych wystawach współczesnej sztuki Białorusi w Polsce, zaczynając od tej, która odbyła się na przełomie maja i czerwca 1991 roku w Fabryce Norblina we współpracy z CSW Zamek Ujazdowski – *Bieł-Art. Panorama sztuki białoruskiej*. Takie przekrojowe pokazy organizowały między innymi Galeria Arsenał w Białymstoku (*Białoruskie perspektywy*, 2008), Galeria Zachęta w Warszawie (*Otwierając drzwi? Sztuka białoruska dzisiaj*, 2011) i Galeria Znaki Czasu w Toruniu (*Biało-Czerwono-Biali. Współczesna Sztuka Białoruska*, 2017). Klinau zarówno w swojej sztuce, tekstach, jak i w wydawanym przez siebie piśmie „pARTisan" pracuje z obiegowymi wyobrażeniami na temat sztuki Białorusi. Na potrzeby Pawilonu Białorusi na pięć-

eprasa.pl b62d9b2f9d

dziesiątym czwartym Biennale w Wenecji w 2011 roku przygotował rzeźbiarskie odwzorowanie *Ostatniej wieczerzy* Leonarda da Vinci ze słomy.

Śladami Białorusinów

Pytanie o sztukę białoruską dotyczy także Polski. Informator z 2020 roku *Mniejszości narodowe, etniczne i językowe III Rzeczpospolitej Polskiej* autorstwa Beaty Machul-Telus i Lecha M. Nijakowskiego na podstawie danych ze spisu ludności z 2011 roku donosi, że mniejszość białoruska liczy czterdzieści trzy tysiące osiemset siedemdziesiąt osiem osób co stanowi 0,114 procent ludności Polski, z kolei OKO. press, powołując się na Urząd do spraw Cudzoziemców, mówi dodatkowo o dwudziestu jeden tysiącach Białorusinów z ważnym pozwoleniem na pobyt[1]. Na białoruskie pochodzenie powołują się w Polsce także artyści o ugruntowanej pozycji w instytucjonalnym świecie sztuki. Na przykład Leon Tarasewicz w swojej intensywnej twórczości pozostaje wierny poszukiwaniom formalnym i zwykle nie ilustruje zagadnień związanych z tożsamością narodową w sposób literalny, pozostaje mimo to znaczącym promotorem kultury białoruskiej. Jednak w styczniu 2018 roku wspólnie z Małgorzatą Dmitruk stworzył wystawę *Zaleszany* poświęconą ofiarom Romualda Rajsa „Burego", który działając w strukturach Narodowego Zjednoczenia Zbrojnego, zamordował w Zaleszanach szesnaście cywilnych prawosławnych osób, w tym niemowlę. Wystawie w poznańskim Arsenale towarzyszył film Agnieszki Arnold *Bohater* (TVP, 2002). Tarasewicz powiedział wtedy, że artyści nie są od tego, żeby robić ilustracje, ale tworzyć wartości silniejsze, które podniosą Zaleszany i zmitologizują ziemię, na której mieszkają[2].

W wywiadzie udzielonym białostockiej „Gazecie Wyborczej" w 2018 roku mówił: „Jestem Białorusinem, obywatelem Polski. Tu się urodziłem, tu mieszkam. Był moment, że moje tereny były niemieckie, były białoruskie, były polskie. Teraz to tereny, na których obowiązuje administracja polska. Nie mam z tym problemu. I często występuję jako artysta polski. Narodowość to rzecz, z którą się rodzimy, ale do niej dochodzi też świadomość historyczna".

Tarasewicz jest prezesem Fundacji Villa Sokrates mieszczącej się w rodzinnym domu białoruskiego pisarza Sokrata Janowicza w Krynkach. W tym miasteczku, którego początki datowane są na XV wiek, Fundacja Villa Sokratesa organizowała

[1] Marta K. Nowak, *„Starałam się żyć w równoległej rzeczywistości, ale dotknęli w samo serce". Białorusini w Polsce się jednoczą*, 28.08.2020, https://oko.press/staralam-sie-zyc-w-rownoleglej-rzeczywistosci-ale-dotkneli-w-samo-serce-bialorusini-w-polsce-sie-jednocza/.

[2] Zob. więcej w katalogu: *Zaleszany, Leon Tarasewicz, Małgorzata Dmitruk, Agnieszka Arnold*, Galeria Miejska Arsenał, 29.01–25.02.2018, s. 26.

eprasa.pl b62d9b2f9d

co roku artystyczno-literacko-muzyczne wydarzenie Trialog Kultur – kultur białoruskiej, polskiej i żydowskiej. Przed wojną Krynki liczyły dziesięć tysięcy ludzi, 80 procent żydowskich mieszkańców i mieszkanek zamordowano w Treblince. Wyludnione Krynki straciły prawa miejskie w 2009 roku. Ostatni XX Trialog odbył się w 2019 roku. Impreza wygasła przez COVID.

Bardzo lubię tamtejszą Galerię Krynki, która działa nieprzerwanie od dziesięciu lat. Tuż przed pandemią koronawirusa widziałam w niej wystawę cenionej w Polsce i na świecie artystki Izy Tarasewicz *Co to za szepty* inspirowaną wierszem Walta Whitmana *What Whispers Are These?*, który odzwierciedla ekonomię i politykę świata w XIX wieku oraz ówczesne sposoby komunikacji. Iza Tarasewicz pokazała w Krynkach druciane modele swoich prac, stawiając pytania o dekonstrukcję i historię globalności. Zrobiła to w przestrzeni wiejskiego domku, gdzie mieści się galeria, całkowicie przekształcając atmosferę tego miejsca.

Przypomnę też instalację *site-specific* Małgorzaty Dmitruk z 2014 roku. Artystka narysowała na ścianach galerii wnętrze domu. Najbardziej polubiłam łazienkę z rzetelnie wyrysowaną umywalką, toaletą i kwiatkiem. Małgorzata Dmitruk stworzyła też wiele ubrań i tkanin, które odnoszą się do życia prawosławnych mieszkańców Podlasia.

Dbałość o wspólnotę, która wykracza poza partykularny interes, to cecha, jaką dostrzegam u wielu białoruskich artystek i artystów.

Paweł Grześ również eksplorujący białoruskość odbył na przykład podróż śladami swoich pradziadków do Władywostoku, którzy trafili tam na fali bieżeństwa, równie zapomnianego doświadczenia wędrówki chłopów na skraj imperium Romanowów u progu I wojny światowej (chociaż książka Anety Prymaki-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy* przywróciła ten temat do obiegu). Dużą popularność zdobył też jego projekt „Mieleszki". Paweł Grześ zrobił zdjęcia Mieleszczan, Białorusinów w odświętnych ubraniach przed własnymi zagrodami. Następnie umieścił te fotografie na płotach domów swoich bohaterek i bohaterów. Zdjęcia ludzi pozujących przy swoich wielkoformatowych portretach dają wrażenie podwójnej, bardziej intensywnej obecności.

Wątki związane z historią Białorusinów na Podlasiu porusza artystka Aleksandra Czerniawska. Pracuje z historią swoich bliskich. Stworzyła całą serię obrazów o przemocy, która spotykała Białorusinów i Białorusinki tuż po II wojnie światowej ze strony żołnierzy wyklętych, ale też zbrodni sąsiedzkich. Warto obejrzeć dostępny w sieci film Agnieszki Arnold *Bohater* z 2002 roku dokumentujący świadectwa zbrojnych towarzyszących Buremu, jak również białoruskich mieszkanek i mieszkańców wsi, których bliscy zostali przez niego zamordowani. Prace Aleksandry

eprasa.pl b62d9b2f9d

Czerniawskiej o macierzystej wsi Zaczerlany to dla mnie ważny punkt odniesienia w myśleniu o historii Podlasia. Jej obrazy opierają się na konkretnych historiach, zakorzenione w miejscu i w czasie, są opracowane ze świadomością reguł, którym podlega pamięć i którymi szlifowane są opowieści w długiej perspektywie. Jednak poznanie szczegółów historii przedstawionych na obrazach jest właściwie niemożliwe bez kontaktu z ludźmi, których ona dotyczy. Trudny dostęp do głębokiego poziomu obrazów bierze się z styku różnych zasłon. Pierwsza zasłona to intymność przekazu i jego subiektywność. Druga zasłona to żyjący potomkowie uczestników wydarzeń (a uczestnicy to między innymi Kolaborant, Donosiciel, Policjant). Trzecia powstała już po zakończeniu przez artystkę malarskiego cyklu, a jest to po raz szósty organizowany w 2021 roku skandaliczny Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych głównie ku czci Burego, który dokonał zbrodni o znamionach ludobójstwa na siedemdziesięciu dziewięciu prawosławnych kobietach, dzieciach i mężczyznach na przełomie stycznia i lutego 1946 roku.

Impuls solidarnościowy

Dbałość o wspólnotę, która wykracza poza partykularny interes to cecha, jaką dostrzegam u wielu białoruskich artystek i artystów. Zainspirowała mnie rozmowa z profesor Anną Engelking, którą przeprowadziłam do numeru „Nowej Europy Wschodniej" (6/2020) o kulturowych wzorach w Białorusi. Profesor podkreśliła, że tamtejszy model tożsamości oparty jest na nienacjonalistycznym i nieetnoreligijnym modelu. Białorusin, Białorusinka nie uważa się za członkinię, członka lepszego niż inne narodu, ale za człowieka żyjącego we wspólnocie innych, podobnych ludzi. Wracam myślą do tego idealistycznie nakreślonego wzoru kulturowego, patrząc na wychodzące poza pole instytucji sztuki działania Jany Shostak i Mariny Naprushkiny, które decydują się na wkroczenie w problematykę bliższą codzienności.

Urodzona w Grodnie poznanianka Jana Shostak w swoich performatywnych akcjach wykorzystuje silne pola informacyjne do wprowadzenia tematów społecznie istotnych – najczęściej dotyczących obrony praw człowieka. Na przykład jako kandydatka w konkursach miss piękności mówi o ekologii i katastrofie klimatycznej, na forach językoznawczych, ale też w wysokonakładowej prasie promuje używanie słowa „nowak", „nowaczka" zamiast „uchodźczyni" czy „uchodźcy". Zmienia tym samym wektor opisu z sytuacji przymusowej migracji i ucieczki na znalezienie się w nowym kontekście i miejscu, na nowym życiu. Pracując jako wolontariuszka na Światowych Dniach Młodzieży w 2016 roku, w partyzancki sposób wprowadziła wizerunek papieża Franciszka do oficjalnej identyfikacji wizualnej religijnego wydarzenia. Brak wizerunku Franciszka podyktowany był niechęcią organizatorów

eprasa.pl b62d9b2f9d

do promowania przez obecnego papieża bardziej otwartego charakteru instytucji Kościoła katolickiego. Jana Shostak wspaniale potrafi wykorzystać sytuację masowych zgromadzeń i zainteresowanie mediów, formując proste, angażujące uwagę komunikaty. Wciąga do gry postaci publiczne, wymagając od nich domknięcia medialnej opowiastki. Stając przed kamerami z czytelnym plakatem o treści: „Papieżu, zadzwoń do mnie" i swoim numerem telefonu, zaintrygowała media. Wszyscy byli ciekawi, o czym chce porozmawiać, a Jana Shostak jako temat rozmowy wskazywała problem pedofili w polskim Kościele. Podczas spotkania premiera Mateusza Morawickiego ze Swiatłaną Cichanouską wykrzyczała, że Białorusinom wbrew prawu odmawia się wiz i uniemożliwia przekroczenie granicy. Po dwóch dniach odezwał się do niej podsekretarz stanu, obiecując zlikwidować nieprawidłowości. Na pandemicznej wystawie online w białostockim Arsenale „Solidarność i sprawstwo" Jana Shostak promowała platformę pomagającą ofiarom przemocy pod przykrywką sklepu z kosmetykami Rumianki i Bratki. Obecnie jest bardzo zaangażowana w pomoc protestującym w Białorusi.

Marina Naprushkina, która z Mińska przeniosła się do Berlina, również działa jako aktywistka, używa przestrzeni sztuki do naświetlenia problemów społecznych. W 2013 roku była współinicjatorką centrum kultury i społeczności sąsiedzkiej Neue Nachbarschaft/Moabit (neuenachbarschaft.wordpress.com) w stolicy Niemiec. Artystka uważa, że problem stagnacji obywatelskiej dotyka nie tylko mieszkańców państw, gdzie władza w wyraźny sposób tej aktywności przeciwdziała, ale jest obecny również w Niemczech. Moabit zaczęło się od sytuacji lokalnej: w dawnej szkole w bliskim sąsiedztwie artystki powstał ośrodek dla około trzystu uchodźców zarządzany przez czterech pracowników firmy, której zlecono koordynowanie ich pobytu, co w głównej mierze polegało na trzymaniu przybyszów w izolacji. Naprushkina doprowadziła do tego, że uchodźcami zainteresowali się ludzie mieszkający obok i zaczęli ich dostrzegać, odwiedzać, a nawet zorganizowali wspólne miejsce, czyli rzeczone centrum. Powstałe więzi są na tyle trwałe, że artystka włączyła się też w problematykę wewnątrz grup uchodźczych, szczególnie zaś próbuje polepszyć sytuację kobiet, które są kontrolowane wewnątrz własnych rodzin i społeczności przenoszących przemocowy i patriarchalny model stosunków do nowego miejsca, gdzie dodatkowo zmagają się z ksenofobią. Naprushkina pomaga też na gruncie prawnym. Starającym się o status uchodźców w Niemczech, którzy przygotowują się do rozpraw sądowych, może przydać się „Biblioteka Uchodź-

Paweł Grześ eksplorujący białoruskość odbył na przykład podróż śladami swoich pradziadków do Władywostoku, którzy trafili tam na fali bieżeństwa.

eprasa.pl b62d9b2f9d

cy" (Refugees' Library) – archiwum spraw rozpatrywanych przez berlińskie sądy (refugeeslibrary.wordpress.com). Społeczność Neue Nachbarschaft liczy ponad pięćset zaangażowanych osób. Wspomnę też, że od 2007 roku Naprushkina konsekwentnie prowadzi też projekt „Biuro Kontrpropagandy", będące archiwum tekstów, obrazów i materiałów wideo o charakterze manipulacyjnym, które pojawiają się w przestrzeni publicznej.

Artysta wśród artystów

Sergey Shabohin jest nie tylko badaczem białoruskiego życia artystycznego, ale przede wszystkim kuratorem i artystą. W swojej praktyce artystycznej odwołuje się do bieżących wydarzeń politycznych i społecznych. W realizowanej w 2019 roku wystawie „Praktyki podporządkowania" w Galerii Arsenał w Białymstoku analizował działanie symbolicznej spuścizny ZSRR, obnażając funkcjonowanie pozbawionego desygnatu imperialnego języka we współczesnych technologiach zastraszania społeczeństwa. Do ciekawszych realizacji można zaliczyć też jego instalację przed poznańskim Teatrem Polskim powstałą w ramach Festiwalu Bliscy Nieznajomi w listopadzie 2020 roku. Artysta zaprojektował imitację postumentu pomnika Lenina na placu Niepodległości w Mińsku, pokrywając instalację samoprzylepną folią. Metoda „na folię" jest wykorzystywana przez służby porządkowe w Białorusi, które nie radzą sobie z czyszczeniem marmurowych powierzchni. Przykrywają zatem opozycyjne treści, których sporo widnieje w przestrzeni publicznej od czasu sfałszowanych wyborów prezydenckich w sierpniu 2020 roku. Poznański postument Shabohina posłużył za forum, na którym pojawiły się hasła białoruskiej rewolucji oraz wyrazy poparcia dla doktora Ramana Tratsiuka, adiunkta na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu, urodzonego w Brześciu Białorusina, który z uczelnią związany jest od blisko dwudziestu lat i był asystentem profesor Izabelli Gustowskiej. Uczelnia chciała pozbawić go etatu, i chociaż problem dotyczy też innych pracowników, to w tym przypadku był szczególnie dotkliwy, ponieważ kruszył formalną podstawę pobytu artysty w Polsce. W wyniku akcji szerokich działań solidarnościowych udało mu się zachować pół etatu i uzyskać zgodę na wszczęcie procesu habilitacji. Niewątpliwie cenną i pracochłonną inicjatywą Sergeya Shabohina jest prowadzenie strony Kalektar.org będącej platformą

Urodzona w Grodnie poznanianka Jana Shostak w swoich performatywnych akcjach wykorzystuje silne pola informacyjne do wprowadzenia tematów społecznie istotnych – najczęściej dotyczących obrony praw człowieka.

eprasa.pl b62d9b2f9d

archiwizacji, analizy i popularyzacji sztuki białoruskiej powstałej od 1984 roku do dziś, gdzie nie tylko można znaleźć profile białoruskich artystek i artystów, ale także wykłady i krytykę artystyczną. Platformę założył w roku 2015 wspólnie z Alekseiem Borisionkiem i Sergeyem Kiryuschenką, skupia artystów reprezentujących różne pokolenia, a zatem mających odmienną sieć kontaktów i wiedzę środowiskową. Na podstawie zebranych informacji i/lub zdobytej wiedzy odbyły się już przekrojowe wystawy w Białymstoku, Kijowie, Mińsku i we Wrocławiu.

***

Potrzeba, która często powraca w rozmowach o sztuce Białorusi, ale też w tamtejszej praktyce artystycznej, to konieczność opisania, zebrania i udostępnienia szerszej publiczności współczesnej sztuki białoruskiej. Ten encyklopedyczny impuls jest godny podziwu. Wynika z przekonania, że sztuka ma niewystarczającą reprezentację. Mamy za mało instytucji – galerii, muzeów, nie ma krytyki artystycznej. Gdzie są czasopisma artystyczne i archiwa? Nie ma rynku sztuki. Ten postulat – „nie ma, a powinno być" – słyszałam też w Ukrainie. Zastanawiam się, wobec czego powstaje takie poczucie braku? Czy nie wynika z przekonania, że istnieje jakiś standard, do którego należy aspirować? „U nas też kiedyś będzie normalnie, tylko obalimy dyktatora i uporządkujemy oświatę artystyczną". Tymczasem kopiowanie instytucji niekoniecznie musi się sprawdzać. Oddolne inicjatywy, samorodne instytucje w kontraście do wytworów dużych struktur czy to państwowych, czy komercyjnych okazują się bardzo interesujące. W Białorusi te instytucje budowane są w odniesieniu do bardzo realnie rozpoznanego środowiska, które ma silną samoidentyfikację – realizują potrzeby twórców i twórczyń, którzy i które nie liczą ani na państwo, ani na oligarchów.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Gesty mają moc

Z Aleksandrą Czerniawską, artystką i aktywistką, rozmawia Anna Łazar

ANNA ŁAZAR: Jak artystka współczesna, aktywistka klimatyczna, Polka, która odwołuje się do swojej białoruskości, patrzy na rewolucję w Białorusi?

ALEKSANDRA CZERNIAWSKA: Patrzę z uwagą, jak w Polsce opowiadana jest rewolucja w Białorusi, nie tylko dlatego że mam białoruskie korzenie. Wydaje mi się, że upada jeden z filarów stereotypu niemocy przypisywanej temu narodowi. Kiedy komentatorzy mówili rzeczy typu: „no zobaczymy, czy oni sobie poradzą z tymi protestami", jeżył mi się włos na głowie. Intensywność wydarzeń dezaktualizuje obraz białoruskiej społeczności jako biernej i powolnej. Jestem ciekawa, jak wizerunek tego kraju zbuduje się na nowo. Chciałabym, żeby coś się przewartościowało, żeby ten krzywdzący stereotyp nie zawężał pola widzenia.

Czy w polskiej wyobraźni zbiorowej istnieją jakieś reprezentacje Białorusinki/Białorusina? W literaturze na przykład współczesna białoruska kultura przedstawiana jest w oderwaniu od stereotypu niemocy czy bezradności – wystarczy przywołać książki Ihara Babkowa, Juhasi Kalady lub Ignacego Karpowicza.

To zależy od miejsca, w którym się znajdujemy. Jako osoba, która mówi o swojej białoruskości, mam różne doświadczenie w Warszawie i na Podlasiu, gdzie stereotypy są żywe. Kiedy byłam młodsza, czytałam na forach lokalnych o tym, że Białorusini są bierni i nie mają swojej kultury, nie są do końca rozwiniętym narodem. Teraz pojawiają się nowe tropy – rzekoma „opcja prorosyjska" na Podlasiu. W filmie Jacka Bromskiego *U Pana Boga za miedzą* usłyszałam, że prawosławni zawsze głosują na władzę – to przecież odzwierciedlenie stereotypu uległości. Wspominam o tym, bo na Podlasiu prawosławni często mają tożsamość białoruską. Nie przekłada się to jednak na Białoruś jako państwo. Kiedy mówiłam w Warszawie, że jestem Białorusinką z Podlasia, często słyszałam: „czyli przyjechałaś z Białorusi?". No nie, pochodzę z Podlasia jak cała moja rodzina, o której mam wiedzę lub jej ślady zachowane w dokumentach. Trzeba to powtórzyć dwa, trzy razy, żeby przebiło się do świadomości.

Sądzisz, że stereotyp biernych Białorusinów może się zmienić?

Zauważam nowe otwarcie. Po kilku miesiącach komentatorzy już nie mówią: „zobaczymy, czy Białorusinki i Białorusini

eprasa.pl b62d9b2f9d

sobie poradzą z protestowaniem". To paternalistyczny język, który mnie denerwuje. Każdy posługuje się stereotypami, ale trzeba ich pilnować, stopować, zanim wypłyną w sferę publiczną. Stereotypy w odniesieniu do Białorusi wydają się jednak przezroczyste, jakby nikt nie próbował ich problematyzować. Trochę się to zmienia. Wypłynął na przykład temat przyimków: „w Białorusi", a nie „na Białorusi". Inspiracja przyszła od rozmowy o przyimkach „w Ukrainie" i „na Ukrainie" oraz performance'u Yulii Krivich. Moi różni wolnościowi, równościowi, antyuprzedzeniowi znajomi mają problem, żeby zrozumieć, że w Polsce słowo Białoruś funkcjonuje jako obelga. Kiedy coś jest niedemokratyczne, to pojawiają się sformułowania: „to przecież nie Białoruś". W parlamencie zdarza się to regularnie. Autorytarne rządy, opresja to skrót myślowy, bo chodzi przecież o reżim. Słowo „Białoruś" niestety zlepiło się z negatywną treścią.

Czy obserwujesz życie artystek i artystów Białoruskich w trakcie protestów, czy patrzysz, jak wygląda przestrzeń sztuki w Białorusi. Czy jakaś praca zrobiła na Tobie wrażenie?

Protesty znajdują odzwierciedlenie w sztuce. W Polsce odbyła się aukcja charytatywna, na której pojawiło się kilka dobrych prac. W Poznaniu Sergey Shabohin wykonał rodzaj rzeźby oklejonej samoprzylepnym papierem nawiązującym do praktyki zaklejania opozycyjnych napisów przez władze w Białorusi. Warto też zwrócić uwagę, że protesty w Białorusi, podobnie jak te odbywające się ostatnio w Polsce, mają wyrazistą oprawę wizualną. Mimo powagi sytuacji pojawia się wiele motywów i haseł charakteryzujących się dystansem i wisielczym humorem. Mój ulubiony białoruski przykład to białe prześcieradło przyczepione do balkonowej poręczy z napisem „to nie jest flaga". Pojawiło się ono na początku protestów, kiedy wieszanie biało-czerwono-białych flag było powszechnym gestem. Władze rozpoznały wywrotowy charakter prześcieradła i wysłały samochód z wysięgnikiem do zdejmowania flag, który ogołocił też balkon. Nie wiem, czy autorem prześcieradła był profesjonalny artysta. To nie ma znaczenia. Gest ma moc. To zgrabne nawiązanie do Magritte'a, ale wzbogacone o polityczny ładunek, który obnaża paranoiczność władzy autorytarnej.

Artyści i artystki z Białorusi, których i które znam, albo mieszkają w Polsce, albo się przemieszczają po świecie. Nie mam kontaktu z tymi, którzy zostali na Białorusi, natomiast ci z mniejszości są zdeterminowani przez lokalność. Poznane przeze mnie osoby zza białoruskiej strony granicy są otwarte, myślą o swojej pracy uniwersalnie. Dla nas, choć nie wiem, czy mogę mówić za wszystkich, ważna jest ludowość i lokalność, istotne okazuje się przeżywanie tego, że pozostajemy mniejszością.

Dokumentujesz pamięć swoich dziadków z Podlasia. Konkretne miejsce w przestrzeni i w czasie. W 2008

eprasa.pl b62d9b2f9d

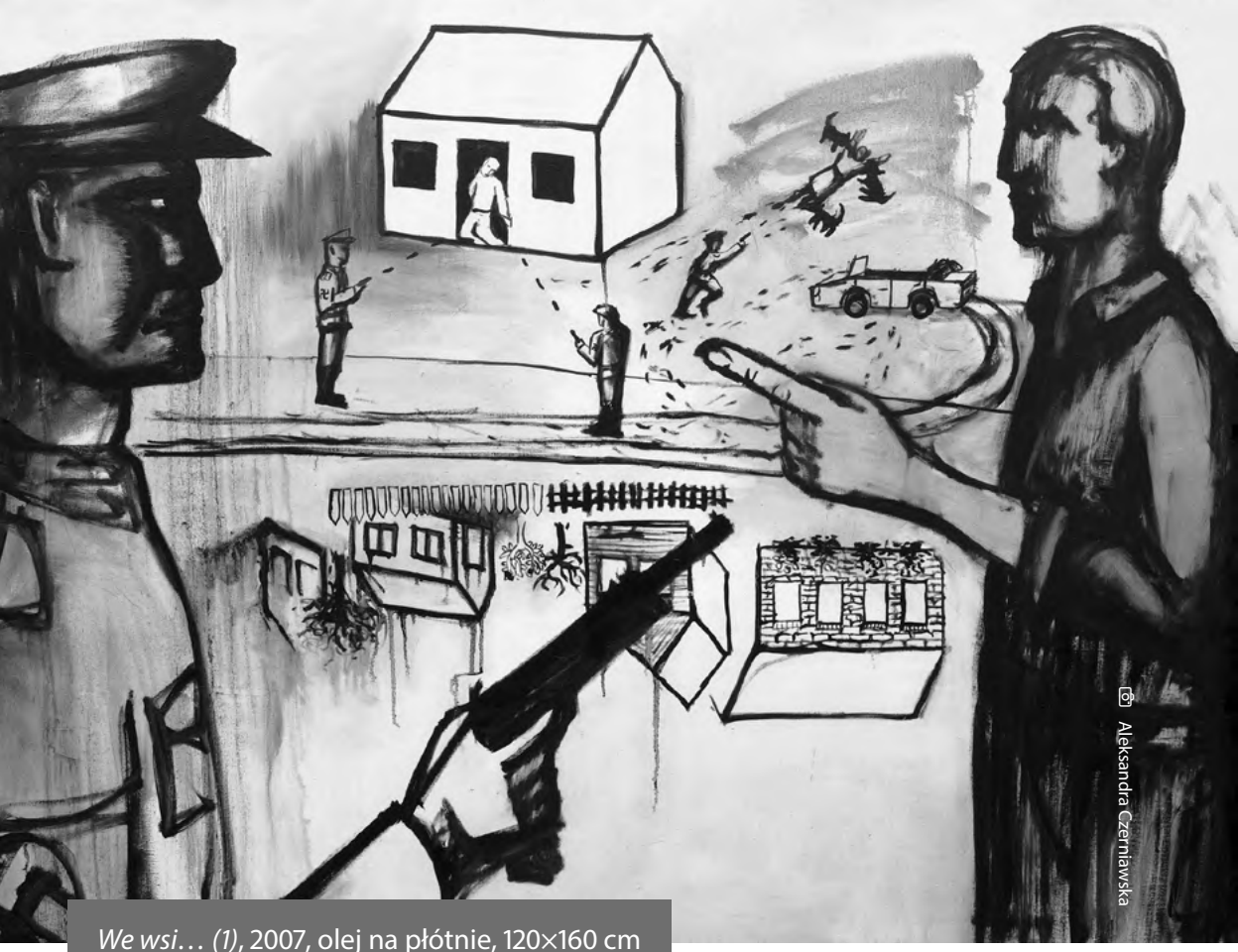

Aleksandra Czerniawska

We wsi… (1), 2007, olej na płótnie, 120×160 cm

roku obroniłaś na malarstwie dyplom poświęcony zbrodniom wojennym w ich rodzinnej wsi. Minęło dwanaście lat. Jak dziś funkcjonują obrazy o przeszłości?

Teraz obserwuję na nowo zainteresowanie tymi obrazami i łatwo można odgadnąć, skąd to się bierze. Zaczynałam w 2007 roku, kiedy dyskusja o napięciach etnicznych na Podlasiu w czasie II wojny światowej i w okresie powojennym miała inny charakter – pamięć tliła się w przekazach rodzinnych. Nacjonalizm, który teraz eksplodował, też był obecny, ale nie na taką skalę. Młodzi ludzie organizujący marsze żołnierzy wyklętych w Hajnówce zostali do tego wychowani. Działał tam na przykład katecheta i radny miejski PiS Bogusław Łabędzki, który inicjował te wydarzenia, a teraz jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej. Ktoś dopuścił do tego, żeby przygotowywał i kształtował młodych ludzi! Kiedy pracowałam nad swoim cyklem, nie wiedziałam, że coś takiego kiełkuje. Należeliśmy już do Unii Europejskiej, równościowe rzeczy wydawały się w porządku.

Zajmujesz się pamięcią swoich dziadków, jesteś trzecim pokoleniem myślącym o doświadczeniach wojennych.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Pracując nad dyplomem, spotkałam się z pojęciem „trzeciego pokolenia" w kontekście pamięci o Holokauście. To doświadczenie i moje są nieporównywalne, choć, owszem, czerpałam głównie z przekazów dziadka.

Pojęcia „trzeciego pokolenia" można też użyć do opisu sytuacji emigrantów i emigrantek. Osoby wyjeżdżające są obciążone nauką nowego języka, kultury, to zadanie, które muszą odrobić. Choć chcą się dopasować, to często im się nie udaje. Natomiast ich dzieci już mogą się asymilować, trzecie pokolenie zaś szuka różnicy. Pracując, myślałam o asymilacji i kulturze, nie tylko o traumie. Mimo że temat przemocy pozostaje obecny w moich pracach, wydaje mi się, że tam są też inne rzeczy: pejzaż, architektura, portrety ludzi z tej społeczności. Nie pochodzę ze wsi, urodziłam się w mieście i staram się bardzo pilnować, żeby nie popaść w chłopomanię, ale przyglądam się tej wsi ze wspomnień, myśląc o niej jako o swoim źródle kulturowym. Wiem, że to, z czym obcuję, to już pewna interpretacja przekształcona przez wrażliwość moich przewodników po krainie wspomnień. Używam słowa przewodnik, bo z dziadkiem często spacerowałam po lasach z jego dzieciństwa. Prowadził mnie fizycznie po przestrzeni, ale swoją opowieścią dokładał kolejną warstwę do rzeczywistości i często były to uwagi o przyrodzie. Sporo w tych historiach sielanki i niesamowitości. Dopiero z czasem pojawił się wątek wojenny. Później też otrzymałam przekaz babci o tym, jak trudne było życie kobiety w środowisku wypełnionym ciężką pracą fizyczną. Dlatego nostalgia za tym kawałkiem ziemi, która do końca towarzyszyła mojemu dziadkowi, nie należy do mnie.

W swoich obrazach nawiązujesz do Marca Chagalla i Andrzeja Wróblewskiego.

Studiowałam ich obu. Chagall jest mi bardzo bliski ze względu na to, jak swobodnie łączy motywy i buduje swój świat przedstawiony. Widać, że to jest obraz jakiejś rzeczywistości, ukazany za pomocą środków figuratywnych, jednocześnie niedosłowny i nierealistyczny. Chagall urodził się i wychował w Witebsku. Jego świat nie jest tak bardzo odległy od mojego. Stworzył też przejmujące obrazy dotyczące II wojny światowej, które są chyba mniej znane. Nie przeniknęły tak bardzo do popkultury. Język malarstwa nie rodzi się w próżni.

Myślę o sobie jako o człowieku kształtowanym też w polskiej kulturze, stąd zainteresowanie Wróblewskim. U niego z kolei porusza mnie obraz śmierci, który nie ma charakteru makabry, ale pozostaje bardzo przejmujący: niebieskie ciało, a więc zimne i martwe, przetrącona anatomia. Podglądałam u Wróblewskiego użycie koloru do budowania pewnych emocji i skojarzeń. Kolejnym odniesieniem pozostaje dla mnie prawosławna ikona, z której zaczerpnęłam symultaniczność przedstawionych wydarzeń, powtórzenia pewnych motywów, a także epitafium symbolizujące ciało zmarłego

eprasa.pl b62d9b2f9d

i grób. Zdarzyło mi się, że ludzie z wiedzą teologiczną interpretowali moje obrazy, a ich interpretacje zawsze poruszały mnie swoją trafnością.

W twórczości odwołujesz się też do bieżeństwa i do II wojny światowej, ale Twoje obrazy nie dotyczą Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, czyli Białoruś pozostaje opowieścią rodzinną, a nie symbolem sąsiedniego państwa.

Postanowiłam, że w tym cyklu nie będę sięgała po opowieści spoza mojej rodziny. Istnieje granica między krainą, w której się wychowałam, a państwem Białoruś. Część mojej rodziny zmuszono do wyjazdu do ZSRR. Mój pradziadek Michał miał trzech braci: Bazylego, Władysława i Stefana. Jeden z nich został zabity „za pierwszego Niemca" w 1939 roku. Sąsiad zadenuncjował go jako komunistę. Moja rodzina utrzymuje, że to oszczerstwo. Skończyło się jednak wyrokiem. Niemcy zabijali komunistów. Zostało trzech braci, którzy przeżyli wojnę. Po wojnie zaczęto naciskać na „repatriację". Kolejny brat został zamordowany przez lokalnych partyzantów dla przykładu. We wsi zginęły wówczas trzy osoby, dwóch majętnych gospodarzy i przypadkowy młody chłopak. To była forma zastraszenia, która miała na celu zmuszenie ludzi do wyjazdu. Stefan był jednym z tych zabitych gospodarzy. Trzeci brat wyjechał do Baranowicz. Został tylko Michał. Jedyny prawosławny, który nigdzie nie wyjechał i dalej tam żył.

Na obrazach nie precyzujesz swoich bohaterów, jednak przemoc kojarzoną z dużymi kryzysami pokazujesz w doświadczeniu rodziny, sąsiadów, osób bliskich. Oficjalna historia przemoc odsuwa, przenosi ją na obcych agresorów, a Ty mówisz o niej w lokalnym kontekście.

W podręcznikach przemoc pochodzi z obcych wojsk, a z nami nie ma to nic wspólnego. Egzekucji dokonuje raz jedna, raz druga armia, ale to są zawsze obcy. A potem kiedy dostajesz historię rodzinną, okazuje się, że przyjście jakiegoś Niemca, który mówi obcym językiem i niewiele rozumie, może wpłynąć na tę rzeczywistość. Przemoc, która tak łatwo i szybko zainfekowała społeczność, mnie zszokowała, chciałam o niej opowiedzieć. O tym się nie mówiło, chociaż wtedy już opublikowano *Sąsiadów* Jana Tomasza Grossa. Tytuł tej książki jest bardzo trafny: dla mnie też było ważniejsze, że to sąsiedzi robili sobie nawzajem straszne rzeczy. Świat, który zdawał się normalnie funkcjonować, tak szybko obrócił się w chaos.

A jak widzisz przeszłość polskich Białorusinek i Białorusinów?

Dostęp do historii i kultury białoruskiej na Podlasiu się poprawił. Burego zrehabilitowano w 1995 roku, a rodziny ludzi przez niego zamordowanych dopiero dowiadywały się, co wtedy zaszło. Poznawaliśmy szczegóły sprawy Furmanów. Rodziny chciały postawić pomnik ofiarom Burego w Bielsku Podlaskim, kolejne

eprasa.pl b62d9b2f9d



© Aleksandra Czerniawska

Pogrzeb, 2008, olej na płótnie, 190×140 cm

eprasa.pl b62d9b2f9d



Aleksandra Czerniawska

Zabicie Stefana (1), 2008, olej na płótnie, 190×293 cm

władze nie udzielały zgody. W tym czasie zdjęcie Burego wisiało przy Rynku w Białymstoku. Buremu „oddano sprawiedliwość", anulowano wyrok wydany na niego w niesprawiedliwym procesie, został też upamiętniony. A dzieci jego ofiar o upamiętnienie musiały walczyć przez kilka lat. To się jednak w końcu udało. Miałam poczucie, że historia była ważna, wszyscy o niej mówili. I nie zastanawiałam się, dlaczego akurat ja patrzę w przeszłość i myślę o II wojnie światowej. Taki był duch czasu. Działał też IPN, zaczęliśmy rewidować nasze myślenie. Odbyło się śledztwo w sprawie Furmanów, w którym padło sformułowanie o czynach „noszących znamiona ludobójstwa", których dopuścił się Bury. Pomyślałam, że ja też będę rewidować swoją przeszłość w sztuce. Rozumiem, dlaczego Polacy nie interesowali się tak bardzo losami mojego pradziadka, on nie należy do głównego nurtu polskiej historii. Uważam, że kultywowanie pamięci mojej społeczności to mój obowiązek, dlatego uprawiam swoją sztukę.

Wracając do sytuacji na Podlasiu: z jednej strony obserwuję, że rozwinęło się nauczanie języka białoruskiego w Białymstoku, są wydawane nowe książki, organizuje się miejskie wydarzenie, takie jak wycieczki i oprowadzania po wystawach sztuki w języku białoruskim. Jest tego więcej niż kiedyś – to mnie cieszy. Z drugiej strony niestety jesteśmy konfrontowani z wrogimi gestami, takimi jak

eprasa.pl b62d9b2f9d

marsz w Hajnówce. Może to rodzaj reakcji, z którymi spotykają się ruchy emancypacyjne.

Uważasz więc, że Twoja sztuka wynika z otoczenia społecznego?

Pewne rzeczy biorą się jakby z powietrza. Istnieje pewnego rodzaju element nieświadomy w działalności artystycznej. Robisz coś, ale do tego, co było motorem działania, dochodzisz później. Wtedy to czułam, a dziś rekonstruuję. Coś sobie bazgroliłam i mnie to pociągnęło. W pewnym momencie przeglądałam źródła i zaczęłam się zastanawiać, czy chcę jechać do ludzi i z nimi rozmawiać, robiąc badania historyczne lub reportaż. Zdałam sobie sprawę, że nie mam odpowiedniego warsztatu, by zrobić to odpowiedzialnie. Postanowiłam więc uprawiać pamięć rodzinną. A prawda jest taka, że nie mam kontaktu z częścią rodziny, która wyemigrowała do Baranowicz w Białorusi. Moja babcia rozmawia z nimi przez telefon, ale ja nigdy nie zostałam tam zabrana. Granica z Białorusią pozostaje szczelna. Mocno dzieli, a to nie było oczywiste w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wertowałam „Przegląd Prawosławny" z tego czasu. W kronice aktualności powracał motyw, że teraz zbliżymy się z Białorusią. Lech Wałęsa mówił, że już niedługo otworzymy granice, a tymczasem weszliśmy do Unii Europejskiej i wydarzyło się coś dokładnie odwrotnego. Ustał również mały ruch graniczny. Fala protestów i pandemia robią swoje. Białorusini i Białorusinki przyjeżdżają do nas, są obecni i widoczni, ale my do Białorusi nie jeździmy.

Czy w Akademii Sztuk Pięknych Twoje koleżanki, koledzy też myśleli o historii?

Nie wydaje mi się. Robiłam dyplom w 2008 roku, mniej więcej w tym czasie bronili się: Tymek Borowski, Paweł Śliwiński, Sławek Pawszak, Paweł Dunal, powstało pojęcie Zmęczeni Rzeczywistością. Debiutowały świetne malarki: Anna Panek, Róża Litwa. Oczywiście nie da się powiedzieć, że historia pozostawała nieobecna, bo na przykład sztuka wobec Holokaustu to w Polsce potężny nurt.

Kiedy zaczynaliśmy studia, Wilhelm Sasnal święcił wielkie triumfy. Wydaje mi się, że jako młodzi twórcy i twórczynie musieliśmy się jakoś względem niego ustawić. A on na swój sposób odnosił się do historii i moralnych rozstrzygnięć. Pamiętam, że Sasnal był na przykład bardzo ważny dla Sławka Pawszaka, który interesował się formalnymi aspektami jego malarstwa i tworzył obrazy abstrakcyjne. Mnie ta strona niespecjalnie ekscytowała, ale przejęłam potrzebę poruszania tematów historycznych. Nawet nie tyle świadomie przejęłam, ile po prostu nie zakwestionowałam. Miałam natomiast problem z „migawkowym" przedstawianiem motywów historycznych zaczerpniętych ze zdjęć lub z innych dzieł kultury. Myślę na przykład o obrazach Sasnala odnoszących się do Holokaustu, stworzonych poprzez przemalowanie kadru z filmu lub karty z komiksu albo

eprasa.pl b62d9b2f9d

pracę Luca Tuymansa – obraz przedstawiający różowe okulary, które, jak można się dowiedzieć z opisu, pochodziły ze zbioru zgromadzonego w obozie zagłady. To dla mnie problematyczne, że potrzeba kilku przypisów, żeby dotrzeć do sedna prac. Chciałam być bardziej dosadna. Moja opowieść pochodziła też z przekazu ustnego i chciałam ten charakter utrzymać. Szukałam dla niego własnej, niekomiksowej formy.

Pozwól, że zapytam też o Twoją pracę z Dzigą Wiertowem, który urodził się w Białymstoku.

Z moją instalacją w centrum Białegostoku dedykowaną Wiertowowi *Ja – kinooko* wiąże się zabawna historia. To rzeźba w formie tablicy dwa na trzy metry, która odbija miasto i zawiera wizerunek oka, lustro staje się ekranem – z jednej strony dotyczy patrzenia, ale też inkluzywności. Podczas wernisażu w 2010 roku pojawiła się trzyosobowa pikieta. Protestowały starsze panie z dużym wyblakłym plakatem Lenina, który chyba musiał być odnaleziony za szafą którejś z nich. Miał piracką przepaskę na oku i hasło: „Ile kosztowało przeciętnego białostoczanina oko Lenina?". Policzyłam, że dwanaście groszy.

Przygotowywałaś też wystawy i filmy o Wiertowie.

Konstruowałam historyczne wystawy poświęcone Wiertowowi, przy czym wszystkie eksponaty były sfałszowane lub wymyślone. Wiertow został starannie wymazany z pamięci w Białymstoku. To może mieć związek z brakiem materialnych pamiątek po nim i jego rodzinie. W tym mieście nie ma też społeczności żydowskiej, która mogłaby taką pamięć nieść. Teraz widzę, że problem pomięci o Żydach to tylko kawałek układanki, bo dużą rolę odgrywa również specyficzny rodzaj antykomunizmu. Dla mnie Wiertow to awangardowy artysta, z którym w dialog wchodzi pół świata filmu, który ma największą światową bibliografię spośród twórców z Polski. Tymczasem niektórzy widzą w nim radzieckiego propagandzistę. To jest jakiś kawałek prawdy, ale powiedzieć tyle i postawić kropkę, wydaje mi się manipulacją. Zrobiłam też film, w którym zastępuję postać tytułowego człowieka z kamerą z najsławniejszego filmu Wiertowa – kobietą (występuję w jej roli). Pandemia spowodowała, że go jeszcze nie pokazałam. Póki nie nastąpi konfrontacja z publicznością, trudno zrobić kolejny krok. Dla mnie to była długa droga, od momentu kiedy chciałam zrobić jego pomnik do miejsca, gdzie skolonizowałam najważniejsze dzieło Wiertowa.

Powiedz, proszę, o swojej aktywistycznej działalności na rzecz klimatu, której nie wiążesz wprost z praktyką artystyczną. Historia rodzinna, Wiertow i aktywizm klimatyczny, czyli osadzenie w rodzinie, w kulturze, a teraz szerzej w świecie, klimacie, odpowiedzialności społecznej. Są pytania, na które udzieliłaś odpowiedzi, i zadajesz sobie kolejne?

eprasa.pl b62d9b2f9d

Opisałaś proces rozszerzania pola, a ja z kolei myślę o tym inaczej. Długi czas zwracałam się ku przeszłości, przecież nawet Wiertow żył sto lat temu. Moja praktyka była związana z procesem utożsamiania się. Wchodziłam w teksty Wiertowa, wkleiłam się do jego filmów. W pewnym momencie przeczytałam kilka książek socrealistów i tknęło mnie, że oni tak patrzyli w przyszłość. Więc ja też teraz zwrócę się ku przyszłości, a cezurą czasową będzie raport Intergovernmental Panel on Climate Change (Międzyrządowy Zespół do spraw Zmian Klimatu) ogłoszony w październiku 2018 roku. Ten raport dużo zmienił w życiu wielu osób. Zastanawiam się, czy zaszła zmiana tożsamościowa, a później, czy to w ogóle pożyteczne, żeby wszystko sprowadzać do tożsamości. Jestem aktywistką klimatyczną, ale nie chciałabym z tego robić tematu. Nie po to jesteś aktywistką klimatyczną, żeby być aktywistką, tylko żeby coś zmienić. Z kolei bycie Białorusinką jest celem. Chcę przeżywać swoją białoruskość, dokładać coś do białoruskiej kultury (czy do kultury jako takiej). Chciałabym przestać być aktywistką, wolałabym, żeby tym się zajęły polityczki i politycy, ale z racji wiedzy związanej ze zmianą klimatu, rozmiaru tego wyzwania i zagrożenia, zaangażowałam się w jeden z najwcześniejszych ruchów aktywistycznych, które wystartowały w Polsce, czyli w Strajk dla Ziemi. Wolałabym żyć w świecie, w którym mogę przeżywać swoją białoruskość, uczyć się języka, a to wymaga regularności i dyscypliny. Ciężko się tym zajmować w obliczu wyzwań klimatycznych.

Aleksandra Czerniawska jest artystką, aktywistką klimatyczną. Pochodzi z Białegostoku, mieszka i pracuje w Warszawie. W centrum jej zainteresowań znajduje się malarstwo i rysunek. Tworzy również fotografie, obiekty, instalacje. Stopień doktora uzyskała na Wydziale Grafiki warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w roku 2019 na podstawie rozprawy *Dżiga Wiertow – człowiek z kamerą oraz jego alternatywny wariant*.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Folklor to potęga, w którą wchodzi demon

Klaudia Niemkiewicz

Kultura ludowa nie otrzymała prawa głosu, dlatego poddaje się interpretacji różnorodnych dyskursów i wykorzystywaniu swoich zasobów równie milcząco jak natura. To zjawisko zauważalne w Polsce i Europie Wschodniej.

W Polsce wiejskie tradycje muzyczne praktykowane są w miastach, na festiwalach i w domach tańca od ponad trzydziestu lat, a popularność tej gałęzi sztuki i zarazem sposobu spędzania wolnego czasu wciąż rośnie. Nurt zrodził się w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku w teatrach awangardowych oraz dzięki inspiracji akademicką folklorystyką muzyczną krajów byłego ZSRR: *wtorynnym wykonuwanniam awtentyki* na Ukrainie oraz *folklornym dwiżenijem* w Rosji. Nurt ów obejmuje w Polsce działalność w przeważającej mierze amatorską, rzadko powiązaną z instytucjonalną etnomuzykologią, antropologią, socjologią czy etnologią. Opiera się na działaniach artystycznych, badawczych i popularyzatorskich związanych z recepcją ludowego folkloru muzycznego.

Naturalizacja

W języku rozmowy o kulturze ludowej, zarówno akademickiej, jak i potocznej, pojawiają się pewne figury myślenia, oparte na porządku, symetrii i odwołaniach do świata przyrody. Figury te zdają się łączyć w sobie gwarancje moralne i estetyczne, a ponieważ są rodzajem wspólnoty emocjonalno-pojęciowej, pozostają dla mówiących niebezpiecznie przezroczyste. Często mają naoczne odpowiedniki w świecie przyrody, takie jak źródło, horyzont, pion, i dlatego, chociaż natura ich jest społeczna, zdają się mieć podstawy w naturze rzeczy. Z tej przyczyny bywają narzędziem konserwatyzmu społecznego. Naturalizacja charakteru narodów czy grup społecznych to potężne narzędzie władzy politycznej. Przypisywanie kwantyfikatora „naturalności" określonym rozwiązaniom społecznym jest jednym z racjonalnie niedyskutowalnych argumentów w dyskursie ultrakonserwatyzmu. Kotwiczenie wartości narodowych i społecznych w naturze i krajobrazie ma źródło w Herderowskiej mistyce *Blut und Boden* i ideologii volkizmu, czyli niemieckiej dziewiętnastowiecz-

eprasa.pl b62d9b2f9d

nej odmianie rasizmu. Volkizm, opierając się na rozważaniach Herdera, doktrynie o narodach predestynowanych Fichtego oraz Heglowskim motywie *Volksgeist* (ducha narodu) przeciwstawiał nowoczesności uosabianej przez Żydów wizję tradycyjnego „zdrowego moralnie" Niemca. Wyobrażenie o narodzie jako tworze wyrastającym z chłopskiej krwi i przekonanie o samowytwarzaniu się autochtonicznej kultury ludowej sprzyjało pokusie izolacjonizmu. W dwudziestoleciu międzywojennym idea ta zaowocowała organizowaniem w służbie władzy politycznej masowych plenerowych widowisk folklorystycznych, mających przez jedność zbiorowej pieśni odnawiać narodową kulturę i przyrodę. Po II wojnie światowej w krajach komunistycznych folklor przy aktywnym wsparciu państwowego protektoratu wcielano do propagandy kultury chłoporobotniczej. Pieśń ludowa wchodziła w związki z pieśnią wojskową, była popularyzowana i umasawiana przez zespoły pieśni i tańca, radio, telewizję, przemysł fonograficzny.

Korzenne emocje są mroczne

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, w początkach dzisiejszego ruchu folkloryzmu muzycznego zarówno w Rosji, jak i w Polsce refleksja nad folklorem poprzez metafory biologiczne i immunologiczne oraz podkreślanie zachowawczości kultur ludowych została powiązana z ruchem ekologicznym. Wyobrażenia o ludowości odnoszono do uniwersalnych wartości egzystencjalnych, takich jak wolność, prostota, poszukiwanie pełni człowieczeństwa, nawiązywano do motywu źródła. Wówczas ideologia małych ojczyzn i antyglobalistycznych arkadii wyparła skojarzenia folkloru z totalitaryzmami. W ponowoczesnej krytyce technicznego podejścia do natury ponownie zyskały znaczenie znane z początków nowożytności romantyczne propozycje antropologiczne: poszukiwano kontaktu i zjednoczenia z kosmosem i naturą poprzez sfery, które wymykają się racjonalno-empirycznemu poznaniu, przez powrót do źródeł kultury, nieświadomość i emocje. Odżywały ludowe koncepcje kosmologiczne, takie jak symbol drzewa życia czy matki ziemi. W rosyjskiej myśli społecznej wcześniej niż w Polsce, na bazie kryzysu zaufania wobec społecznej dynamiki nowoczesności pojawiło się przekonanie, że rozumowy porządek racji i interesów zapewnia tylko częściowy fundament dla struktury narodu i państwa,

Uświadamiając sobie, jak potężne idee społeczne i polityczne historycznie rezonują z zainteresowaniem kulturą ludową, trudno oddzielić zaangażowanie w wykonywanie wiejskiej muzyki i niesione przez nią treści od kontekstów światopoglądowych.

eprasa.pl b62d9b2f9d

a tym samym rozpoczęło się rewidowanie stosunku do tego, co tradycyjne. Kultura ludowa, której przypisywano zachowawczość i zarazem holistyczność, miała szanse okazać się idealną formą tradycji i rezerwuarem wartości aktualizujących się w działaniu rytualnym i zwyczajowym. W środowiskach folklorystycznych krajów byłego ZSRR zainteresowanie folklorem muzycznym łączono z ideami narodowymi. Zespoły i stowarzyszenia muzyczne, często oparte na strukturze rodziny, kultywowały oprócz folkloru muzycznego także narodowe tradycje religijne i wojskowe oraz wspierały idee imperialistyczne. W latach dwutysięcznych dla polskich folklorystów muzycznych było to podejście wciąż zaskakujące. Pamiętam szok kulturowy, kiedy w 2006 roku pojechałyśmy z warszawską grupą folklorystek (wówczas: Muzyka z Drogi) z wizytą do zaprzyjaźnionego zespołu Romoda w Moskwie. Jego członkowie stanowili rozgałęzioną rodzinę i zamieszkiwali wspólnie w jednym z moskiewskich bloków, w mieszkaniu złożonym z kilku połączonych kwater, co miało umożliwić stworzenie tradycyjnego wielopokoleniowego domu. Byli wyznania staroobrzędowego, nosili tradycyjne stroje, zajmowali się konserwacją ikon i starodawnym rzemiosłem. Najmłodsze małżeństwa w tej rodzinie oprócz młodzieńczego trądziku na twarzach miały już po czwórce potomstwa. Małe dzieci wychowywały się wspólnie i bawiły się chętnie w wyruszanie na wojnę dla obrony granic rosyjskiego imperium. Nasi rosyjscy przyjaciele, siedząc z nami przy stole, zwykli śpiewać wojskowe pieśni o bitwie pod Warszawą w 1920 roku z wesołymi i skocznymi opisami zbiorowych gwałtów kozackich żołnierzy na polskich kobietach. Tłumaczyli nam, że odrębność „republik", takich jak Ukraina, Czeczenia czy kraje nadbałtyckie, to stan tymczasowy, ponieważ najważniejsza jest jedność imperium, zaś władza pochodzi od Boga, bo tak naucza prawosławie. Moskiewskie spotkanie było dla nas wówczas nieco przerażające, ale jeszcze dawało się o tym wrażeniu zapomnieć, podobnie jak o obawach Włodzimierza Pawluczuka, który, doświadczywszy komunizmu i totalitaryzmów, w latach siedemdziesiątych pisał: „Folklor nas osacza, ludowość stanowi zagrożenie. Wszelkie wielkie ruchy, zmory naszego wieku, to są potężne powroty do ludowości. Totalitaryzmy, nazizm, chomeinizm – to jest kultura populistyczna. Folklor to potęga, w którą wchodzi demon". Muzyk Maciej Rychły w 1992 roku ostrzegał: „Korzenne emocje są mroczne. Myślę, że środowisko korzennych poszukiwaczy może być łatwo wymanipulowane przez socjotechniki najprostsze, stosowane przez polityków spod skrzydła nacjonalistycznego".

Moralny obowiązek

W owym czasie zbliżanie się polskich środowisk folklorystycznych do konserwatywnego świata wartości wydawało się niewinne. Młodzi ludzie z punkową prze-

eprasa.pl b62d9b2f9d

szłością, kierując się po prostu etnograficznym taktem, podczas badań na wsi zaczęli dzielić się rolami: w czasie gdy chłopcy palili papierosy z muzykami, dziewczęta obierały warzywa z gospodyniami. Żeby znaleźć płaszczyznę porozumienia z wiejskimi twórcami, dostosowywano działania w terenie do rytmu świąt kościelnych. Stopniowo jednak w środowisku zaczęły pojawiać się głosy o moralnym obowiązku kultywowania rodzimych tradycji, rozwijano Herderowskie przekonanie, że największą prawdę i autentyczność wyrazu muzycznego można osiągnąć, zajmując się jedynie folklorem własnego narodu. Naturalizowano sztukę i muzykę ludową, określając ludowe wykonania muzyki mianem „autentycznych" lub *in crudo*. Podkreślano szczególną naturalność ludowego sposobu emisji głosu i cech stylu śpiewaczego bądź też desygnowano je jako odstępstwo od normy określonej jako naturalna, kiedy śpiewak nie utrzymywał czystości stylu regionalnego albo nie wykonywał folkloru własnego narodu i regionu. Postaci, będące ikonami polskiego ruchu folkloryzmu muzycznego, takie jak Adam Strug czy Janusz Prusinowski, zasłynęły traktowaniem uprawiania muzyki ludowej jako powinności moralnej. „Wschodnie" naleciałości w sposobie artykulacji dźwięku określano mianem „ukraińskiej tutki", będącej swoistą skazą emisji naturalnego głosu. Twierdzono, że jedynie rodzimą tradycję muzyczną można w pełni zrozumieć i przyswoić. Koncepcja czystości i nieczystości stylu muzycznego uzyskała w ten sposób kwantyfikator moralny i zaczęła nieprzyjemnie rezonować z inną czystością. Początkowe zafascynowanie wielokulturowością, mozaikowością i zmiennością muzyki ludowej zostało niepostrzeżenie zastąpione przez moralny narcyzm „kontynuatorów tradycji".

Jednosystemowość świata ludowego jest utopią. Oprócz wartości zgodnych ze światopoglądem konserwatywnym, takich jak klarowny podział ról płciowych, znajdziemy w nim również treści o wywrotowym potencjale: znachorstwo i ludową ginekologię.

W sporze i dialogu

Muzyka ludowa ma ogromny potencjał estetyczny, symboliczny i transgresywny, łączy w sobie zapośredniczone postrzeganie sensu umykającego racjonalnej eksplikacji i bezpośrednie oddziaływanie na ciało i emocje. Muzyka związana z całością wiejskiej kultury kusi obietnicą zadomowienia, jest artefaktem *orbis interioris* jako domeny ładu, w którego centrum jest człowiek. Świat kultury wiejskiej, którego nie rozsadził postmodernistyczny relatywizm, mimo że opresywny i pełen stereotypów, wydaje się oferować wytchnienie klarownych odpowiedzi. Praktykowanie wiejskiej

eprasa.pl b62d9b2f9d

muzyki pogłębia siłę przemieniającego doświadczenia badań terenowych, dlatego niektórzy folkloryści próbują włączyć elementy tradycyjnego stylu życia w swoją historyczną rzeczywistość. Dodatkowo praktykowanie tej muzyki niesie silne doświadczenia wspólnotowe. W obliczu wagi transgresywnego doświadczenia wśród praktyków ludowej kultury muzycznej pojawiła się potrzeba jej „zachowywania" i „ocalania", obawa przed pustką i opuszczeniem pozbawionego pamięci świata w Heideggerowskim „czasie marnym". Jednak, jak pisze prawosławny teolog Paul Evdokimov, kiedy poznanie przestaje być adoracją, a staje się gromadzeniem faktów, rzeczywistość rozdziela się na elementy, między którymi tworzy się nieuchronny brak ciągłości. Pojawia się wtedy pokusa, aby uzyskać niemożliwy do uzyskania w tym doświadczeniu pożytek poprzez punktowanie „obowiązków" i „odpowiedzialności" ze strony „jedynych spadkobierców" ludowej tradycji muzycznej. Na potrzeby tworzenia autodefinicji dokonuje się zdrada tej tajemnicy, która może być przechowywana jedynie w działaniu: próby przełożenia treści uruchamiającej się w kontakcie z ludową muzyką świadomości mitycznej na język projektów oraz działań kulturalnych i edukacyjnych z definicji musiały pomijać jej niewyrażalne sedno.

Świat kultury wiejskiej, którego nie rozsadził postmodernistyczny relatywizm, mimo że opresywny i pełen stereotypów, wydaje się oferować wytchnienie klarownych odpowiedzi.

Uświadamiając sobie, jak potężne idee społeczne i polityczne historycznie rezonują z zainteresowaniem kulturą ludową, trudno oddzielić zaangażowanie w wykonywanie wiejskiej muzyki i niesione przez nią treści od kontekstów światopoglądowych. Niektórzy z folklorystów, chcąc uwolnić swoją muzyczną pasję od tego typu skojarzeń, odżegnują się od pozamuzycznych inspiracji folklorem. Obawa przed niebezpieczeństwem deklaratywnego zadomowienia się w kulturze wiejskiej, rodzimej czy narodowej decyduje o utrzymywaniu dystansu koneserów muzyki i kładzeniu nacisku na estetyczne walory folkloru muzycznego: modalność, brzmieniowość i strukturalne związki muzyki ludowej z muzyką współczesną. Proste zaprzeczenie może się jednak okazać niedostatecznym odparciem dla świadomości mitycznej. Dziś widzimy, jak bagatelizowana żywotność mitycznego myślenia ujawnia się w postaci masowych ruchów społecznych i jak łatwo przekształca się w ekstremizm ideologiczny lub religijny, pozbawiony pamięci fanatyzm.

Figury myślenia o ludowości prawie bez oporu poddają się wykorzystaniu przez ideologie. Kultura ludowa nie otrzymała prawa głosu, dlatego ulega interpretacji różnorodnych dyskursów i wykorzystywaniu swoich zasobów równie milcząco jak natura. Dziś polski ruch folkloryzmu muzycznego staje przed wyborem – zauważać

eprasa.pl b62d9b2f9d

w muzyce i kulturze ludowej to, co awangardowe, marginalne, nietypowe, mniejszościowe, wywrotowe, zakręcone, czy na powrót – odkrywać swojszczyznę, na której finansowanie zawsze znajdą się środki? Wyzwanie ogromnej etnograficznej uważności, by rzeczywiście słuchać kultur ludowych zamiast zaprzęgać je w służbę kolejnych ideologii, ekologizmów, romantyzmów, nacjonalizmów, jest dziś szczególnie aktualne. Jednosystemowość świata ludowego jest utopią. Oprócz wartości zgodnych ze światopoglądem konserwatywnym, takich jak przywiązanie do ziemi urodzenia, klarowny podział ról płciowych czy żywa religijność, znajdziemy w nim również treści o wywrotowym potencjale: karnawalizację, odwracanie ról, przebieranki, zamawianie, znachorstwo, zielarstwo i ludową ginekologię pod patronatem Matki Boskiej, opiekunki brzemiennych panien. Żywotność tradycji istnieje w jej zmienności, plastyczności i aktualnej funkcjonalności. Podobnie ludowa pieśń nie funkcjonuje jako archetyp, ale jako nieograniczona możliwość wariantów, płynność przenikających się motywów melodycznych i tekstowych. Siły żywej tradycji nie można znaleźć, zasklepiając się w rodzimym folklorze. Tradycja i kultura od zawsze istniały w kontekście zmian i wstrząsów, w sporze i w dialogu ze światem spoza własnego widnokręgu. Dzisiaj nie musi być inaczej.

Klaudia Niemkiewicz jest doktorką kulturoznawstwa, etnolożką; badała folklor pieśniowy Polski i Ukrainy, od 1999 roku praktykuje śpiew tradycyjny. Autorka rozprawy *Przyswajanie wiejskich tradycji muzycznych. Refleksje krytyczne na temat recepcji muzyki ludowej przez muzykujących folklorystów w Polsce po roku 1980* (2014).

eprasa.pl b62d9b2f9d

Rewolucja jako punkt wyjścia

Z Jurijem Andruchowyczem, ukraińskim pisarzem, rozmawia Piotr Pogorzelski

PIOTR POGORZELSKI: W książce *Radio Noc* (Radio Noc), która została wydana pod koniec 2020 roku na Ukrainie, opisuje Pan rewolucję, która nie zakończyła się sukcesem.

JURIJ ANDRUCHOWYCZ: Powiem więcej: zakończyła się katastrofą. W książce pojawiają się nie tylko żołnierze, ale też Rosjanie i czołgi. Rewolucja zostaje zduszona. Gdyby u nas na przełomie 2013 i 2014 roku nie odbyła się rewolucja godności, to oczywiście ta powieść dotyczyłaby czegoś innego. Rewolucja godności stanowi punkt wyjścia. Nie chciałem jednak tego przewrotu odtwarzać. Zależało mi na stworzeniu portretu zbiorowego wschodnioeuropejskich zrywów. Kiedy skończyłem pracę, nie spodziewałem się, wręcz nie mogłem się spodziewać, że za chwilę moja książka będzie przywodzić na myśl wydarzenia na Białorusi, a nie kijowski majdan.

Zależało mi, żeby napisać o kimś, kto ucieka, a żeby ta ucieczka miała sens i motyw, potrzebowałem przegranej rewolucji. To pierwszy motyw. Można też na nią spojrzeć inaczej: w pewnym stopniu czynię aluzję do porażki rewolucji godności. Nie chcę jednak dawać jednoznacznej wykładni – pozostawiam każdemu czytelnikowi możliwość interpretacji. Pisarz, który za wiele wyjaśnia, ryzykuje, że zostanie potraktowany zbyt jednoznacznie.

W rozmowie z tygodnikiem „Nowoje Wriemia" mówił Pan, że na fabułę tej książki wpłynęły występy muzyczne, między innymi z polską grupą Karbido.

Nie tylko z nimi. Z Karbido wiąże mnie jednak wieloletnia i systematyczna współpraca, razem wydaliśmy pięć albumów. Z kolei z grupą Mertwyj Piweń to inna historia – oni niezależnie ode mnie nagrywali piosenki do moich wierszy i tekstów. Czasem też jeździłem z nimi w *tournée*. Miałem do czynienia z wieloma muzykami, trochę „od środka" dowiedziałem się, jak wygląda twórczość i życie muzyków w podróży. To doświadczenie sprawiło, że mogłem wiarygodnie obsadzić w roli głównego bohatera muzyka. Co prawda, on nie uważa się za muzyka przez wielkie M, choć przez znaczną część swojego życia grał na klawiszach,

eprasa.pl b62d9b2f9d

także w zespole rockowym, który dość często zmieniał nazwy. Później przyszła kariera solowa, której kwintesencją stał się jego udział w rewolucji. Pojawiał się na barykadach w kominiarce, grał na starych pianinach, które stały na ulicach. Moje doświadczenia związane z naszymi muzycznymi przygodami w połączeniu z literacką tradycją znalazły odbicie w tej powieści.

W jakim stopniu tematyka rewolucji godności na Ukrainie jest interesująca dla Ukraińców, w tym dla młodych ludzi? Minęło siedem lat... czy dziś ten temat gdzieś zniknął?

Dla większości Ukraińców to już temat przeszłości, ale od czasu do czasu do rewolucji wraca obecna władza. Na przykład prezydent Wołodymyr Zełenski udzielił wywiadu amerykańskim dziennikarzom z telewizji HBO, w którym mówi, że jest oburzony i zszokowany szturmem na Kapitol, a później dodaje: „nie daj Boże, myśmy już mieli dwukrotnie takie wydarzenia na Ukrainie". Czyli porównuje rewolucję godności z atakiem na Kapitol.

Ten „strach przed majdanem" wywołuje gorącą reakcję, w momencie publikacji wszyscy piszą o tym na portalach społecznościowych. Porównanie nieudanego puczu w Waszyngtonie i rewolucji godności to bardzo wyraźny *coming out* we freudowskim stylu. Wołodymyr Zełeński nie tylko nie lubił rewolucji godności, ale także do dziś nie nauczył się mówić o niej z szacunkiem.

Wracając do Pańskiego pytania – wielka szkoda, że majdan, rewolucja godności odeszła daleko w ukraińskiej świadomości. Można znaleźć obiektywne wyjaśnienie: od razu w marcu 2014 roku zainteresowanie społeczne skupiło się na aneksji Krymu i wojnie na Wschodzie. Czyli – uwaga, która powinna być poświęcona fenomenowi rewolucji, została rozproszona. Dziś odnosimy często wrażenie, że pamięci o tym wydarzeniu potrzebują tylko rodziny Niebiańskiej Sotni [nazwa protestujących, którzy zginęli bezpośrednio podczas działań rewolucji godności między grudniem 2013 a lutym 2014 roku w Kijowie – przyp. red.]. One od czasu do czasu o sobie przypominają, przychodzą do rządzących, zwracają się do nich. To szkoda i wielka niesprawiedliwość, że rodziny ofiar nie zostają wysłuchane. Ja jednak za sprawą książki nie wykonywałem żadnej misji społeczno-politycznej. Gdy czasem słyszę: „nareszcie na Ukrainie jest utwór o majdanie". Choć ta powieść nie dotyczy bezpośrednio tych wydarzeń, to mogę zrozumieć, dlaczego jest w taki sposób odbierana.

Czy Pan myśli, że to już zostało utracone raz na zawsze? Że ten temat nie wróci?

To może wrócić w bardzo niespodziewany i dotkliwy sposób, gdy znów pojawi się potrzeba masowego oporu społecznego. A ona może nadejść z godziny na godzinę. Mówiąc inaczej: gdy rozpocznie się kolejny majdan. Myślę, że ku temu zmierzamy, być może nie będzie to

eprasa.pl b62d9b2f9d

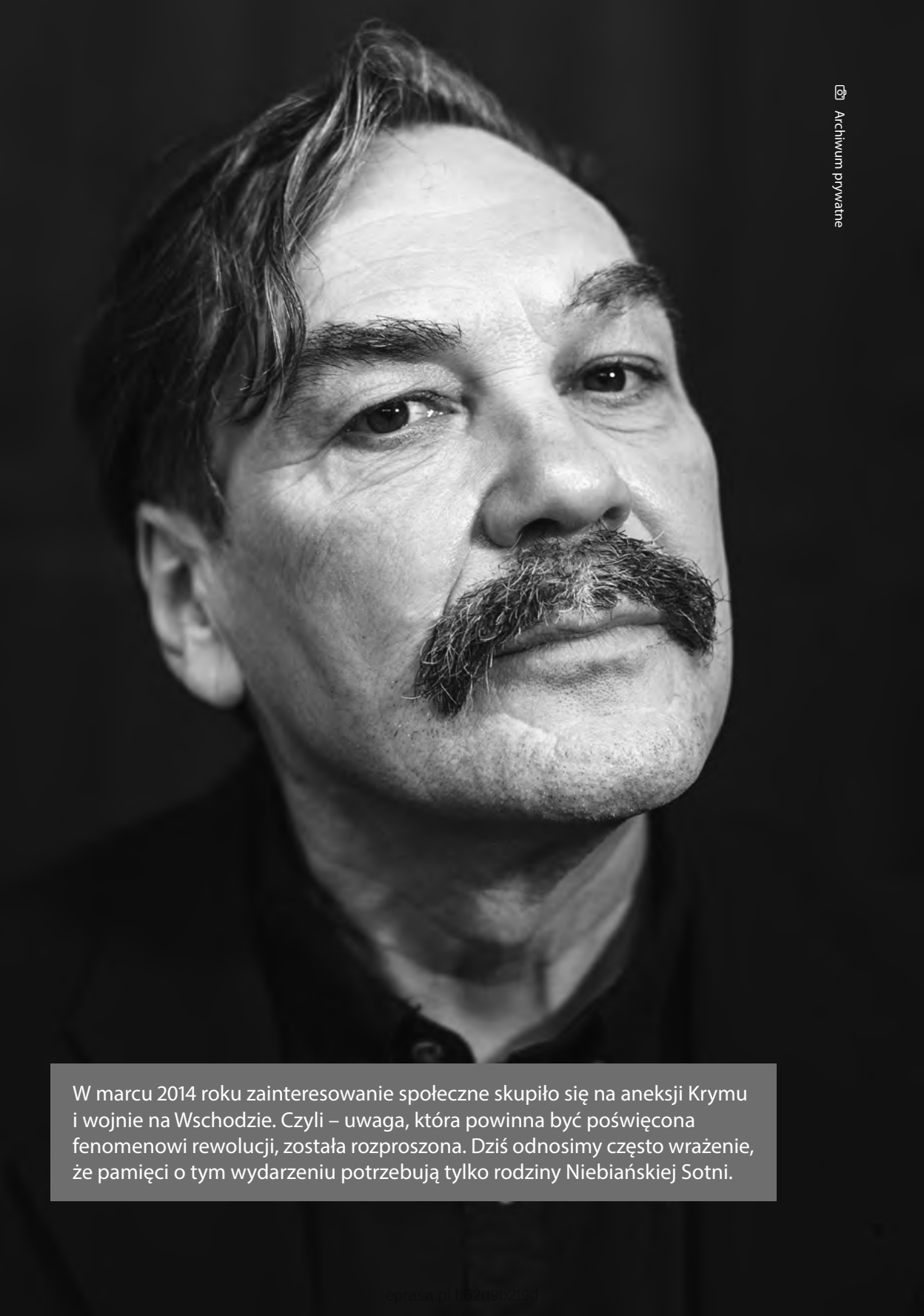

Archiwum prywatne

W marcu 2014 roku zainteresowanie społeczne skupiło się na aneksji Krymu i wojnie na Wschodzie. Czyli – uwaga, która powinna być poświęcona fenomenowi rewolucji, została rozproszona. Dziś odnosimy często wrażenie, że pamięci o tym wydarzeniu potrzebują tylko rodziny Niebiańskiej Sotni.

eprasa.pl b62d9b2f9d

milion osób, które wyjdą na plac Niepodległości w Kijowie, ale wtedy wszystko znów stanie się aktualne.

Osobiście ciężko mi zrozumieć, że do władzy wracają ludzie, którzy byli związani z reżimem Wiktora Janukowycza. Dlaczego to w ogóle jest możliwe?

Jeżeli mówimy o konkretnych ludziach z otoczenia Janukowycza, którzy dziś pracują, powiedzmy, w rządzie czy w Biurze Prezydenta, to jest to możliwe, ponieważ obecna władza dysponuje prawie wszystkimi mechanizmami prawnymi, aby ich obsadzić na tych stanowiskach. Rządzący mają większość w parlamencie, zatem mogą poprzeć taką, a nie inną kandydaturę, a co za tym idzie – zignorować ustawę o lustracji jako taką, która ma błędy i trzyma się na włosku.

Przypuszczam, że konstrukcja władzy prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i partii Sługa Narodu to tylko etap przejściowy. Nie wiem, na ile lat taki proces jest zamierzony, ale ich zadaniem jest demontowanie tego, co zrobiła poprzednia władza zaraz po majdanie. Chodzi o niwelowanie ich osiągnięć i o przekazanie władzy następcom, których wybiorą ludzie. To będzie umowny „nowy Janukowycz". Obecna władza ma hybrydowy charakter: składa proeuropejskie oświadczenia, reprezentuje ciągły sprzeciw wobec rosyjskiej agresji, ale moim zdaniem, doprowadzi do przekazania władzy poprzez wybory (lub inną drogą) prawdziwie prorosyjskiej sile politycznej. To oczywiście nie będzie ten sam Janukowycz, ale nowe pokolenie dawnej Partii Regionów.

To brzmi bardzo pesymistycznie.

Tak, ale wydaje mi się, że jeśli ten plan istnieje (choć nie chcę wchodzić w teorię spiskową), to oparty jest na sprzecznych tendencjach w zachowaniu władzy, jej interesach, braku kompetencji i profesjonalizmu, bezradności. To sprawia wrażenie nawet nie teorii spiskowej, a po prostu zanurzenia w całkowitym chaosie. Bardzo możliwe, że na tle tej chaotyczności w naszym społeczeństwie pojawi się większość wyborcza, która zagłosuje na otwarcie prorosyjskich polityków.

Oprócz tego na Ukrainie od lat sprawnie działa system korupcyjny.

On teraz nabiera całkiem nowego tempa przez to, że łączy się ze wspomnianym chaosem, odruchowością reakcji władzy, brakiem jakiejkolwiek wizji, co będzie jutro, co pojutrze. Obecna władza myśli tylko w kategoriach dnia dzisiejszego, tej minuty, tej sekundy. Dlatego układy korupcyjne działają w bardziej komfortowych warunkach niż wcześniej.

Nie zostały jednak stworzone tylko na chwilę, ale na wiele lat.

Tak. Może okazać się, że Zełenski jest zamieszany w wiele układów korupcyjnych, czerpiąc z nich korzyści i nawet nie rozumiejąc, że został w nie wplątany, bo sam nie wie, co podpisywał i jakie rozporządzenia wydawał.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Wróćmy jednak do Pana książki. Główny bohater *Radia Noc* emigruje – na emigracji występuje dla emigrantów i gromadzi sale pełne ludzi, którzy przychodzą go posłuchać. Odnoszę jednak wrażenie, patrząc, jak to wygląda w Polsce, że ta świeża ukraińska emigracja nie potrzebuje kultury na dużą skalę. W takich spotkaniach uczestniczy mało osób.

Powiem w ten sposób: ile spotkań, tyle wrażeń. Są takie, o których Pan mówi, ale są też zupełnie inne. Gdy występuję dla naszych współczesnych emigrantów, widzę, jak jest im to potrzebne, do tego stopnia, że w ciągu dziesięciu minut wykupują wszystkie książki i to, co przywożą organizatorzy. Mój obraz stworzyło kilkuletnie doświadczenie.

Duże zainteresowanie pojawiło się po rewolucji godności – w 2014 i 2015 roku. Zaczęły powstawać ukraińskie kluby, restauracje, pojawili się właściciele, którzy tworzą specjalne programy swojej działalności. Dla mnie to była nowość, bo frekwencja, o której Pan mówi, smuciła mnie piętnaście, dwadzieścia lat temu, gdy w Polsce ukraińscy gastarbeiterzy zajmowali się wyłącznie przeżyciem, nie myśleli o wieczorach literackich i koncertach rockowych. W ostatnich latach zaszła duża zmiana jakościowa.

Inaczej było w Niemczech czy na Słowacji. Ten kraj, w którym mieszka mój bohater, to bardziej Słowacja niż Polska, albo może nawet Słowenia… Może ma jakieś polskie cechy, ale ja świadomie nie opisałem go jako jednego konkretnego kraju.

W mojej książce ważny jest jeszcze jeden moment, mianowicie pewna tendencja posttraumatyczna. To dążenie i chęć zbierania się, spotykania się w swoim na pół magicznym miejscu, istnieje dlatego, że rewolucja przegrała, nie ma już ojczyzny. Ona istnieje tylko geograficznie. Możemy zatem postawić sobie pytanie z natury psychologiczne, jak taka diaspora reagowałaby na podobne traumy.

Rzeczywiście na koncertach rockowych jest dużo osób, na spotkaniach z Panem też, ale są wydarzenia, w których uczestniczy parę osób. Wydaje mi się, że wielu Ukraińców w Polsce nie chce pokazywać, że są Ukraińcami, chcą wtopić się w społeczeństwo.

Każdy przypadek jest inny, ale to też na pewno gra rolę, i to dużą. Wielu ukraińskich emigrantów wiąże swoją przyszłość z Polską do tego stopnia, że chcą się pozbyć ukraińskości. Są różne doświadczenia, odmienne plany na życie.

Zdarza się jednak, że ludzie wstydzą się ukraińskości. Słyszałem matkę, która z mocnym wschodnim akcentem wołała w sklepie swoje dziecko po polsku. Czy to wynika z jej cech charakteru, czy z tego, że Polska jest państwem monoetnicznym?

Z tego i tego. Myślę, że państwa monoetniczne będą powoli się rozmywać. Nawet za rządu, który obecnie jest w Polsce. On nie będzie wiecznie. Polska nie pozostanie na zawsze monoetniczna, ale

eprasa.pl b62d9b2f9d

warto zauważyć, że ukrywanie pochodzenia, na które zwraca Pan uwagę, to bardzo ukraińska cecha.

Kiedyś mój wydawca z Barcelony powiedział, że pojawia się tam dużo ludzi, którzy mówią po rosyjsku, ale on nie wie, jak poznać, czy ci ludzie są z Rosji czy z Ukrainy. Odpowiedziałem mu, że jeśli ich słyszy, to są z Rosji, bo Ukraińcy mówią w taki sposób, żeby ich nie było słychać. Między sobą rozmawiają, ale na zewnątrz boją się pokazać, że są obcokrajowcami. Oczywiście przesadziłem, ale można to uznać za pewną metaforę. Chodzi o coś znacznie głębszego – jeszcze pięćdziesiąt lat temu Ukraińcy ze wsi, których językiem ojczystym był ukraiński, wyjeżdżali do miast w poszukiwaniu lepszego życia i pensji. Po takiej przeprowadzce, przede wszystkim do wielkich, przemysłowych miast wschodu, w ciągu kilku miesięcy zaczynali rozumieć, że muszą mówić po rosyjsku, ponieważ wtedy tamtejsi ludzie będą się do nich zupełnie inaczej odnosić. Zatem jeśli chcą już na zawsze mieszkać w miastach i zapewnić przyszłość swoim dzieciom, to muszą zapomnieć o wsi albo choć udawać, że o niej zapomnieli. Ich i tak rozpoznawano, nawet utarło się takie powiedzenie, znane także w Polsce: „ze wsi można wyjechać, ale wieś z człowieka nie wyjedzie". Wielu z nich starało się wszelkimi sposobami nauczyć języka rosyjskiego, a w obecności dzieci już mówili wyłącznie po rosyjsku, żeby „nie kaleczyć ich przyszłości". Teraz taką sytuację widać poza Ukrainą, na przykład w Polsce, emigranci chcą zrzucić z siebie ukraińską przeszłość i zdobywać nową.

Czyli tu chodzi o niższe poczucie wartości?

Tak, ale też o konformizm i mimikrę, próbę wpisania się w tę nową sytuację i upodobnienie się do innych. Na emigracji widać nowe odcienie „zrzucania" ukraińskości.

Na Ukrainie jednak można odnieść wrażenie, że ukraińskość jest modna – stroje, rzemiosło, muzyka...

Kupienie wyszywanki nie zajmuje dużo czasu, ale to, żeby bez kompleksów swobodnie mówić po ukraińsku, wymaga nakładów pracy, tego się nie dostanie za pieniądze. Ubranie można kupić i włożyć, to prosty patriotyczny gest. Gorzej sprawa wygląda, kiedy trzeba codziennie mówić po ukraińsku. Widać ogólną pozytywną tendencję, badania socjologiczne wskazują, że coraz więcej Ukraińców mówi po ukraińsku na co dzień i uważa go za język ojczysty. Ja to jednak widzę w sondażach, a nie w codziennej praktyce językowej, a przecież mieszkam w zachodniej części Ukrainy, która uchodzi za ukraińskojęzyczną. Dlatego twierdzę, że przed nami jeszcze bardzo długa droga…

Jurij Andruchowycz jest poetą, prozaikiem, eseistą i tłumaczem z języka polskiego, rosyjskiego i niemieckiego (przełożył między in-

eprasa.pl b62d9b2f9d

nymi utwory Brunona Schulza, Osipa Mandelsztama czy Roberta Walsera). Założyciel grupy poetyckiej Bu-Ba-Bu. W Polsce ukazało się kilka jego powieści, w tym *Moscoviada* (przeł. Przemysław Tomanek, 2000), *Tajemnica* (przeł. Michał Petryk, 2008), *Leksykon miast intymnych* (przeł. Katarzyna Kotyńska, 2014), *Kochankowie Justycji* (przeł. Katarzyna Kotyńska, 2019). Współpracuje z polskimi muzykami z grupy Karbido oraz Mikołajem Trzaską, Wojtkiem Mazolewskim i Maciem Morettim. Mieszka w Iwano-Frankiwsku.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Ormiańskie pnącza w Turcji

Miłosz Szymański

Większość Ormian zginęła lub uciekła za granicę w 1915 roku. Szacuje się jednak, że około dwustu tysięcy z ponad dwóch milionów przeżyło. Były to głównie dziewczynki i kobiety, oszczędzone przez otomańskie wojsko. Wiele z nich przygarnęli kurdyjscy lub tureccy sąsiedzi. Uległy islamizacji, a później skrzętnie ukrywały swoje pochodzenie.

Milenialsom słuchającym muzyki rockowej listopad 2020 roku przyniósł przełomowe wieści. Po piętnastu latach zawieszenia działalności System of a Down wydał nowy singiel. Nie wiadomo jeszcze, czy wydawnictwo zatytułowane *Protect the Land/Genocidal Humanoidz* to tylko odpowiedź zespołu (złożonego w całości z Ormian) na wojnę Armenii z Azerbejdżanem o Górski Karabach czy zapowiedź wyczekiwanego przez fanów albumu.

Z czterech członków kapeli tylko basista Shavo Odadjian urodził się w Armenii, jednak wszyscy są bardzo zaangażowani w sprawy tego kraju. Lobbują także za tym, by jak najwięcej państw uznało oficjalnie rzeź Ormian z 1915 roku za zbrodnię ludobójstwa. Rzeź pozostaje jednym z najważniejszych wydarzeń w historii tego narodu. Po pierwsze dlatego, że życie straciła wtedy co najmniej połowa Ormian z Imperium Osmańskiego. Po drugie, wywołało ono gigantyczną falę emigracji, która doprowadziła do tego, że dziś Ormianie obecni są w niemal każdym kraju świata. W diasporze żyje ich dziś dwa razy więcej niż w Armenii.

Kto wygrał w Karabachu?

Diaspora wspiera wysiłki kraju w utrzymaniu Karabachu, czy też po ormiańsku Arcachu. System of a Down na przykład utworzył zbiórkę na pomoc uchodźcom z terenów oddanych Azerbejdżanowi i odbudowę zniszczonych domów znajdujących się na terytorium, które póki co pozostaje przy Armenii. Azerbejdżan zdołał wygrać tę wojnę między innymi dzięki silnemu wsparciu Turcji, która zaopatruje go w nowoczesną broń (na przykład drony). Sami Turcy spontanicznie wywieszali flagi Azerbejdżanu – w sklepach z pamiątkami momentalnie pojawiły się naszywki

eprasa.pl b62d9b2f9d

z azerską flagą, kubki i czapki. Na budynku urzędu stambulskiej dzielnicy Beyoğlu, w której znajduje się główna ulica handlowa İstiklal i najważniejszy w kraju plac Taksim, a także rodzinny dom prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana, spora część fasady została zasłonięta azerbejdżańską flagą, która wisi obok tureckiej. 10 listopada przez centrum Stambułu przejechał konwój samochodów obwieszonych azerskimi i tureckimi flagami. Inni kierowcy pozdrawiali go klaksonami, a przechodnie oklaskami.

Nie wszyscy obywatele Turcji wiwatowali. Nieliczni przedstawiciele lewicy w Turcji wspominali, że wojna to nie najlepszy sposób na rozwiązywanie konfliktów z sąsiadem. Niewielu intelektualistów zauważyło, że zaangażowanie Turcji w ten konflikt może niepotrzebnie sprowokować Rosję. Nikogo jednak ta wojna nie zasmuciła bardziej niż tureckich Ormian. Szczególnie tych żyjących tu od zawsze, obywateli Republiki Tureckiej, którzy są potomkami ocaleńców z 1915 roku.

Turecki liberał

Nie ma ich wielu i się nie wychylają. Wyrażają swoje zdanie między innymi w trzech ormiańskich gazetach. Jedna z nich – „Jamanak" – to najstarsze ukazujące się armeńskojęzyczne pismo na świecie. Skierowałem się jednak do redakcji „Agos", która podobnie jak większość miejscowych Ormian jest tureckojęzyczna. Założył ją w 1996 roku Hrant Dink, jeden z najbardziej znanych Ormian w Turcji. „Agos" znaczy po ormiańsku kanał irygacyjny – w założeniu gazeta miała przynieść życiodajną wodę w postaci zaprezentowania Turkom punktu widzenia Ormian i zaproszenia ich do debaty. Dink dużo pisał na temat konfliktu o Karabach i o stosunkach turecko-ormiańskich z perspektywy obywatela Turcji, któremu zależy na dobrych stosunkach z sąsiadem, i Ormianina, któremu bliski jest los krewniaków w Armenii. Liczył, że dzięki tej pracy Turcy lepiej zrozumieją, na czym polega bycie Ormianinem w Turcji wiek po ludobójstwie. Jego praca nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, bo 19 stycznia 2007 roku Dink został zastrzelony w drodze do redakcji przez tureckiego nacjonalistę. Na jego pogrzeb przyszło jednak ponad sto tysięcy ludzi, którzy skandowali hasło „wszyscy jesteśmy Ormianami".

Nic więc dziwnego, że okna redakcji są zakratowane, a wejścia pilnuje strażnik. Pracujący tam zespół redakcyjny składa się z Ormian oraz dwóch Turków. Jednym z nich jest Altuğ Yılmaz, który należy do „ginącego gatunku" tureckich liberałów.

– Liczbę Ormian w Turcji trudno jednoznacznie określić. Mamy około sześćdziesięciu tysięcy członków Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, dziesięć–dwadzieścia tysięcy imigrantów zarobkowych i od kilkuset tysięcy do nawet dwóch milionów ukrytych Ormian, czyli tych, którzy nie wiedzą o swoich ormiańskich korzeniach. Pierwszych trudno policzyć, bo wielu przebywa w Turcji nielegalnie. Liczbę drugich

eprasa.pl b62d9b2f9d

znamy na podstawie danych Patriarchy Stambułu, a liczbę tych ostatnich można jedynie oszacować, bo wielu z nich nie zdaje sobie sprawy z ormiańskich korzeni. Nasi Ormianie są grupą heterogeniczną nie tylko z uwagi na pochodzenie, ale także na poglądy. W parlamencie na sześciuset deputowanych jest troje Ormian z trzech różnych partii. Większość Ormian mówi tylko po turecku, jednak są tacy, którzy używają ormiańskiego na co dzień, a tureckiego tylko poza domem. Nawet w naszej redakcji nie wszyscy znają ormiański, dlatego komunikujemy się po turecku.

Ormianka z nazwiska

Inga Sarkisjan mieszka w Bomonti, która obok sąsiedniej Kurtuluş jest skupiskiem stambulskich Ormian. Obie dzielnice mają wielkomiejski charakter – siedmiopiętrowe kamienice ciasno upchane wzdłuż jednokierunkowych ulic tworzących regularną siatkę, po których przemykają żółte taksówki. Można by nawet odnieść wrażenie, że to Nowy Jork, więc idealne miejsce, by nie rzucać się w oczy, pozostać anonimową. Inga jednak nie kryje, że jest Ormianką, zresztą nie musi, bo zdradza ją nazwisko. Wszyscy sąsiedzi, jakich ma, to Turcy i nikt jej nigdy nie dał odczuć, że jest gorsza. Podobne szczęście do sąsiadów mieli jej pradziadkowie, którzy mieszkali we wsi pod miastem Batman, a w 1915 roku ukrywali się w domu kurdyjskich sąsiadów. Inga urodziła się w Stambule, bo jej rodzice, podobnie jak Kurdowie, przyjechali tam w latach sześćdziesiątych jako jedni z pierwszych imigrantów ze wschodniej Anatolii. Ojciec Ingi był wielkim fanem piłki nożnej i od dziecka zabierał ją na mecze swojego ulubionego klubu Beşiktaş. Teraz ona chodzi na rozgrywki ze swoimi dziećmi.

Republika Armenii nie jest ojczyzną tureckich Ormian – większość z nich nawet w niej nie była. Ich ojczyzną jest Anatolia, na której ich przodkowie żyli, od kiedy funkcjonuje pisana historia dziejów.

– Kiedy Turcja gra z Armenią, to mimo wszystko kibicuję Armenii. Wiem jednak, że wygra Turcja. Najbardziej kibicowałam w 2008 roku, gdy prezydent Serż Sarkisjan zaprosił ministra spraw zagranicznych Abdullaha Gula na wspólne oglądanie meczu w Erywaniu. Oczywiście Turcy wygrali wtedy 2 : 0.

Inga zna ormiański, bo w tym języku rozmawiała z rodzicami. Wyszła za Ormianina i dzięki temu może posługiwać się tym językiem w domu i uczyć go dzieci. Posłała je do ormiańskiej szkoły, których w Stambule znajduje się obecnie siedemnaście.

– Chcę, żeby moje dzieci były świadome swojego pochodzenia. Ormianie mieszkają w Anatolii od czterech tysięcy lat, czyli trzy tysiące lat dłużej niż Turcy. To nasza ziemia. Oczywiście teraz to Turcja i turecka ziemia. Karabach to także nasza

eprasa.pl b62d9b2f9d

ziemia. Jestem obywatelką Turcji i bardzo mnie boli, że mój kraj walczy przeciwko Armenii. Martwię się o Ormian z Karabachu. Nie mam tam żadnych krewnych ani znajomych, ale po prostu czuję solidarność i chciałabym, żeby ta wojna już się skończyła, żeby przestali w niej ginąć ludzie.

„Czarna" z Kaukazu

Znacznie gorętsze emocje pokazuje Anahit, która nie chce podać nazwiska ani pokazać twarzy, bo przebywa w Turcji nielegalnie od wybuchu pandemii. Zdradziła tylko, że pochodzi z Erywania.

– To zbrodnia, co robią w Karabachu! Chcą zabrać naszą ziemię, zabijają nasze dzieci. Boję się. Moi pracodawcy wiedzą, że pochodzę z Armenii, ale to dobrzy ludzie, nie robią mi przykrości. Zdają sobie sprawę, że chodzi wyłącznie o politykę. Na ulicy jednak nie obnoszę się z moim pochodzeniem. Pomaga mi to, że nie da się odróżnić Turka od Ormianina, dlatego dopóki się nie odezwę, nikt nie wie, skąd jestem. Kiedy już coś powiem, to słyszą obcy akcent, ale to ode mnie zależy, czy się przyznam, czy nie. Mimo wszystko tu jest lepiej niż w Moskwie. Zarabiałam tam znacznie lepiej, ale koszty utrzymania były wyższe. I Rosjanie od razu wiedzieli, że jestem z Kaukazu. Im jest wszystko jedno: Gruzin, Czeczen czy Ormianin. Dla nich jesteśmy po prostu „czarni" z Kaukazu. Podoba mi się Stambuł, ale wolałabym żyć u siebie, w Armenii jednak nie ma pracy.

Anahit przyjechała do Stambułu, bo od kilku lat mieszka tu jej kuzynka. Ona też się bała, ale z czasem się zadomowiła. Kuzynka Anahit przebywa jednak w Stambule legalnie, bo dostała wizę studencką jako obywatelka Rosji. Anahit z kolei przyjechała do miasta na zwykłej miesięcznej wizie turystycznej. Później musiała wyjechać z Turcji i wrócić z nową wizą. Dostała tydzień wolnego, kupiła dwie wielkie torby ubrań i wsiadła w autobus do Erywania. Dwa dni w jedną stronę, dwa dni w drugą. Jej matka wzięła ubrania i sprzedawała je na bazarze. Odbyła jeszcze dwie takie podróże. Miała dużo szczęścia do pracodawców, że pozwalali jej na tydzień wolnego co miesiąc.

– To bogate starsze małżeństwo. Mają ładne mieszkanie z trzema sypialniami, dorosłe dzieci, które już dawno się wyprowadziły. Nie ma tam dużo roboty, ale w Turcji pokojówka jest wyznacznikiem statusu, a poza tym stać ich na to, żeby dać mi dwa tysiące lir (tysiąc złotych, oficjalnie minimalna pensja w Turcji wynosi dwa tysiące trzysta dwadzieścia lir). Mówię nieźle po turecku i często z nimi rozmawiam. Lubią mnie, dlatego nie robili mi problemów z wyjazdami do Erywania. Umówiliśmy się tak, że oni będą mi płacić także wtedy, kiedy mnie nie będzie w pracy, pod warunkiem że na własny koszt znajdę zastępstwo.

eprasa.pl b62d9b2f9d



Miłosz Szymański

Hagia Sophia, czyli świątynia Mądrości Bożej. Gdzie, jeśli nie tu, w Stambule najpełniej czuje się krzyżujący się Wschód i Zachód, islam i chrześcijaństwo?

eprasa.pl b62d9b2f9d



Miłosz Szymański



Dziś dużo mówi się o projekcie Nowej Turcji, czyli głębokiej transformacji kraju. Ale z każdego zakątka Stambułu przemawia do nas historia. Również ta związana z mniejszością ormiańską, która żyje tu do dziś.



Miłosz Szymański

eprasa.pl b62e9b2f9d



Ormanie zamieszkujący Turcję są potomkami ludzi ocalałych z ludobójstwa 1915 roku. Udało im się ocalić życie dzięki ludzkiemu dobru, przypadkowi. Ich historie są barwne i różnorodne.



Miłosz Szymański



I choć w dzisiejszej Turcji zamieszkuje ich niewielu, to na stałe zżyli się z krajem. Czują, że w Turcji są u siebie.



Miłosz Szymański

Na pierwszy rzut oka w Stambule rządzi komercja. Ale bardziej wnikliwy turysta może zachcieć odkryć inne twarze miasta. Może właśnie tę – ormiańską...

eprasa.pl 06289n2i9d

W Armenii pierwszy przypadek COVID-19 stwierdzono 1 marca 2020 roku, a dwa tygodnie później premier Nikol Paszinjan podjął decyzję o zamknięciu granic z Gruzją i Iranem. Tureckiej i azerskiej zamykać nie musiał, bo te zamknięte są już od prawie trzydziestu lat. Anahit stanęła przed trudną decyzją: albo wracać i utknąć w Armenii, albo zostać nielegalnie i liczyć się z tym, że po deportacji nie będzie mogła wrócić do Stambułu.

– Postanowiłam zostać. Jeśli mnie deportują, to trudno. Do tego czasu będę odkładać pieniądze, może wyemigruję gdzieś indziej. Mam dobrą pracę i nie chcę jej stracić. Dość się nasłuchałam od koleżanek, którym gospodarze nie płacili za sprzątanie, ktoś się do nich dostawiał albo pracowały u miejscowych Ormian, którzy traktowali je jak dzikuski ze wschodu.

Ukrywać pochodzenie

Tureccy Ormianie różnią się od tych z Armenii. Przede wszystkim czują, że w Turcji są u siebie. W przededniu I wojny światowej Ormianie stanowili kilkanaście procent mieszkańców Stambułu, wtedy jeszcze Konstantynopola. Nie mają doświadczenia życia w Związku Radzieckim, mogli się kształcić i bogacić jak inni obywatele Turcji. Mówią też innym dialektem języka ormiańskiego. Republika Armenii nie jest ich ojczyzną – większość z nich nawet w niej nie była. Ich ojczyzną jest Anatolia, na której ich przodkowie żyli, od kiedy funkcjonuje pisana historia dziejów. Miażdżąca większość z nich zginęła lub uciekła za granicę w 1915 roku. Szacuje się jednak, że około dwustu tysięcy z ponad dwóch milionów przeżyło. Były to głównie dziewczynki i kobiety, oszczędzone przez otomańskie wojsko. Większość z nich została przygarnięta przez kurdyjskich lub tureckich sąsiadów i uległa islamizacji. Ukrywały potem pochodzenie i wychowywały swoje dzieci na Kurdów lub Turków, bojąc się, że ludobójstwo się powtórzy. Robiły to tak skutecznie, że bardzo często ich wnuki nie miały pojęcia o swoim pochodzeniu. Jedna z nich to Fethiye Çetin, prawniczka i działaczka praw człowieka, której babcia na łożu śmierci wyznała, że nie jest Turczynką. To zainspirowało ją do napisania książki *Moja babcia*, która stała się kamyczkiem poruszającym lawinę. Kolejne osoby odkrywały, że plotki krążące wokół ich dziadków czy nawet pradziadków są prawdą. W ciągu kilkunastu ostatnich lat tysiące Turków doszukały się ormiańskiej babci, jednak ich rzeczywista liczba nadal pozostaje nieznana.

Ormiańska „harfa"

Są jeszcze tacy Ormianie jak Arpi. Jej imię jest typowo ormiańskie, ale po turecku znaczy „harfa", więc nie brzmi obco. Arpi to turecka patriotka. Z jej balkonu powie-

eprasa.pl b62d9b2f9d

wa turecka flaga, a w samochodzie spod wstecznego lusterka poważnie spogląda na nas Mustafa Kemal Atatürk.

– Turcja to wspaniały kraj. Mamy tu wszystko: góry, lasy i morze. Turecka kuchnia jest najlepsza na świecie, a pogoda wspaniała. Dobrze mi się tu żyje. Ormianie często mówią, że tęsknią do Wielkiej Armenii sprzed tysiąca lat. Śmieszy mnie to, bo to stare dzieje. Poza tym przez większość swojej historii Ormianie nie mieli państwa. Żyliśmy w Persji, Gruzji, Bizancjum, Rosji czy Turcji. Nie wiem, jaka naprawdę była tamta średniowieczna Armenia ani tym bardziej ta starożytna. Nie wiem, jakim władcą był Haik ani Tigran, ale wiem, jak Armenia wygląda dzisiaj, i wiem, jakim władcą był Sarkisjan czy Paszinjan. Dziś Armenia jest słaba, ma niewielu przyjaciół i żyje się w niej ciężko. Ormianie przyjeżdżają tutaj za chlebem.

Tureccy Ormianie różnią się od tych z Armenii. Przede wszystkim czują, że w Turcji są u siebie.

Jedziemy przez wiecznie zakorkowany Stambuł. Mijamy most Galata, na którym stoją setki wędkarzy, skręcamy w lewo i aleją Kennedy'ego objeżdżamy historyczny Konstantynopol, dziś noszący nazwę Fatih, czyli Zdobywca, na cześć sułtana Mehmeda II Zdobywcy. Docieramy do dzielnicy Kumkapı, którą kiedyś zamieszkiwali przede wszystkim Ormianie, a dziś królują tu Uzbecy, Afgańczycy, Bengalczycy, Libańczycy i wielu innych. Tam właśnie trzeba przejść główną handlową ulicą Molla Taşı, minąć parking i skręcić w niepozorną uliczkę. Na niej od wybuchu walk o Górski Karabach ciągle stoi autobus pełen policjantów, którzy pilnują siedziby patriarchy Konstantynopola.

– Tutaj rezyduje nasz duchowy przewodnik. Gdyby nie religia, to nie różnilibyśmy się od Turków. Żyjemy na tej samej ziemi, mamy bardzo podobną kuchnię. Ormianie w osmańskiej Turcji robili wielką karierę w biznesie, do czasu oczywiście. Teraz znowu możemy w miarę normalnie żyć. Widzisz? Turcy nawet postawili tu policjantów, żeby chronili naszego patriarchę. Myślę, że my, Ormianie, jesteśmy po prostu jak pnącza: potrzebujemy pnia, który możemy opleść.

Miłosz Szymański z wykształcenia jest prawnikiem i inżynierem, z zawodu mechanikiem okrętowym i reporterem. Obecnie tworzy podcast *Za rubieżą. Historia i polityka*.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Kabul wchodzi na wybieg

Katarzyna Rodacka

Choć w czołówce miast wskazujących kierunek rozwoju najnowszych trendów w modzie nie ma Kabulu, to Afganistan także powoli tworzy własny rynek modelingu. I mimo że towarzyszy temu spora doza krytyki ze strony społeczeństwa, to osoby pracujące w branży modowej widzą w tym ożywieniu kroki w stronę działań na rzecz pokoju.

Hamed Valy ma dużo wiary w siebie, mocny charakter i kocha swoją pracę. Moda to dla niego przede wszystkim świadomość estetyki, możliwość wyrażenia siebie, lepszego poznania własnej osobowości. To także element stylu życia każdego człowieka, niezależnie od miejsca, w którym mieszka. Półtora roku temu założył w Kabulu agencję modeli i modelek Modelistan.

– Afgańczycy też mają prawo do tego, by móc rozwijać się w modelingu. Wcześniej, przez ostatnie trzy dekady rozgrywała się tu wojna, eksplodowały bomby. W tym samym czasie ludzie zaczęli poszukiwać różnych możliwości studiowania za granicą. Chcieli w ten sposób zdobyć wiedzę, a potem wrócić z nią do kraju i pomóc przy odbudowie Afganistanu. Ja też tak zrobiłem. Studiowałem inżynierię w Indiach. Oprócz studiów pracowałem w agencji mody, stworzyłem swoje profesjonalne portfolio, współpracowałem z dobrymi markami. W 2016 roku skończyłem studia i zacząłem pracować jako choreograf modowy – wyjaśnia Hamed.

W jego agencji pracuje Dżalil. Ma dwadzieścia trzy lata, jest pewny siebie, modeling to dla niego zarówno praca, jak i pasja. Modą bowiem interesuje się od dziecka. Od zawsze lubił kreować własny styl, fascynowało go także tworzenie ubrań – zwłaszcza takich, których nie dało się znaleźć w sklepie czy na bazarze. Moda to dla niego nie tylko ubrania, ale kreowanie własnej osobowości. Własny styl daje możliwość wyróżnienia się w tłumie. Dla Modelistanu jako modelka pracuje także Dina. W modelingu działa od roku, jednak jej zainteresowanie modą najpierw zaowocowało stworzeniem własnej marki odzieżowej. W swoich projektach łączy typowe tradycyjne wzory afgańskie z zachodnim designem i stylem. Jak twierdzi – to właśnie od pomysłu połączenia tych dwóch stylów zaczęła się jej niegasnąca miłość do mody.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Moda dla pokoju

Neelab Azamzada, założycielka jednej z afgańskich agencji modelek, uważa, że modeling i branża modowa w Afganistanie mogą stać się symbolem pokoju. W rozmowie z TOLOnews, jednym z głównych mediów afgańskich, mówi, że w jej agencji pracują ludzie z różnych grup etnicznych, ale nie jest to powodem żadnych konfliktów. Wszystkim zależy na tolerancji. Jest przekonana, że wspólna praca nad prezentacją kolekcji ubrań sprzyja promocji solidarności. A to jest szczególnie potrzebne w kraju, w którym wszyscy są już zmęczeni toczącą się od dekad wojną.

W niewielkim świecie afgańskiego modelingu jedne z pierwszych skrzypiec gra Ajmal Haqiqi. Organizuje on w Afganistanie publiczne pokazy mody. W 2018 roku w parku w mieście Balch na wybiegu pojawili się modele i modelki, a wydarzenie miało na celu pokazać, że samobójcze zamachy, talibowie i ISIS to nie jedyny obraz Afganistanu. W styczniu 2020 roku Haqiqi zorganizował kolejny publiczny pokaz mody, tym razem w Kabulu. Wybieg ustawiono na jednej z ulic – kolejno przechodziło po nim trzydziestu modeli, w tym pięć kobiet. Wszyscy prezentowali ubrania z różnych części Afganistanu. Haqiqi uważa, że jego działanie to przede wszystkim praca na rzecz afgańskiej kultury.

Kiedy Hamed wrócił z Indii i postanowił otworzyć agencję modeli, najpierw przeprowadził półtoraroczne badanie rynku afgańskiego pod kątem branży modowej. Okazało się, że na miejscu jest już całkiem sporo osób, które pracowały jako modele i modelki. Nikt z nich jednak nigdy nie przeszedł żadnego profesjonalnego szkolenia w tym zakresie. To właśnie Modelistan miał stać się miejscem, które skupi wszystkich zainteresowanych branżą modelingu. Kiedy 14 lutego 2020 roku Afganistan po raz pierwszy świętował walentynki, Modelistan zorganizował wybory Miss Valentine.

Organizatorzy wynajęli pięciogwiazdkowy hotel, zbudowali wybieg, zajęli się promocją, zaprosili publikę i media. Na miejscu pracowali też charakteryzatorzy, swoje kolekcje pokazali projektanci afgańscy, bo – jak podkreśla Hamed – jako agencja modeli zależy im na łączeniu ludzi z branży modowej.

– Było niesamowicie! Pokaz trwał cztery godziny. W tym czasie nikt, dosłownie nikt nie wyszedł! To był pokaz mody, ale nie prezentowaliśmy tradycyjnych strojów. Na wybiegu nie było kobiet w chustach. Ludzie byli świetnie przygotowani, wyglądali pięknie – opowiada Hamed.

Modeling ponad podziałami

Pod koniec grudnia 2020 roku Modelistan zorganizował kolejne wybory miss i mistera. Na wybiegu pojawiło się sześćdziesięciu modeli, w tym piętnaście kobiet.

eprasa.pl b62d9b2f9d

– Ludzie w Afganistanie byli przekonani, że ze względu na restrykcje religijne panujące w naszym kraju nie można organizować tego typu wydarzeń. A my się odważyliśmy – dodaje Hamed.

Po pokazie do agencji zgłosiło się sześćdziesiąt osób, które chcą się szkolić w tym kierunku. Przez ostatni nieco ponad rok w Modelistanie przeszkolono około stu siedemdziesięciu osób. Aspirującym do pracy na wybiegu pomagają stworzyć portfolio, a następnie starają się ich wprowadzić na lokalny oraz globalny rynek mody i reklamy. Organizują także wydarzenia związane z branżą modową.

Modele i modelki związani z agencją Modelistan to głównie młodzi ludzie. Wszyscy lubią dobrze wyglądać, pochodzą z rodzin tradycyjnych. Z różnych miejsc i środowisk. Nikt jednak nikogo nie pyta, skąd jest, jakim językiem mówi, jaka jest jego religia.

– Nasze środowisko naprawdę jest przyjazne dla różnorodności. Ludzie sobie pomagają. Nasza agencja jest otwarta dla wszystkich. To trochę nowość tutaj w Afganistanie, gdzie, żeby cokolwiek załatwić czy dostać pracę, musisz mieć znajomości. Jeśli kogoś znasz, droga wolna, jeśli nie – ciężko jest cokolwiek zrobić – wyjaśnia Hamed.

Afganistan pozostaje bardzo zróżnicowany w kwestii zasad dotyczących ubioru. W Kabulu i Heracie jest zupełnie inaczej niż na prowincji. W stolicy kobiety mają swoje firmy, dostają wsparcie społeczne, by podejmować pracę, mogą ubierać się swobodniej.

Afganistan pozostaje zróżnicowany w kwestii zasad dotyczących ubioru. W Kabulu i Heracie jest zupełnie inaczej niż na prowincji. W stolicy kobiety mają swoje firmy, dostają wsparcie społeczne, by podejmować pracę, mogą ubierać się swobodniej. W pozostałych częściach kraju obowiązuje o wiele więcej restrykcji, w tym właśnie tych dotyczących ubioru – kobiety w wielu miejscach muszą nosić hidżab lub burkę.

– Mimo że w Kabulu jest o wiele luźniej, to trudno było nam zachęcić kobiety do udziału w naszych wydarzeniach w roli modelek – wyjaśnia Hamed. – Kobieta, która idzie po wybiegu, eksponując swoje ciało, według niektórych osób albo nie ma rodziny – bo ta na pewno by jej na to nie pozwoliła – albo nie wierzy w Boga. Dla niektórych równanie jest proste: modelka to prostytutka. Działając w branży modelingu, chcemy pokazać ludziom inną perspektywę w tej kwestii – dodaje.

Także dla Diny moda to sposób na wprowadzenie czegoś swojego do afgańskiego społeczeństwa.

– Poddaję ludziom pomysł, że mogą w pewien nowy sposób spojrzeć na siebie samych. Afganistan to, jak wiesz, kraj z wieloma wewnętrznymi konfliktami. Ludzie nie mają zbyt wielu okazji, żeby wyjść na zewnątrz, wciąż można zobaczyć na

eprasa.pl b62d9b2f9d

ulicy kobiety w burkach. Tylko Kabul jest nieco bardziej nowoczesny, tutaj ludzie bardziej zwracają uwagę na to, co noszą. Chcę pokazać Afgańczykom, że można się ubrać ciekawie. Że nawet w tak restrykcyjnym kraju człowiek może mieć własny styl, określać siebie przez ubiór. Dlatego uwielbiam projektować. Dzięki modelingowi natomiast mogę te ubrania zaprezentować światu – wyjaśnia Dina.

Fala krytyki

Dżalil od trzech tygodni nie opuszcza domu. Na wszelki wypadek. Czasem sytuacja w Afganistanie jest nieco bardziej napięta. Wygląda charakterystycznie, więc często przyciąga spojrzenia przechodniów. Niekoniecznie przyjazne. Rodzina poprosiła go, żeby lepiej przez jakiś czas nie wychodził z domu. Jak długo to potrwa?

– Nie wiem, może miesiąc? Czasem pod obserwacją są na przykład dziennikarze, rzadko się zdarza, żeby modele albo artyści musieli się czegoś personalnie obawiać – mówi. Mimo dodatkowych niebezpieczeństw, które niesie za sobą modeling, Dżalil ma pełne wsparcie ze strony swojej rodziny.

Podkreśla też, że Afgańczycy lubią modę, mają swój styl, ale jednocześnie sam modeling nie jest zbyt popularny.

– Nasze społeczeństwo boryka się z wieloma problemami. Doświadczyliśmy tego wielokrotnie. Chcąc zorganizować jakieś wydarzenia związane z modelingiem, często natrafialiśmy na przeszkody – wyjaśnia Dżalil.

Hamedowi grożono wiele razy. Grozili mu politycy, różni wpływowi ludzie, talibowie. Ale ze względu na postawione cele nie może przerwać swojej pracy.

– Kocham to, co robię. Jestem szczęśliwy, mimo że moja praca bywa trudna i niebezpieczna – w jego głosie nie ma żadnych wątpliwości.

Oprócz gróźb spotyka się także z ogromną falą krytyki. Zwłaszcza, kiedy organizowali wybory miss i mistera, musieli zmierzyć się z negatywnymi opiniami.

– Niektórzy myśleli, że nasza agencja pochodzi z zagranicy i że to jakaś firma, która chce zrobić ludziom pranie mózgu. Myśleli, że chcemy do Afganistanu sprowadzić jakąś obcą kulturę. Ale nasza działalność nie ma z czymś takim nic wspólnego! Chcemy po prostu do Afganistanu wprowadzić modeling i go ustandaryzować. Ludzie jednak wystawiają nam w internecie mnóstwo negatywnych opinii – dostaliśmy ich multum po wyborach miss i mistera. Na cztery tysiące komentarzy ponad trzy i pół tysiąca było negatywnych. To bardzo frustrujące – mówi Hamed.

Dina wyjaśnia natomiast, że jako modelka spotkała się z krytyką zarówno ze strony rodziny, jak i społeczeństwa. Rodzice wspierają jej zainteresowania i ścieżkę zawodową, ale dalsi krewni już niekoniecznie. Słychać to czasem podczas rodzinnych spotkań.

eprasa.pl b62d9b2f9d

– Większość komentarzy, które słyszę, dotyczą mojego stylu ubierania się oraz faktu, że jestem modelką. Rodzina wciąż wytyka mi, że takie zachowanie nie jest zgodne z religijnymi zasadami islamu. Moi rodzice ufają mi. Widzą też efekty mojej pracy: pracuję jako modelka przy reklamach, a także jako prezenterka w telewizji internetowej – wyjaśnia. – Ale muszę mieć do tego dystans, bo inaczej nie mogłabym wykonywać swojej pracy – dodaje.

W Afganistanie możliwość konsekwentnego podążania własną ścieżką nie zależy jednak jedynie od uporu, odwagi czy wsparcia rodziny. Do gry wchodzą więksi gracze.

Według projektantki i modelki głównym problemem w Afganistanie jest to, że młodzi ludzie chcą zajmować się modelingiem, jednak trudno im wyjść poza własne sesje zdjęciowe publikowane w mediach społecznościowych, ponieważ ich rodzina jest przeciwna modelingowi.

– Naprawdę niewiele osób może liczyć na wsparcie rodziny w tej kwestii – mówi Dina. – Myślę jednak, że mniejszy problem z tym mają mężczyźni. Powiedziałabym, że brak wsparcia ze strony rodziny odczuwa 20 procent, może 30 procent modeli – dodaje.

Przyszłość w jasnych barwach

Mimo krytyki, ostracyzmu i gróźb Hamed na przyszłość przemysłu modowego w Afganistanie patrzy optymistycznie.

– Jestem niesamowicie podekscytowany. Ktoś musi się zająć tą branżą w Afganistanie. Dlaczego nie ja? – mówi.

Mimo tak znacznej ilości negatywnych komentarzy widzi także korzystne rezultaty swojej pracy. Organizuje pokazy w Kabulu, ale dostaje pozytywne wiadomości od osób z całego Afganistanu, nawet z rejonów kontrolowanych przez talibów.

– Te osoby nie mogą wyjeżdżać poza swoje miasto. Ale nawet w takich miejscach ludzie potajemnie interesują się naszą działalnością. Myślę, że to, co robimy, naprawdę inspiruje młodych ludzi w całym kraju. Pokazujemy, że inny, nowy Afganistan może istnieć. Myślę, że któregoś dnia pojedziemy do tych mniejszych miejscowości oddalonych od stolicy, ale na razie nie jesteśmy jeszcze na to gotowi. Wciąż jest wiele pracy do zrobienia w Kabulu. Na pewno kiedyś zorganizujemy pokazy w Heracie, w Bamianie czy w Mazar-i Szarif. Ludzie tutaj chcą mieć dostęp do tego samego, do czego dostęp ma reszta świata. I jeśli jest coś, co możemy dać Afganistanowi, chcemy to zrobić – wyjaśnia Hamed.

W Afganistanie możliwość konsekwentnego podążania własną ścieżką nie zależy jednak jedynie od uporu, odwagi czy wsparcia rodziny. Do gry wchodzą więksi gracze.

eprasa.pl b62d9b2f9d

– Jak wiesz, odbywają się obecnie rozmowy pokojowe. Jeśli rząd afgański ustanowi nowe, restrykcyjne prawa dla kobiet, na przykład zakazujące nam swobodnego przemieszczania się, będę musiała wyjechać. Jeśli nie będzie takiej potrzeby, chciałabym zostać i tutaj rozwijać swoją markę oraz kształcić się w zakresie modelingu – wyjaśnia Dina.

Dżalil rozważa studia magisterskie i doktorat. W 2018 roku obronił licencjat z inżynierii rolniczej. Studia techniczne to dobre zabezpieczenie na przyszłość, jednak to modelingowi chciałby się całkowicie poświęcić. Chciałby pracować nie tylko lokalnie w Afganistanie, ale wejść na poziom międzynarodowy.

– Wiem, że ludzie na świecie postrzegają Afganistan jako trzeci świat. A ja chcę pokazać tym wszystkim ludziom z pierwszego świata, że Afganistan to nie tylko wojna, a Afgańczycy to nie tylko terroryści. Afgańczycy mają energię, żeby robić to, co kochają i podążać swoją ścieżką. Nie ma między nami żadnej różnicy.

Katarzyna Rodacka jest dziennikarką, iranistką. Pisała między innymi dla „Przekroju", „Miesięcznika ZNAK", „Holistic News" i „Magazynu Kontakt". Zainteresowana tematyką postkonfliktową, prawami człowieka oraz częścią świata, która mówi po persku.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Pozagrobowe życie Galicji

Z profesorem Larrym Wolffem, amerykańskim historykiem,
rozmawia Magdalena Moskal

MAGDALENA MOSKAL: Ostatnio w Polsce ukazały się dwie Pańskie książki o Europie Środkowo-Wschodniej w przekładzie Tomasza Bieronia: *Wynalezienie Europy Wschodniej* (1994) oraz *Idea Galicji. Historia i fantazja w kulturze politycznej Habsburgów* (2010). Wydana ponad dekadę temu *Idea Galicji* uchodzi wśród badaczy tematu za książkę kultową. Co w Galicji wydaje się Panu najbardziej interesujące?

LARRY WOLFF: Najbardziej ciekawi mnie sposób, w jaki tworzono i wyrażano ideę Galicji. Interesują mnie tematy, w których tożsamość miejsca jest złożona, nieustalona definitywnie, przyjmuje plastyczne formy, zmienia się i ewoluuje. Galicja była krainą, która nie istniała aż do XVIII wieku. W XIX wieku z kolei rozwijało się jej bogate i złożone życie. Aż na samym początku wieku XX, w 1918 roku Galicja zniknęła. A w czasach, w których dorastałem, Galicja pozostawała jedynie fantomem.

Galicja nie istnieje od ponad stu lat, ale nadal używa się tej nazwy – w różnych kontekstach. Pamiętam wpis jednej z moich koleżanek w mediach społecznościowych. Kiedy ogłaszała ślub, napisała: „ona pochodzi z tak zwanej Galicji, on – warszawiak z dziada pradziada", żeby podkreślić dystans mentalny między narzeczonymi. Czy sądzi Pan, że idea Galicji – emocjonalna i intelektualna – jest nadal żywa? Jeśli tak, to w jaki sposób?

W Polsce obecny i wciąż żywy jest rodzaj historycznej nostalgii za Galicją – o tym może świadczyć wpis Pani koleżanki. Za tym idzie myślenie o świecie, w którym żyli nasi dziadkowie, i pytanie, skąd oni wyprowadziliby swoją tożsamość.

Galicja to określenie regionu Europy. Ale przecież nie pokrywa się z Unią Europejską czy Europą oddzielnych państw. To region, który w przeszłości obejmował tereny części dzisiejszej Polski i Ukrainy. Ta przeszłość jednak wciąż oddziałuje.

Profesor Jacek Purchla w rozmowie z Rafałem Hetmanem na temat *Idei Galicji* stwierdził, że „Galicja oznacza mądrą drogę do niepodległości. To Galicja przygotowała niepodległość 1918 roku – myślę nie tylko o czynie legionowym, nie tylko o naczelniku Piłsudskim, ale też o tym, że tu w Galicji była polska szkoła, uniwersytety, polskie urzędy, tu była

eprasa.pl b62d9b2f9d

Polska! (...) A cała armia galicyjskich urzędników tworzyła podstawy państwa polskiego. Cała zdobycz cywilizacyjna monarchii habsburskiej została przeniesiona za pośrednictwem Galicji do państwa polskiego".

Powiedziałbym, że to użyteczny sposób myślenia o Galicji. W monarchii habsburskiej wyróżniała się swoją pozycją polityczną. Obywatele Galicji mieli prawa wyborcze. Parlament znajdował się w Wiedniu, a miejscowy sejm we Lwowie. Ludzie, którzy pochodzili z Galicji, posiadali dużą polityczną praktykę, doświadczenie w korzystaniu z konstytucji i habsburskich systemów władzy. Sądzę, że to właśnie wnieśli do nowej Polski.

Częścią dziedzictwa Galicji pozostaje także bardzo dobrze rozwinięta tradycja intelektualna. Kraków i Lwów to miasta uniwersyteckie. W przeciwieństwie do mieszkańców innych zaborów, Galicjanie mieli sporo do zaoferowania intelektualnie reszcie Polski. Dziś zakładamy, że wszyscy Polacy spod zaborów powinni z łatwością się zjednoczyć i uformować nowe państwo polskie, a jedną z rzeczy, które często tracimy z oczu, jest fakt, że każdy z nich wnosił co innego do nowego dwudziestowiecznego państwa. Galicja moim zdaniem wniosła wyraźny wkład w nową Polskę.

Choć na początku bez połączenia kolejowego między Krakowem a Warszawą. Czy sądzi Pan, że historia Polski jest warszawocentryczna na tej samej zasadzie, na jakiej jest polityczna, wychwalająca przegrane powstania, a nie społeczna?

Tak, dwudziestowieczna historia Polski jest warszawocentryczna. Warszawa przecież pozostawała stolicą przez cały XX wiek. To wielkie miasto, największe pod względem liczby mieszkańców. To prawda, że Warszawa narzuca władzę nad historyczną narracją, ale da się też zauważyć kontrę. Na przykład ze strony Krakowa, zwłaszcza ze względu na jego bogate życie akademickie. Międzynarodowe Centrum Kultury, które założył wspomniany profesor Jacek Purchla, odegrało przez ostatnie lata ważną rolę w kształtowaniu innej niż warszawocentryczna perspektywy, a za tym rozumienia historii i kultury polskiej.

Zgadzam się z tym, co mówi o Pana książce profesor Jacek Purchla – Amerykanin opowiedział nam historię Galicji. W gruncie rzeczy opowiedział Pan nam naszą historię. Rodzina mojego ojca pochodzi z Żywca – zachodniej Galicji – i tam do dzisiaj żywy jest kult cesarza Franciszka Józefa, zwłaszcza w okolicach zamku i w browarze, który był własnością arcyksięcia Karola Habsburga, bardzo lubianego przez poddanych. Ten kult Habsburgów jest kompletnie nieobecny w Rzeszowie i Przemyślu, a słabo zrozumiały dla rodziny mojej mamy, która pochodzi spod Lwowa – wschodu Galicji.

Ale nawet daleki wschód był związany z monarchią Habsburgów! Kompozy-

eprasa.pl b62d9b2f9d

tor Gustav Mahler mógł dyrygować orkiestrą we Lwowie i nocnym pociągiem wrócić do Wiednia…

Dlatego, że uważał nocowanie we Lwowie za przykrość.

Wrócę na moment do spostrzeżenia Pani i profesora Purchli, że jako Amerykanin opowiedziałem tutejszą historię. Warto zauważyć, że Galicja to źródło światowej migracji. Pozagrobowe życie Galicji trwa w Polsce, Ukrainie, Europie, ale także w Stanach Zjednoczonych, gdzie dotarło wielu emigrantów z tego regionu. Jedną z cech miejsca fantomowego, już nieistniejącego, pozostaje fakt, że jego dziedzictwo można odnaleźć w wielu zakątkach świata. Z tego względu nie widzę nic dziwnego w tym, że jako Amerykanin badam historię Galicji. Powiem więcej: w Stanach Zjednoczonych jest wiele osób zainteresowanych tym regionem. Oczywiście, to zakłada pewien wkład pracy, ponieważ należy zrozumieć tradycje, języki.

Bardzo mi się spodobał cytat, który Pan znalazł u Aleksandra Fredry: „Prawdę też mówiąc, trudno obejść się bez żyda – żyd na papierze, Żyd w przedpokoju, bez Żyda schnie wódka i zboże gnije – zawsze z Żydami" – oraz Pańska konkluzja, że Żydzi zajmowali się w Galicji niepoetycznymi sprawami, na przykład rozwojem kolei i bankami, zresztą podobnie jak Fredro w pewnym momencie życia. W tym kontekście chcę zapytać, czy uważa Pan, że antysemityzm pojawił się w Galicji razem z rosyjskimi żołnierzami w 1915 roku, czy też znalazł po prostu formę ekspresji, która nie była możliwa pod rządami Habsburgów?

Antysemityzm istniał w wielu częściach Europy Środkowej na pewno przed przybyciem żołnierzy rosyjskich w latach 1914–1915 i Galicja nie stanowiła tu wyjątku. Na przykład, w 1898 roku w Galicji miały miejsce zamieszki antyżydowskie. Uważam, że nie należy pielęgnować fałszywej nostalgii o Galicji jako miejscu, w którym wszyscy żyli razem i szczęśliwie. To była prowincja pełna napięć: narodowych i religijnych, nie tylko między Polakami i Żydami, ale także między na przykład Polakami i Ukraińcami. Galicja to wieloreligijne i wielonarodowe miejsce, a one charakteryzują się zdrowymi proporcjami balansu i napięcia w codziennej koegzystencji. Ludzie współżyli mimo napięć. Nigdy jednak nie powinniśmy romantyzować nostalgii wobec przeszłości; antysemityzm był obecny, tak samo jak inne tarcia religijne i społeczne w Galicji.

Ostatnio w Polsce dużo mówi się o Jakubie Szeli; laureatem najważniejszej polskiej nagrody literackiej Nike w 2020 roku został Radek Rak za książkę *Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli*. W związku z tym chcę zapytać o historię Leopolda von Sacher-Masocha i jego spotkania z Szelą. To jeden z kluczowych

eprasa.pl b62d9b2f9d



Archiwum MCK

Galicja to źródło światowej migracji. Pozagrobowe życie Galicji trwa w Polsce, Ukrainie, Europie, ale także w Stanach Zjednoczonych, gdzie dotarło wielu emigrantów z tego regionu. Jedną z cech miejsca fantomowego, już nieistniejącego, pozostaje fakt, że jego dziedzictwo można odnaleźć w wielu zakątkach świata.

motywów Pana książki i może być interesujący nie tylko dla psychoanalizy. Czy to spotkanie było ważne dla austriackiego pisarza? I dla idei Galicji?

Nawet jeśli prawdziwe spotkanie Sacher-Masocha (jego ojciec był szefem policji we Lwowie) z Jakubem Szelą nie trwało długo lub zostało jedynie wyobrażone przez pisarza pod wpływem opowieści ojca, jestem przekonany, że stało się ważne zarówno dla Sacher-Masocha, jak i dla każdego w Galicji. To doświadczenie przeżycia rabacji, czyli „momentu" Szeli w 1846 roku. Jedną z rzeczy, na które na pewno chcę zwrócić uwagę w książce i czemu poświęciłem sporo czasu, jest to, jak to traumatyczne przeżycie ukształtowało całą społeczność i wszystkie kulturowe siły w Galicji. Pisałem o tym w kontekście takich postaci jak Aleksander Fredro. Co to znaczy przeżyć coś takiego: brutalnego, pełnego przemocy i tak nieoczekiwanego jak rabacja chłopska? Rabacja na pewno ukształtowała też Sacher-Masocha, jego myślenie o społeczeństwie i ludzkiej psychice. Zarówno poza polską historiografią, jak i wewnątrz niej rabacja galicyjska przez lata była porzuconym i zaniedbanym momentem historii. Nie wiem, jak mówi się o niej w Pani edukacji, ale mi zależało na przywróceniu tej chwili w całej doniosłości.

To zadziwiające, ale z jednej strony rabacja galicyjska w mojej edukacji była przemilczana, a z drugiej mocno napiętnowana. Nigdy nie rozmawialiśmy o niej szerzej. A na przykład podczas lektury *Ludowej historii Polski* Adama Leszczyńskiego zaskoczyła mnie liczba dwóch tysięcy ofiar. W moim wyobrażeniu budowanym na edukacji w polskiej szkole skala tego wydarzenia była dużo większa. Co nie zmienia faktu, że rabacja uchodzi za pewnego rodzaju zderzenie cywilizacji. Cytuje Pan jednego z arystokratów, który pisze, że ludzie – w znaczeniu posiadacze ziemscy – boją się przyjeżdżać na Wielkanoc z miasta do swoich majątków, bo sprawcy rabacji nie zostali ukarani. *À propos* edukacji – w trakcie studiów polonistycznych też nikt nie wspominał, że Adam Mickiewicz słabo mówił po francusku. W książce cytuje Pan Henryka Fredrę, brata Aleksandra, który punktuje francuski Mickiewicza, mimo że ten wykłada w Paryżu literaturę słowiańską. Może wcześniej nie wypadało akcentować takich kwestii?

U braci Fredrów można zaobserwować pewien rodzaj galicyjskiego snobizmu. Mickiewicz był Litwinem. Oni uważają się za Galicjan, należą do innej europejskiej sfery niż autor *Dziadów*.

O takich podziałach pisze Pan w książce. Na przykład przy okazji amerykańskich Żydów, którzy dzielili się na Żydów z Galicji i Żydów z Litwy – podziały przepłynęły z nimi ocean.

Były nawet silniejsze za oceanem, bo w Europie Żydzi galicyjscy nie mieli zbyt wielu kontaktów z Żydami litewskimi. W Nowym Jorku znaleźli się dużo bliżej.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Czy trudno napisać książkę z ponadnarodowej perspektywy? Przedstawia Pan racje Polaków, Żydów, Ukraińców i Habsburgów, jakby tkał tę opowieść. Przyznam, że jako czytelniczka miałam problem z przełączeniem tych perspektyw – z polskiej na ukraińską, od Fredry do Iwana Franki.

To było wyzwanie. Musiałem wyobrazić sobie życie dziewiętnastowiecznych Galicjan w świecie, w którym istniały kategorie narodowe, ale nie dominowały nad innymi. Musiałem wrócić do świata, w którym „naród" był dużo bardziej plastyczny, dopiero się kształtował. Mogłem być jednocześnie Polakiem, Galicjaninem, poddanym Habsburgów, a wszystkie te tożsamości pozostawały prawdziwe, choć czasem można odczuć jedną bardziej niż drugą.

Świat Galicji to świat nakładających się tożsamości. Dziś wszystko jest bardziej jednoznaczne, mówi się: jesteś tym albo tym. Chciałem wyobrazić sobie świat, w którym kategorie narodowe miały mniejsze znaczenie. To wyzwanie także dla innych historyków.

Może to banalne pytanie, ale czy lubi Pan Galicję?

Tak, lubię. Żyła w mojej głowie przez wiele lat. Jak wielu historyków, ciekawi mnie świat, jaki istniał przed wielkim momentem transformacji, jakim była I wojna światowa. Bardzo mnie interesuje historia kultury, w książce na pewno dało się zauważyć moją fascynację okresem Młodej Polski, jak się rozwijał z Galicji i jak był spleciony z jego ogólnoeuropejskim odpowiednikiem.

Czy wierzy Pan w epigenetykę, w zmiany naszego DNA wywołane czynnikami zewnętrznymi? Może ma Pan do opowiedzenia własną galicyjską historię?

Dwoje moich dziadków urodziło się w Galicji, więc czuję się szczególnie związany z tym miejscem. Opowiem Pani ważną dla mnie historię – nie pamiętam już, czy znalazła się ostatecznie w książce. Moja babcia urodziła się pod koniec XIX wieku, w pierwszej dekadzie wieku XX chodziła do szkoły i tam nauczono ją rysować mapę Galicji: kontury nieistniejącej prowincji. Ona mi tę mapę rysowała w dzieciństwie. Można pomyśleć, co za nieprzydatna umiejętność: umieć narysować kontury krainy, która już nie istnieje! Ale ona tę mapę miała w swoim umyśle. Zrobiło to na mnie po latach wielkie wrażenie. To właśnie o taką ideę Galicji mi chodzi – Galicja nie istnieje na mapie, ale wciąż ma znaczenie w naszym umyśle, języku, historii.

Larry Wolff jest amerykańskim historykiem, badaczem dziejów Europy Środkowej. Profesor na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Nowojorskiego.

eprasa.pl b62d9b2f9d

W domu i po cichu

Aleksandra Pyka

Również na Słowacji to głównie panowie, w tym także kler, co rusz chcą decydować za kobiety, bo większość wniosków o zaostrzenie prawa aborcyjnego jest wnoszonych przez przedstawicieli płci męskiej.

Liberalne prawo aborcyjne, geograficzna bliskość oraz stosunkowo niska cena zabiegu, zwłaszcza w porównaniu z Zachodem, to trzy najważniejsze czynniki, dla których Polki wybierają się na Słowację w celu terminacji ciąży. Język również nie stanowi bariery, ponieważ największe kliniki wykonujące zabiegi nastawione są na Polki i oprócz tego, że prowadzą strony internetowe w języku polskim, to jeszcze często organizują transport klientek z naszego kraju do siebie i z powrotem.

Pouczenie

Patrząc z boku, wydawać się może, że Słowacja to raj aborcyjny, jednak jak się okazuje, Słowaczki z roku na rok coraz rzadziej korzystają z usług klinik aborcyjnych. A powodem tego spadku wcale nie są zmiany prawne, zakazy czy ograniczenia, lecz decyzje samych kobiet.

Słowackie prawo pozwala na przerwanie ciąży do dwunastego jej tygodnia. Wykonywane jest ono na życzenie matki, ale także w przypadku gwałtu lub ze względów zdrowotnych, w tej kwestii prawo przewiduje trzy powody: zagrożenie życia matki; zagrożenie życia zdrowego płodu lub wady genetyczne mające wpływ na rozwój płodu (w tej sytuacji zabieg wykonuje się do dwudziestego czwartego tygodnia).

Lekarz musi pisemnie poinformować ciężarną o przebiegu i konsekwencjach zabiegu, fizycznych i psychicznych ryzykach, aktualnym etapie rozwoju płodu oraz o alternatywnych rozwiązaniach (utajony poród, oddanie dziecka do adopcji, pomoc finansowa lub psychologiczna w czasie ciąży udzielana przez stowarzyszenia obywatelskie, organizacje non profit, fundacje itp.). Po pouczeniu i podpisaniu wniosku dokument ten przesyłany jest do Narodowego Centrum Informacji Zdrowotnej (NCIZ) i wtedy zaczyna biec dwudobowy okres wyznaczony ciężarnej na ostateczne zastanowienie się. Dopiero po tym czasie można wykonać zabieg.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Północ kontra południe

Słowacja jest dość mocno podzielona pod względem podejścia do aborcji na życzenie. Mamy tu do czynienia z północną, konserwatywną i bardziej religijną częścią kraju oraz z południową, liberalniejszą.

Dodatni trend demograficzny obecnie notowany jest głównie na północy (Orawa, Spisz i Szarysz) oraz w niektórych częściach Bratysławy. Z wyjątkiem Bratysławy regiony te łączy również duża liczba małżeństw, mniejsza liczba rozwodów i aborcji oraz niższa śmiertelność. Na północy przeważają katolicy, kładący silny nacisk na tradycyjne wartości rodzinne i wychowanie wielodzietnej rodziny. Pamiętać należy także o obecności mniejszości romskiej na tych terenach i jej podejściu do rodziny.

W krajach Unii Europejskiej Słowacja plasuje się wśród państw z najmniejszą liczbą wykonywanych aborcji.

Na południu zaś, gdzie licznie zamieszkują ewangelicy i kalwini, już na przełomie XIX i XX wieku widoczna była niższa liczba urodzin i skłonność obywateli do posiadania raczej małych rodzin[1]. Obecnie dochodzi do tego spora liczba rozwodów oraz przerywanych ciąż. Nie bez znaczenia jest tu także nastawienie samych lekarzy do problemu aborcji na życzenie oraz dostępność ośrodków oferujących ten zabieg, a tych na południu jest więcej.

Ciekawym zjawiskiem jest Orawa, gdzie prawie w ogóle nie notuje się przypadków przerywania ciąży, ale za to w tym regionie występuje jeden z najwyższych poziomów samoistnych poronień. Większość lekarzy tłumaczy ten fakt najwyższym na całej Słowacji wskaźnikiem urodzeń. Możliwym wyjaśnieniem jest również stosowanie „pigułki aborcyjnej", która co prawda nie jest dostępna na Słowacji, ale można ją bez problemu zdobyć za granicą oraz w internecie. W grę wchodzą także ludowe metody poronień i zażywanie leków, których efektem ubocznym jest działanie poronne. Wszystko to ma miejsce w regionie, który jest uznawany za bardzo religijny.

Seksuolog i urolog Jozef Dúbravický przyznaje[2], że sporym problemem na Słowacji jest osiągnięcie złotego środka między wystarczającą edukacją seksualną i religią. Dúbravický mówi, że wiele par religijnych pozostaje bezpłodnych – ma na uwadze nie tylko chrześcijan. Najczęściej okazuje się, że partnerzy wstydzą się swoich popędów seksualnych, tłumią je i w rezultacie współżyją kilka razy w roku.

[1] Michal Piško, *Juh Slovenska vymiera*, Sme.sk, 2.07.2011, https://domov.sme.sk/c/5962657/juh-slovenska-vymiera.html [dostęp 12.02.2021].

[2] Martina Koník, *Sexuológ: Sme národ pokrytcov a potláčame prirodzené*, Dennikn.sk, 3.02.2015, https://dennikn.sk/39858/sexuolog-sme-narod-pokrytcov-potlacame-prirodzene [dostęp 11.02.2021].

eprasa.pl b62d9b2f9d

Problem stanowi także to, że przeciwnicy edukacji seksualnej, którzy żyją poniekąd we własnym świecie, nie potrafią zrozumieć niewierzących, ale chcą narzucać im swoje racje. Niestety mało kto jest świadomy, że tak naprawdę w edukacji seksualnej nie chodzi o promocję seksu i wolności seksualnej, ale o naukę odpowiedzialnego zachowania. Stąd też, niestety, częste są problemy z rozwiązłością młodych ludzi i seksem bez zabezpieczenia. Doktor Dúbravický jest zszokowany tym, jak wiele kobiet i mężczyzn w zaawansowanym wieku odbywa kontakty seksualne, podczas których zapadają na choroby weneryczne. W chwilach diagnozowania takich przypadków najchętniej by zaprosił do siebie przeciwników edukacji seksualnej, by zajmowali się konsekwencjami braku dostępności tych podstawowych informacji.

Braki programowe

Na Słowacji mimo wielu podjętych prób wciąż brakuje Narodowego Planu Zdrowia Reprodukcyjnego, był on już kilkukrotnie blokowany przez Konferencję Słowackich Biskupów. Obecnie temat zdrowia reprodukcyjnego jest tylko pobieżnie wspomniany w Narodowym Planie Zdrowia.

Pierwsza wersja Narodowego Planu Zdrowia Reprodukcyjnego została opracowana w 2004 roku. Jego celem było zapewnienie usług w zakresie zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego zgodnie z ustawodawstwem krajowym i dokumentami międzynarodowymi, czyli między innymi: wprowadzenie edukacji seksualnej, poprawa dostępu do wysokiej jakości usług dotyczących planowania rodziny i najnowocześniejszych metod antykoncepcji oraz stworzenie warunków do rejestracji leków przerywających ciążę (ze względu na bezpieczeństwo dla zdrowia kobiety i jej przyszłej płodności). Jednocześnie plan ten miał na celu zapewnienie, aby wszystkie placówki opieki ginekologiczno-położniczej (z wyjątkiem obiektów należących do Kościoła) zapewniały pełen wachlarz usług w zakresie zdrowia reprodukcyjnego, w tym prenatalną diagnostykę genetyczną i przerwanie ciąży.

Główny ekspert Ministerstwa Zdrowia Republiki Słowackiej ds. ginekologii i położnictwa profesor Miroslav Borovský przyznaje, że brał udział przy opracowywaniu już pięciu narodowych planów i żaden z nich nie dostał się dalej niż do dyskusji na spotkaniu z ministrem[3].

Jeszcze przed odejściem poprzedniego rządu Peter Pellegrini podpisał dwuletnią umowę o współpracy między Słowacją a Biurem Regionalnym WHO dla Europy. Celem tej umowy było między innymi wsparcie Narodowego Programu Opie-

[3] Monika Toporcerová, *Vlaňajší záväzok vypracovať program reprodukčného zdravia ostal len na papieri*, Mediweb.hnonline.sk, 15.01.2021, https://mediweb.hnonline.sk/analyzy/2281065-vlanajsi-zavazok-vypracovat-program-reprodukcneho-zdravia-ostal-len-na-papieri [dostęp 13.02.2021].

eprasa.pl b62d9b2f9d

ki Nad Kobietami, Bezpiecznym Macierzyństwem i Zdrowiem Reprodukcyjnym, w tym także diagnostyki prenatalnej. Rok po podpisaniu tej umowy okazuje się, że plan znowu został tylko na papierze.

Konsekwencją braku Narodowego Planu Zdrowia Reprodukcyjnego jest też brak przedmiotu edukacja seksualna w szkołach. Istnieje co prawda ogólna podstawa programowa, ale nauczanie wybranych zagadnień leży wyłącznie w gestii szkół i chociaż mogą one zrobić z tego osobny przedmiot, to w większości przypadków „upychają" wybrane kwestie w ramach innych przedmiotów szkolnych, takich jak na przykład etyka, biologia, wychowanie obywatelskie czy godziny wychowawcze. Dzieje się tak, bo w przeszłości zdarzały się przypadki, w których dyrektorzy szkół, chcąc zrobić coś więcej, spotykali się ze sprzeciwem Kościoła, organizacji religijnych i *pro-life*, które są przeciwne nauce o antykoncepcji i seksie przedmałżeńskim, nierzadko zgody nie wyrażają także sami rodzice[4].

Pod kontrolą

Mimo tych braków i konfliktów z religią w tle Słowacy wychodzą z założenia, że to, co zakazane, jest przedmiotem większego pożądania. W tym przypadku nasi południowi sąsiedzi wolą ułatwić dostęp do środków antykoncepcyjnych, lekarzy i ewentualnych zabiegów przerywania ciąży, a przy okazji mieć te zagadnienia chociaż pod względną kontrolą.

I potwierdzają to statystyki. W przypadku zabiegów wykonywanych wśród obywatelek Słowacji widać długoletni trend spadkowy. Statystyki jasno pokazują, że liczba wykonywanych zabiegów przerwania ciąży z roku na rok maleje. Tylko w ciągu ostatnich dziesięciu lat odnotowano spadek o 40 procent[5].

Co więcej, około jednej trzeciej wszystkich terminacji ciąży, które są wykonywane na Słowacji, spowodowanych jest względami zdrowotnymi[6]. Wzrasta niestety liczba samoistnych poronień, co jest konsekwencją chorób cywilizacyjnych i tego, że kobiety decydują się na ciążę w coraz późniejszym wieku. Niewątpliwie rolę tutaj odgrywa także brak Narodowego Planu Zdrowia Reprodukcyjnego.

Według statystyk, najrzadziej na aborcję na życzenie decydują się kobiety z wyższym wykształceniem, najczęściej zaś kobiety z wykształceniem podstawowym lub niepełnym średnim. Jeśli chodzi o stan cywilny, to na Słowacji nadal panuje model,

[4] Michal Piško, *Farníci nechcú v školách prednášky o predmanželskom sexe*, Sme.sk, 10.02.2014, https://domov.sme.sk/c/7098282/farnici-nechcu-v-skolach-prednasky-o-predmanzelskom-sexe.html [dostęp 12.02.2021].

[5] *Potraty v Slovenskej republike 2019. Správa k publikovaným výstupom*, Nczisk.sk, 04.2020, data.nczisk.sk/statisticke_vystupy/Potraty/Potraty_2019_aktualna_sprava.pdf [dostęp 12.02.2021].

[6] Ján Krempaský, *Odborníčka: Na potraty chodia najmä vydaté s viacerými deťmi*, Sme.sk, 13.06.2013, https://domov.sme.sk/c/6835768/odbornicka-na-potraty-chodia-najma-vydate-s-viacerymi-detmi.html [dostęp 11.02.2021].

eprasa.pl b62d9b2f9d

zgodnie z którym zazwyczaj na aborcję decydują się kobiety zamężne i mające dwójkę dzieci. Zaobserwować można coraz większą liczbę terminacji ciąży wśród kobiet z jednym dzieckiem. Tutaj jedynym wyjątkiem na Słowacji jest Bratysława, gdzie połowa aborcji na życzenie jest wykonywana u samotnych i bezdzietnych kobiet.

Nieustająca walka

Mimo tendencji spadkowych niemal co roku do słowackiego parlamentu trafiają projekty ustaw mających na celu ograniczenie możliwości dokonywania aborcji, nie tylko tych na życzenie. Okazuje się, że również na Słowacji to głównie panowie, także ci w sutannach, co rusz chcą decydować za kobiety, bo większość wniosków o zaostrzenie prawa aborcyjnego jest wnoszonych przez przedstawicieli płci męskiej.

Nie inaczej dzieje się obecnie. W połowie lutego bieżącego roku minister zdrowia Marek Krajčí zamiast zajmować się wysoką śmiertelnością na COVID-19, postanowił „po cichu" opublikować rozporządzenie, według którego zakończenie ciąży u kobiet po czterdziestym roku życia nie będzie już traktowane jako powód zdrowotny i będą one musiały płacić za zabieg z własnej kieszeni[7]. W styczniu z kolei poseł Martin Čepček, należący do rządzącej partii OĽANO, bez jej wiedzy złożył projekt ograniczający aborcję[8]. Według wniosku posła Čepčeka, terminacja ciąży mogłaby nastąpić tylko wtedy, gdy zagrożone jest życie i zdrowie matki albo u płodu zostanie zdiagnozowana poważna wada, a czas trwania ciąży nie przekroczy dwudziestego czwartego tygodnia, lub w przypadku ciąży będącej wynikiem przestępstwa, której czas trwania nie przekroczy pierwszego trymestru. Zgodnie z tą propozycją powody zdrowotne będą musiały być potwierdzone orzeczeniami lekarskimi co najmniej dwóch lekarzy ginekologów. Wnioskiem parlament miałby się zajmować w marcu.

Około jednej trzeciej wszystkich terminacji ciąży, które są wykonywane na Słowacji, spowodowanych jest względami zdrowotnymi.

Warto wspomnieć, że poprzedni wniosek rozpatrywany nieco ponad pół roku temu, złożony przez Annę Záborską z ramienia OĽANO, nie został przyjęty wskutek braku kilku głosów. Projekt ten zakładał wydłużenie okresu na decyzję z czterdziestu ośmiu na dziewięćdziesiąt sześć godzin, zmieniał nazwę zabiegu ze „sztuczne przerwanie ciąży" na „sztuczne zakończenie ciąży", przewidywał zbieranie bardziej

[7] *Ženám po štyridsiatke interrupciu nepreplatia*, Sme.sk, 15.02.2021, https://domov.sme.sk/c/22597195/zeny-nad-40-rokov-nebudu-mat-interrupciu-hradenu-zdravotnou-poistovnou.html [dostęp 15.02.2021].

[8] *Čepček z OĽaNO opäť predložil návrh na obmedzenie potratov*, Sme.sk, 21.01.2021, https://domov.sme.sk/c/22579060/cepcek-z-olano-opat-predlozil-navrh-na-obmedzenie-potratov.html [dostęp 13.02.2021].

eprasa.pl b62d9b2f9d

szczegółowych danych i powodów poddania się zabiegowi oraz zakazywał reklamowania aborcji.

Wydawać by się mogło, że to tylko kosmetyczne zmiany, a już wtedy odezwały się głosy, że jest to pierwszy krok w kierunku ograniczenia prawa do terminacji ciąży, w wyniku czego Słowacy (mimo pandemii i okresu wakacyjnego) tłumnie wyszli na ulice, niosąc transparenty z hasłami: „Żądamy odłączenia Kościoła od macicy", „Nie żyjemy w średniowieczu", „Prawa reprodukcyjne = prawa człowieka"[9].

Słowacy tłumnie wyszli na ulice, niosąc transparenty z hasłami: „Żądamy odłączenia Kościoła od macicy", „Prawa reprodukcyjne = prawa człowieka".

Ludzie na ulicach przypomnieli posłom, że zamiast zajmować się aborcjami, których liczba z roku na rok spada, powinni zająć się problemami, z którymi naprawdę borykają się słowackie rodziny.

Wykonane przy okazji tych protestów badania opinii publicznej potwierdzają, że ponad połowa obywateli jest zadowolona z obecnego prawa dotyczącego aborcji, a 19 procent respondentów uważa, że Słowaczki w dalszym ciągu mają ograniczony dostęp do zabiegów i prawo powinno być jeszcze bardziej liberalne. Zwolennikami zaostrzenia przepisów okazało się zaledwie 17 procent respondentów, a 9 procent nie miało zdania na ten temat.

Co ciekawe, większość osób, które mają poglądy liberalnie (59 procent), oraz większość respondentów, którym bliższa jest orientacja konserwatywna (52 procent), jest za utrzymaniem obecnej formy ustawodawstwa[10].

Słowacja wskazuje drogę

Pomimo surowych polskich przepisów aborcyjnych, które można nazwać raczej przepisami antyaborcyjnymi, i powszechnej w naszym kraju deklaracji wiary katolickiej, liczba Polek, które decydują się na aborcję, nie spada. Według szacunków ONZ, zabiegów przerwania ciąży za granicą Polski poszukuje co roku nawet sto tysięcy Polek[11].

---

[9] Miriam Zsilleová, Michal Trško, *Prvý raz búchali varechami v Košiciach: Protestovali proti sprísneniu interrupcji*, Zenyvmeste.sk, 7.07.2020, https://www.zenyvmeste.sk/zakaz-interrupcii-na-slovensku-sprisnenie-interrupcii-zakaz-potratov-protesty-nebudeme-ticho [dostęp 13.02.2021].

[10] *Proti sprísňovaniu potratov je väčšina Slovákov. Tento názor prevažuje aj u voličov OĽaNO*, Tvnoviny.sk, 14.07.2020, https://www.tvnoviny.sk/domace/2002372_proti-sprisnovaniu-potratov-je-vacsina-slovakov-tento-nazor-prevazuje-aj-u-volicov-olano [dostęp 13.02.2021].

[11] *Poland has slammed door shut on legal and safe abortions – UN experts*, Ohchr.org, 27.10.2020, https://www.ohchr.org/EN/NewsEvents/Pages/DisplayNews.aspx?NewsID=26434&LangID=E [dostęp 12.02.2021].

eprasa.pl b62d9b2f9d

Wręcz odwrotnie dzieje się w znacznie bardziej liberalnej Słowacji, która w naszym mniemaniu często uważana jest za raj aborcyjny. Tymczasem u naszych południowych sąsiadów liczba aborcji z roku na rok spada. Słowacja plasuje się wśród państw z najmniejszą liczbą wykonywanych zabiegów w Unii Europejskiej.

Demografka Michaela Potančoková z wiedeńskiego instytutu demograficznego nie ukrywa, że droga do jeszcze niższej liczby wykonywanych zabiegów wiedzie przez oświatę, a nie zakaz[12]. W tym kontekście na Słowacji wyraźnie odczuwalny jest brak Narodowego Programu Zdrowia Reprodukcyjnego i edukacji seksualnej w szkołach.

Zagrożeniem dla spadku liczby wykonywanych zabiegów są z kolei spory społeczne. Paradoksalnie, konserwatywno-narodowe ruchy i organizacje *pro-life*, które chcą zakazu antykoncepcji, edukacji seksualnej i aborcji na życzenie, mogą doprowadzić do zwiększenia liczby wykonywanych zabiegów, czy to w kraju, czy poza jego granicami, czego doskonałym przykładem jest przypadek Polek.

Aleksandra Pyka jest słowacystką, tłumaczką, prowadzi stronę: www.slowacystka.pl.

[12] Ján Krempaský, *Odborníčka: Na potraty chodia najmä vydaté s viacerými deťmi*, Sme.sk, 13.06.2013, https://domov.sme.sk/c/6835768/odbornicka-na-potraty-chodia-najma-vydate-s-viacerymi-detmi.html [dostęp 11.02.2021].

eprasa.pl b62d9b2f9d

Żadnych krzywych spojrzeń

Z Martą Machałowską z kolektywu Ciocia Czesia, który pomaga Polkom w przeprowadzeniu aborcji w Czechach, rozmawia Łukasz Grzesiczak

ŁUKASZ GRZESICZAK: Ciocia Czesia to trzecia i zarazem najmłodsza z trzech sióstr, czyli kolektywów założonych poza granicami kraju, które pomagają Polkom w dostępie do legalnej aborcji. Dotychczas słyszeliśmy o Cioci Basi z Berlina i Cioci Wieni z Wiednia. Teraz w Czechach powstała Ciocia Czesia. Skąd ten pomysł?
MARTA MACHAŁOWSKA: Wyrok Trybunału Konstytucyjnego stwierdzający, że aborcja z przesłanki patoembrionalnej nie jest zgodna z polską konstytucją, sprawił, że na forach skupiających Polaków mieszkających w Czechach zawrzało. Wszystkie byłyśmy mocno wkurzone i chciałyśmy coś zrobić. Mieszkamy w Czechach i poczułyśmy, że z tego powodu jesteśmy na uprzywilejowanej pozycji, a naszym znajomym w Polsce odbiera się kolejne prawa. Wiedziałyśmy o podobnych grupach pomagających w przeprowadzeniu aborcji, które działają w Polsce, Berlinie i w Wiedniu.

Skrzyknęłyśmy się spontanicznie na Facebooku pod postem informującym o spotkaniu przed polską ambasadą w Pradze w geście solidarności z polskimi kobietami. „Dziewczyny, zróbmy coś" – ktoś napisał. Szybko umówiłyśmy się na „calla", bo w Czechach już obowiązywał lockdown. Wtedy jeszcze nie wiedziałyśmy, czy coś z tego wyniknie. Okazało się, że wszystkie jesteśmy z innej bajki, mamy inny *background*, ale podobne poglądy. Każda ma jakieś umiejętności, które mogą się przydać.

Wśród nas była jednak osoba, która wcześniej działała jako wolontariuszka Aborcyjnego Dream Teamu i miała kontakty do pozostałych „cioć". Szybko zdecydowałyśmy, że same chcemy zostać taką „ciocią". Nazwa była dla nas oczywista – Ciocia Czesia. Zdrobnienie imienia kojarzy się z Czechami.

Kto stoi za Ciocią Czesią?

Rdzeń to czternaście osób – trzynaście Polek i jedna Czeszka z podwójnym obywatelstwem. Robimy wszystko, by nie zostać zaszufladkowane politycznie. Podstawą naszego działania jest pomoc w dostępie do legalnej w Czechach aborcji dla wszystkich, którzy tego potrzebują. W czternastoosobowym głównym składzie grupy są same kobiety. Naturalnie obecnie zmienił się on nieco w stosunku do tego, co było na początku. Wszystkie pracujemy zawodowo lub studiujemy, w Cioci Czesi działamy jako

eprasa.pl b62d9b2f9d

wolontariuszki. Dlatego trudno było od wszystkich oczekiwać stuprocentowego poświęcenia.

Zaczęły do nas dołączać kolejne osoby, z czasem ciężko było to wszystko ogarnąć. Napływały propozycje pomocy: w tłumaczeniu z czeskiego na język polski, w pomocy prawnej. Spływały też propozycje od osób, które mogły zorganizować transport lub oferowały nocleg.

Wielu ludzi wspiera też nas finansowo. Po rozmowach z innymi kolektywami wiemy, że nie każdego stać na zabieg, dlatego od początku zabiegałyśmy o pomoc finansową, by móc wesprzeć osoby potrzebujące. Założyłyśmy publiczną zbiórkę, w trzy miesiące udało się nam zebrać prawie 40 tysięcy złotych, ta kwota wciąż rośnie.

A co Ciebie skłoniło, by się zaangażować?

Wyjechałam z Polski ponad dwa lata temu, kiedy w kraju odbywał się Czarny Protest. Byłam sfrustrowana, że opuszczam ojczyznę w takim momencie. Żyłam w rozkroku. Pół życia spędzałam w Warszawie, pół w Pradze, gdzie miałam część swojego życia prywatnego. Obserwowałam różnicę między Polską i Czechami. Myślę o dostępie do usług medycznych i aborcji. W Czechach nikt z aborcji nie robi kwestii politycznej, traktowana jest jako prawo kobiety do decydowania o własnym ciele.

Kiedy zamieszkałam w Pradze, znajoma dziennikarka poprosiła mnie o przeprowadzenie mikroeksperymentu. W Polsce wycofano się z możliwości kupienia tabletek „dzień po" bez recepty. Znów ciężko było je zdobyć. Lekarze powoływali się na klauzulę sumienia, trzeba było chodzić do prywatnych gabinetów po receptę. W Pradze poszłam do kilku aptek, by je kupić. Żadnych krzywych spojrzeń, żadnych ocen czy wytykania palcami. Lek jak lek. Byłam w szoku. Nie potrafiłam pogodzić się z tym, że Polskę i Czechy dzieli niby tak niewiele, ale jednak tak dużo. W sprawie aborcji dzielą nas lata świetlne, bo Czechy są – w przeciwieństwie do Polski – po prostu świeckim państwem.

Po przeprowadzce śledziłam rozwój sytuacji w naszym kraju. Byłam wkurzona, nie dowierzałam, że oni mogą to zrobić. Wreszcie się stało. Zaangażowałam się z poczucia bezsilnej złości na rząd w Warszawie. Pomyślałam, że mieszkając w Pradze, mogę pomóc. Wydaje mi się, że taka była motywacja wielu z nas.

Czeskie media komentowały decyzję polskiego Trybunału Konstytucyjnego? Znajomi Czesi rozmawiali z Tobą na ten temat?

Mamy lockdown i to on jest tematem numer jeden. Media śledzą decyzje polityczne dotyczące walki z pandemią koronawirusa, wymianę ministrów zdrowia. Do tego zbliżają się wybory parlamentarne. Co pewien czas wpadnie jakiś news z Polski, ale to wszystko.

Od początku byłyśmy otwarte na rozmowę z dziennikarzami, bo chciałyśmy nagłośnić zbiórkę. Chciałyśmy, by ludzie wiedzieli o naszym istnieniu. Temat po-

eprasa.pl b62d9b2f9d

jawiał się w największych czeskich mediach, które wielokrotnie zapraszały Ciocię Czesię do udzielenia komentarza.

Jeśli chodzi o czeskich znajomych, to większość nie dowierza, wszyscy są oburzeni, wielu oferuje pomoc. W Pradze mieszka sporo Polaków, wśród nich pewnie część ma poglądy *pro-life*. Zdarzały się negatywne komentarze pod postami o naszej działalności, ale to rzadkość. Wśród Polaków mieszkających w Czechach ten odzew jest więc pozytywny.

Myślisz, że ta decyzja wzmocni jeszcze czeski stereotyp Polski jako kraju mocno konserwatywnego i klerykalnego?

Jestem członkinią kolektywu, który pomaga w walce z tym prawem. Dlatego rzadko spotykam się z negatywnymi komentarzami, generalizującymi Polaków jako nację. Nie spotkałam się z hejtem na temat Polski, a z krytyką ograniczenia prawa do decydowania o sobie.

Być może to zaostrzenie prawa aborcyjnego w Polsce ten stereotyp wzmocni, ale nie przesadzałabym z nadmiernym zainteresowaniem Czechów Polską poza aktualnym tematem aborcji. Myślę, że w Czechach Polska mało kogo zajmuje, zwłaszcza w czasie pandemii. Obecnie Czesi interesują się sąsiadami tylko w kontekście sytuacji epidemicznej lub w przypadku ograniczeń na granicach. Natomiast dostałyśmy ogromne wsparcie od czeskich artystów i artystek przy tworzeniu projektu T-shirtu oraz Czechów i Czeszek, którzy stanowią gros darczyńców.

Jest coś specyficznego w działaniu Cioci Czesi, co nie dotyczyło Cioci Basi czy Cioci Wieni?

Jesteśmy w kontakcie z przedstawicielami pozostałych kolektywów, ale nie tworzymy sieci. Myślę, że główną różnicą jest moment, w którym powstałyśmy. Ciocia Basia ma sześć lat, Ciocia Wienia – dwa. My powstałyśmy w październiku 2020 roku, w czasie lockdownu. Od początku pracujemy zdalnie, z niektórymi osobami nigdy nie widziałam się poza internetem. Specyficzne jest też to, że powstałyśmy w sieci, nie znałyśmy się w czasach przed „ciocią".

Jak wygląda prawo aborcyjne w Czechach? Czy jest przedmiotem dyskusji z udziałem najważniejszych partii politycznych?

Według najnowszych danych Czeskiego Urzędu Statystycznego, w 2019 roku przeprowadzono w Czechach 31 797 aborcji. To najmniej od ponad sześćdziesięciu lat, odkąd prowadzone są te statystyki. W 2009 roku w Czechach przeprowadzono 40 528 aborcji. Od tamtego czasu ich liczba co roku spada, poza rokiem 2016, kiedy odnotowano kilkaset więcej zabiegów niż rok wcześniej. Przytaczam te dane, by uzmysłowić, że choć w Czechach aborcja jest legalna, zabiegu tego nie wykonuje się na potęgę. W Czechach obowiązuje ustawa z 1986 roku, która mówi, że aborcja jest legalna bez podania przyczyny do dwunastego tygodnia. W przypadku orzeczenia lekarskiego można ją przeprowadzić do końca

eprasa.pl b62d9b2f9d



Archiwum prywatne

Wyjechałam z Polski ponad dwa lata temu, kiedy w kraju odbywał się Czarny Protest. Byłam sfrustrowana, że opuszczam ojczyznę w takim momencie. Żyłam w rozkroku. Pół życia spędzałam w Warszawie, pół w Pradze. W Czechach nikt z aborcji nie robi kwestii politycznej, traktowana jest jako prawo kobiety do decydowania o własnym ciele.

eprasa.pl b62d9b2f9d

drugiego trymestru ciąży. W Czechach istnieje konsensus, że aborcja jest sprawą kobiety, ewentualnie osób, których bezpośrednio dotyka. Ostatni raz dyskutowano o niej przy okazji relacjonowania protestów w Polsce.

Moje czeskie znajome mówią mi, że kiedy jako nastolatki poszły pierwszy raz do ginekologa, aborcja była zapisana normalnie w cenniku jak zwykły zabieg medyczny. Dla nich nie ma w tym nic wyjątkowego. Choć zabieg jest wykonywany legalnie w publicznych placówkach opieki medycznej, nie pokrywa go ubezpieczenie i jest płatny. Kosztuje około 5 tysięcy koron, czyli równowartość 850 złotych. W przypadku obcokrajowców ten koszt jest większy. Nawiązałyśmy kontakt z dwiema czeskimi klinikami, które przeprowadzają aborcje u Polek. Cena zabiegu to około 1900 złotych. Poza samym zabiegiem składają się na nią dodatkowe świadczenia, takie jak badanie krwi czy USG, które dla Czeszek są refundowane.

Czy Polki mogą mieć legalną aborcję w Czechach?

Zgodnie z ustawą z 1986 roku, prawo do aborcji na terenie Czech – wtedy jeszcze Czechosłowacji – mają osoby mające prawo do pobytu na terenie tego kraju. Czechosłowacja nie istnieje od 1993 roku, w 2016 roku czeskie Ministerstwo Zdrowia wydało interpretację tej ustawy, zgodnie z którą zabiegi medyczne powinny być dostępne dla wszystkich obywateli Unii Europejskiej. Czeska Izba Lekarska posługuje się własną wykładnią. Jej zdaniem, cudzoziemki niezameldowane na stały pobyt w Czechach nie mają prawa do przerywania ciąży w czeskich szpitalach.

W tym momencie czeskie kliniki nadzorowane przez Ministerstwo Zdrowia przeprowadzają legalną – zgodnie z interpretacją ustawy wydaną przez to ministerstwo – aborcję u Polek. Nawiązałyśmy współpracę z dwiema placówkami. Zależało nam, by znajdowały się one w pobliżu granicy z Polską. Dlatego wystosowałyśmy pismo do premiera Andreja Babisza i ministra zdrowia, by ostatecznie rozwiązać ten problem. W lutym 2021 roku czeskie Ministerstwo Zdrowia wydało oficjalne potwierdzenie, że aborcja jest legalna i dostępna na terenie Republiki Czeskiej dla obywatelek Unii Europejskiej bez względu na narodowość.

Ile placówek Wam odmówiło?

Nie prowadzimy takich statystyk. Trzeba pamiętać, że trwa pandemia, dostęp do usług medycznych w Czechach jest ograniczony. To nie jest najlepszy czas na zdobywanie informacji na temat możliwości przeprowadzania aborcji u pacjentek, które przyjadą z zagranicy. W tym momencie współpracujemy z dwiema placówkami, po epidemii chcemy tę współpracę rozszerzyć.

Ile kobiet z Polski poprosiło o pomoc Ciocię Czesię?

W pierwszych trzech miesiącach naszego działania było to ponad siedemdziesiąt osób. Z każdym tygodniem jest

eprasa.pl b62d9b2f9d

ich coraz więcej. Ta liczba znacząco rośnie od czasu publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Czasami zgłaszające się do nas osoby proszą tylko o informację. Pytają, czy rekomendujemy klinikę, do której dotarły. Niekiedy pytają o ograniczenia związane z koronawirusem. Zdarzają się prośby o dofinansowanie zabiegu – częściowe lub pełne. Prosi o to około 10 procent osób, które się do nas zgłosiły. Niekiedy piszą do nas osoby, dla których na aborcję w Czechach jest już za późno. Odsyłamy je wtedy do innych organizacji w Niemczech, Holandii i na Wyspach Brytyjskich, gdzie aborcja jest dozwolona także po dwunastym tygodniu ciąży.

Jakie są historie kobiet, które się zgłaszają z prośbą o pomoc do Cioci Czesi?

Ustaliliśmy, że nie będziemy o tym mówić mediom. Nie pośredniczymy też w prośbach dziennikarzy, którzy chcą skontaktować się z tymi osobami. Obserwuję, że wiele osób potrzebuje po prostu informacji. Tłumaczymy wtedy, że zabieg trwa kwadrans, wykonywany jest pod narkozą, ale cały pobyt w klinice może zająć trzy lub cztery godziny. Potrzebne są dodatkowe badania. Na zabieg należy udać się z osobą towarzyszącą, w czasie pandemii koronawirusa nie możemy wysłać na miejsce swojego wolontariusza.

Zdarza się, że osoby mówią, jaką dysponują kwotą, niektóre nie mają pieniędzy. Maksymalna kwota zabiegu to około 1900 złotych, do tego dochodzą koszty podróży. Każdą prośbę o pomoc rozpatrujemy indywidualnie.

Czesi są solidarni z polskimi kobietami?

Bardzo, zewsząd otrzymujemy konkretne wsparcie. Zgłasza się do nas wiele organizacji, które chcą pomóc. Studenci praskich FAMU i AMU zorganizowali aukcję swych prac, cały dochód przekazali na Ciocię Czesię. Znajomi czescy artyści zaprojektowali limitowaną serię koszulek, pieniądze z ich sprzedaży zasiliły nasze konto. Czeska organizacja na rzecz praw człowieka SdruŽeny zorganizowała zbiórkę na Ciocię Czesię. Wsparcie przychodzi nie tylko z Czech. „Balkan Insight" wyróżnił nas tytułem „Hereos of 2020".

8 marca zaczęłyśmy nową zbiórkę i akcję koszulkową. W tydzień zebrałyśmy tyle, co przez cały okres poprzedniej zbiórki, czyli ponad 50 tysięcy złotych. Większość wpłat pochodzi od Czechów i Czeszek, a także od cudzoziemców. Tym razem małe wsparcie dotarło z Polski.

Marta Machałowska jest członkinią kolektywu Ciocia Czesia, który pomaga Polkom w dostępie do legalnej aborcji w Czechach. Od niemal trzech lat mieszka w Pradze.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Recenzje

Psy wczorajsze, psy dzisiejsze



Gieorgij Władimow, *Wierny Rusłan*, przeł. Andrzej Drawicz, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2021

Jak głosi anegdota, powieść *Wierny Rusłan. Historia obozowego psa* Gieorgij Władimow napisał, usłyszawszy historię o zwolnionych z likwidowanego łagru psach wartowniczych. Strażnicy po prostu je wypuścili, a te – niezrażone – kontynuowały służbę, choć już nikt tego od nich nie oczekiwał. Każdego dnia zbierały się na dworcu, czekając na kolejny transport więźniów, by – jeśli ci się pojawią – eskortować ich do obozu.

Aż któregoś dnia na peronie pojawiła się grupa na tyle zorganizowana, że psy wzięły ją za konwój. Według jednej wersji, był to pochód pierwszomajowy, według innej – brygada budowlana komsomolców. Psy zmusiły ludzi do sformowania kolumny i atakowały każdego, kto próbował opuścić szereg. Dopiero milicja rozgoniła zwierzęta.

Władimow uczynił bohaterem powieści właśnie takiego psa. Owczarka niemieckiego, którego pewnego dnia pozbawiono wszystkiego, co znał przez całe swoje życie. Obóz zlikwidowano, a jego dotychczasowy pan nie miał odwagi go zastrzelić, jak mu kazano. I tak Rusłan zaczyna błąkać się po miasteczku w pobliżu dawnego obozu.

Rusłana Władimow pisał w latach 1963–1964. Kończyły się czasy odwilży, Nikity Chruszczowa, nadchodził zastój Leonida Breżniewa. Już nie było politycznej potrzeby, by wykonywać gesty takie jak publikacja *Jednego dnia Iwana Denisowicza* Aleksandra Sołżenicyna. Dlatego po raz pierwszy książkę wydano w 1975 roku w Niemczech, w rosyjskim wydawnictwie emigracyjnym Posiew. Rosyjski czytelnik poznał ją oficjalnie dopiero w czasach pierestrojki.

W Polsce *Wierny Rusłan* wydany był kilkukrotnie w drugim obiegu, między innymi przez Oficynę NOWA oraz wydawnictwa Aneks i Krąg. Po raz pierwszy oficjalnie powieść wydano w 1999 roku w krakowskim wydawnictwie Arcana w tłumaczeniu Andrzeja Drawicza. Podstawą wydania z 1999 roku było wcześniejsze tłumaczenie Drawicza dla oficyny NOWA.

Do dziś pamiętam to wydanie Arcanów. Na czerwonej okładce twarz człowieka zlewa się z pyskiem psa szczerzącego kły. Oczy nie patrzą na czytelnika, ale uciekają w bok, gdzie kryje się wróg. I właśnie to wydanie postanowił wznowić poznański Dom Wydawniczy Rebis.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Wierny Rusłan należy do nurtu literatury obozowej. Autor patrzy jednak na łagrową rzeczywistość pod nieco innym kątem niż klasyczni autorzy tego nurtu, tacy jak wspomniany Sołżenicyn czy Warłam Szałamow.

Władimow czyni bohaterem nie więźnia, jak to zazwyczaj bywa w utworach tego nurtu. Jest nim groźny partner strażnika z karabinem. Żywy uczestnik represji wobec więźniów, który potrafi ukąsić, jeśli ktoś nie nadąża za kolumną, wyjdzie z szeregu, potknie się. I o ile więzień może mieć nadzieję, że jeśli się przed strażnikiem ukorzy, nie spotka go kara, to z tresowanym owczarkiem niemieckim nie ma dyskusji.

Drugim odstępstwem od tradycyjnego wzoru literatury obozowej jest perspektywa, z jakiej opisywane są postaci. Ludzie, tak jak ich postrzega Rusłan, są słabi. Owczarek nie wchodzi w niuanse analizy psychologicznej, nie zastanawia się nad przeszłością tych, których spotyka. Jego świat jest prosty: ktoś jest uczciwy i wierny lub nie. I niestety większość tych, z którymi przyjdzie mu się zetknąć w poobozowym życiu, nie jest ani uczciwa, ani wierna. Ale jak to często w rosyjskiej literaturze bywa, spojrzenie Rusłana jest melancholijne. Bohatera powieści nie złoszczą te słabości. Wydaje się raczej zawiedziony, że ci, którzy mieli być od niego lepsi, okazują się niegodni szacunku.

Trzecim istotnym elementem spojrzenia Władimowa jest opisywany moment. Pisze nie o tym, co dzieje się w obozie, ale jakie są następstwa obozu. Opowiada o piętnie łagrowego życia.

Rusłan obserwuje, jak jego dawny pan, strażnik, rozmawia z byłym więźniem w lokalnej piwiarni. Ci ludzie, dawniej stojący po przeciwnych stronach i dalej żywiący do siebie niechęć, pozostają związani obozowym losem. Rozumieją się nawzajem, bo żyli w innym świecie, niepojętym dla reszty społeczeństwa.

Podobny wydźwięk ma scena na dworcu. Bohater powieści odprowadza na pociąg byłego więźnia, który postanawia wrócić do rodziny. W ostatniej chwili więzień rezygnuje i zostaje w przyłagrowym miasteczku. Nie jest w stanie wrócić do swoich bliskich nie tylko dlatego, że jako były zek może im zaszkodzić. Obawia się, że będzie dla nich zupełnie obcy i oni będą dla niego obcy, bo nie będą w stanie pojąć, przez co przeszedł.

Władimow opisuje zatem zjawisko, które współcześnie jest znane znacznie lepiej – zespół stresu pourazowego. Zaburzenie, na które cierpią więźniowie, żołnierze, a nawet „zwykli" ludzie, którzy nigdy nie byli w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia, ale poddani zostali długotrwałemu lub nadmiernemu stresowi.

Tu kryje się drugi wymiar *Wiernego Rusłana*. Podobnie jak inne powieści nurtu łagrowego, także i ta mówi, że cały ZSRR jest wielkim obozem. Wszyscy mieszkający tam ludzie są złączeni łagrowym losem. Nawet jeśli niektórzy są strażnikami w tym obozie, to jest to tylko sytuacja tymczasowa. Każdego dotyka stres pourazowy.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Dlatego, zdaje się mówić Władimow, nie ma co się dziwić, że zwolnione ze służby owczarki wciąż sterczały na peronie, tak jak je nauczono. Nie znały bowiem innego życia. Właściwie należy im się szacunek.

Rusłan zawsze mówi o służbie – to coś, co nadaje sens jego życiu, coś większego niż on, większego nawet niż jego pan. Dziwi się, że ludzie potrafią tak szybko porzucić swoje obowiązki. On pozostaje im wierny do samego końca.

Równolegle z opowieścią o życiu poobozowym Rusłana Władimow prowadzi narrację o jego przeszłości. Bo przecież zmierzając do śmierci, cofamy się do swych narodzin. Widzimy, jak Rusłan zachowywał się w obozie, jak był szkolony, jak został wybrany spośród wielu innych szczeniaków.

To pozwala nam zrozumieć sympatię autora do swojego tragicznego bohatera. Całe jego życie wypełniały przygotowania do służby, a potem ona sama. Cóż zatem pozostało mu na emeryturze, jeśli nie próba dostosowania rzeczywistości do tego, co znał. Wierność zasadom, które mu wpojono.

Dziś, gdy w wielu krajach politycy tresują urzędników państwowych i funkcjonariuszy ochrony porządku publicznego, by szczuć ich na obywateli, *Wierny Rusłan* staje się wyjątkowo aktualny. Panowie zdradzą swe sługi, sługi gardzić będą swoimi panami. Ludzie nie mają tak czystych serc jak Rusłan.

Kacper Wańczyk

Nie warto ich słuchać



Jessikka Aro, *Trolle Putina. Prawdziwe historie z frontów rosyjskiej wojny informacyjnej*, przeł. Marta Laskowska, Wydawnictwo SQN, Kraków 2020

Celem Billa Bowdera, amerykańskiego biznesmena, było dowiedzenie prawdy o śmierci rosyjskiego prawnika Sergieja Magnickiego. Litewski dyplomata Renatas Juska wspierał struktury opozycyjne w Białorusi. Prezenterka Liz Wahl publicznie ogłosiła, że odchodzi z pracy w propagandowej stacji telewizyjnej RT. Wszyscy zostali uznani za zagrożenie dla interesów Rosji, a potem przypuszczono na nich atak: szkalowano w mediach, podważano ich wiarygodność lub wręcz oskarżano o przestępstwa, których nie popełnili. Fińska dziennikarka Jessikka Aro zebrała głosy takich jak oni, by pokazać cały wachlarz strategii wykorzystywanych przez Kreml w wojnie informacyjnej.

W książce Aro opowiada też własną historię – po publikacji reportażu o petersburskiej fabryce internetowych trolli jej życie zamieniło się w koszmar do tego stopnia, że dla własnego bezpieczeństwa i zdrowia psychicznego postanowiła opuścić kraj. Dziennikarka zna od podszewki wszystkie możliwe rodzaje przemocy, jakie mogą spotkać kogoś, kto „nadepnął na odcisk" Kremlowi, wobec swoich bo-

eprasa.pl b62d9b2f9d

haterów nie pozostaje więc jedynie obserwatorką, ale głośno wyraża z nimi solidarność.

Dla kogoś, kto bliżej zna stosowane przez Kreml strategie dezinformacji, książka Jessikki Aro nie będzie zapewne odkryciem. Jednak praca dziennikarska wykonana przez autorkę *Trolli Putina* pokazuje dobitnie jedną rzecz: każda z tych historii jest w gruncie rzeczy taka sama. Jej bohaterowie wykonują różne zawody, pochodzą z różnych krajów, różnią się światopoglądem, ale gdy znajdą się na celowniku propagandowych mediów czy armii anonimowych prześladowców, okazuje się, że każdego z nich można zniszczyć w ten sam sposób. Wystarczy przekonać opinię publiczną, że nie warto ich słuchać, że nie zasługują na szacunek. Opinię publiczną – czyli nas. Bo jeśli czegoś uczą historie zebrane przez Jessikkę Aro, to tego, że w tej dziwnej wojnie prowadzonej przez Putina i jego ludzi bardzo łatwo stać się amunicją.

Dominika Kardaś

Prywatność, propaganda, protest



Dlaczego w sztuce ukraińskiej są wielkie artystki, red. Kateryna Jakowłenko, przeł. Anna Łazar, Katarzyna Kotyńska, Joanna Majewska, Iwona Łabuz, Fundacja Katarzyny Kozyry, Warszawa 2020

„Wielka artystka" jest produktem myślenia o artystycznym kanonie. Zaplątała się w sieć hierarchii, w której stała się przedmiotem ocenianym, docenianym, wciąganym na szczególnych prawach do kanonu albo wypychanym gdzieś na margines i poza kanoniczne granice. Wypchniętym z historycznej syntezy i domagającym się powrotu do niej.

Powrotu do kanonu nie ma. W momencie, kiedy kanon jest już tylko archaicznym szczątkiem intelektualnej gry w lepszych i gorszych reprezentantów i reprezentantki różnych dziedzin twórczości, „wielkość" rozsadza samą siebie, zachowując cząstkę tej swojej dyspozycji, która daje artystce prawo i możliwość wypowiadania siebie własnym głosem.

Zapowiedziana w tytule „wielka artystka" jest dzisiaj słabym fantazmatem, dekonstruowanym w każdym z opublikowanych w książce esejów. Stawką w tej dyskusji i w tym spotkaniu artystek tworzących na przestrzeni ponad stu ostatnich lat jest głos – głos cichy albo głośny, artystyczny głos twórczyń ludowych i malarek awangardowych, dwudziestopierwszowiecznych performerek i feministycznych reżyserek. Kilkadziesiąt gościń, wraz z interpretatorkami i badaczkami ich sztuki, spotyka się przy stole kobiet na „przyjęciu obiadowym", żeby rozmawiać o kobiecości, przemocy, patriarchacie, ukraińskiej historii, reżimie. Tych kilkadziesiąt monologów, w które się wsłuchujemy, mimowolnie wchodzi między sobą w dialog. Powstaje z tego ścierania artystycznych praktyk i interwencji

eprasa.pl b62d9b2f9d

intelektualna kobieca konstelacja. Związki rodzące się między artystkami stawiają opór czasowi, a część artystek wychodzi – jako osobne, upodmiotowione byty twórcze – z twórczych małżeństw, jak Ałła Horska, Magrit Selska, Jelizawieta Kremnicka czy Iryna Pap.

Biograficzne zaczepienia czy artystyczne podobieństwa między poszczególnymi twórczyniami dają się uchwycić ponad czasem. Ten akt współczesnego zaproszenia artystek tworzących w różnych momentach w przeszłości, w różnych warunkach i w różnych – politycznie akceptowanych lub nie – stylach skrywa doniosłość konstruowania czy przywracania związków między kobietami. Ustanowienie matczynej/kobiecej genealogii nadaje kobietom podmiotowość – podkreślała doniosłość tego działania feministyczna filozofka Luce Irigaray.

Autorki esejów próbują uchwycić dynamikę relacji między kobiecą twórczością a stalinizmem, poststalinizmem i transformacją lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Między twórczą nieokiełznaną wolnością a statusem artystki porównywalnym do rzemieślniczki – jak podsumuje Swietłana Kopystiańska. Kwestia wolności znajdzie swój najpełniejszy wyraz w manifeście-eseju Vlady Ralko do jej cyklu „Widmo wolności" z 2018 roku. Prace Ralko poruszają mnie szczególnie – ciała nieludzkie, zdeformowane, mięsne, podobne tylko do cielesnych, uwięzione w załamaniach przestrzeni, w kątach, między ścianą a podłogą. Dla artystki nie ma znaczenia, czy chodzi o przestrzeń publicznych placów zabaw, czy o przestrzeń uczasowioną, czyli choćby dom funkcjonujący w okresie reżimowym. Każdy rodzaj uczasowionej przestrzeni stanowi dla malarki pole bitwy, gdzie ściera się potrzeba wewnętrznej anarchii z koniecznością ulegania normie.

Można to subwersywne napięcie między swobodą indywidualną a koniecznością podporządkowania odnieść do wizji feministycznej historii sztuki ukraińskiej, w której ważne miejsce zajmują folklorystki. Artystki ludowe – ubóstwione przez reżim stalinowski, unarodowione, nietykalne, westy narodowych kodów kulturowych – są w tej (anty)syntezie podmiotami niejednoznacznymi nie tylko ze względu na uproszczony wyraz artystyczny ich prac, lecz także ze względu na mitotwórczy i propagandowy potencjał. Za wspieraniem twórczości ludowej przed wojną stał mechanizm tworzenia infrastruktury domów twórczych, wyszukiwania artystek samouczek, a narodowe imaginarium wyzwoliło fantazmat utożsamiający ojczyznę z kobietą w funkcji matki i w funkcji chłopki. Skostnienie akademizmu popchnęło jednak poszukujących twórców awangardowych ku sztuce ludowej – w 1910 roku powstała pracownia Natalii Dawydowej, gdzie spotykali się awangardziści i awangardystki z folklorystami i folklorystkami. Awangardowe przechwycenie folkloru okazało się jednak chwilowe. Stalinizm „oswoił" folklor dla siebie jako medium propagandy, jako symbol i pierwszoplanową reprezentację kultury narodowej,

eprasa.pl b62d9b2f9d

a formalizm na blisko trzy dekady stracił reżimową legitymizację. Powojenne pokolenie twórców lat sześćdziesiątych w nowych warunkach wróciło do folklorystycznego języka artystycznego, który wtedy już sytuował się poza sztuką socjalistyczną, poza dominującym dyskursem twórczym i pozwalał na osobne funkcjonowanie na marginesie.

Tetiana Żmurko – autorka jednego z esejów w tomie – dokonuje próby wyprowadzenia folklorystycznej twórczości Kateryny Biłokur i Marii Prymaczenko z wizji znacjonalizowanej twórczości ludowej okresu ukraińskiego stalinizmu. Badaczka stara się dostrzec indywidualność tej twórczości, jej egzystencjalny wymiar, prywatne szepty w niej schowane. Mają się one wyrażać nie tyle w elementach mimetycznych czy figuralnych na poszczególnych obrazach, ile w rozpadającym się kontinuum twórczym u Prymaczenko (polityczne gesty) czy w kolorystyce kwiatowych przedstawień Biłokur, u której na bukiety, gęste w swoim gargantuicznym nadmiarze, czy kwiatowe, roślinne plątaniny pada niebiesko-srebrzyste księżycowe światło. Uproszczone, schematyczne, podręcznikowe przedstawienia roślin korzeniowych w cyklu „W poszukiwaniu korzeni" Kseni Hnytylskiej z 2007 roku można w tej kobiecej ludowej konstelacji traktować jako późny komentarz, zaangażowany w krytykę nadużyć związanych z naturą, a także z ukraińską tożsamością narodową.

Podobny ruch nadawania nowych znaczeń czyni Tetiana Koczubińska, analizując twórczość Julii Ukader, żołnierki na frontach II wojny światowej i powojennej rzeźbiarki. Wysubtelnieniem, dążeniem do uniwersalizowania wizerunków kobiet i mężczyzn Ukader skłaniała się ku kobiecej archaiczności, ku zwrotowi do natury. Nadawała swoim monumentalnym socrealistycznym realizacjom powabu, gracji i delikatności. Można by wyobrazić sobie spotkanie Julii Ukader z Oksaną Czepełyk i Iryną Lastowkiną, artystkami feministycznymi z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, autorkami metalowych szkieletów kobiecych sukien symbolizujących ujarzmienie, podporządkowanie kobiet w patriarchacie. Mogłoby w czasie takiego spotkania dojść do przymiarki – do ubrania hipnotycznej kobiecej figury Ukader wyrzeźbionej w modrzewiu syberyjskim w feministyczny stelaż. Szkielety sukien zapowiadały kurs ukraińskiej sztuki zaangażowanej feministycznie, uderzającej w niższy status społeczny kobiet. Ukader związki z feminizmem są odtwarzane dzisiaj, anachronicznie może, chociaż feministyczny akt wchłonięcia złożonej, dwuznacznej wykładni rzeźbiarki na temat jej praktyk twórczych pozwala zachować kompletność tej przemyślanej artystycznie i emancypacyjnie oraz ideologicznie uwikłanej postawy.

Kobiecość w narracji kulturowej i ukraińskim dyskursie politycznym przybierała postać Matki Ojczyzny w okresie radzieckim jako świeckie przeciwstawienie kultowi Bogurodzicy. Miała też formę Berehyni, opiekunki rodziny – do tej fantazji

eprasa.pl b62d9b2f9d

odwoływali się intelektualiści końca lat osiemdziesiątych XX wieku, rekonstruując patriarchalne tradycje. Ukraińskie kobiety mediowały w transferze ukraińskich wartości i tradycji, wywodziły się z dyskursów literackich i ludowych, w których fantazmatyczna kobieta identyfikowana była z macierzyństwem, ziemią i religią. Feministyczne interwencje w kulturowe imaginarium wyrażają się w proteście wobec (nad)używania kobiecego ciała zarówno upolitycznionego, jak i podległego w sferze prywatnej. Performance *Tylko dla mężczyzn albo narzeczony jak malowany zjaw mi się w lustrze* Alevtiny Kakhidze przesuwa granicę między jawnym a prywatnym protestem, daje artystce prawo do podmiotowości i poszerzania granic własnej przestrzeni, gdy ta siedzi przed lustrem w sali z wyłącznie męskimi gośćmi i odtwarza przebieg rytuałów związanych z poszukiwaniem męża.

Zakończeniem, ale zarazem punktem, do którego wracałam kilkakrotnie w trakcie lektury, są materiały archiwalne zajmujące blisko jedną piątą objętości tomu. Znalazły się tutaj portrety artystek w ich pracowniach, w ich pokojach. Artystki zostały uchwycone w trakcie malowania, tworzenia, na tle swoich prac, na rusztowaniach przy dziełach monumentalnych, przy warsztacie tkackim. Skupione, zadowolone, zamyślone, naturalne i pozujące. Wielkie, bo mogą mówić za siebie. Artystki w ich własnych twórczych przestrzeniach.

Emilia Kolinko

Tbilisi nie dotrzymuje tajemnic

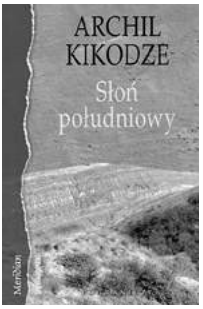

Arczil Kikodze, *Słoń południowy*, przeł. Magdalena Nowakowska, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2020

Nie oceniaj książki po okładce. To powiedzenie jak żadne inne pasuje do *Słonia południowego* Arczila Kikodzego. Gdybym nie znała nazwiska autora, nie widziała jego filmów ani nie była fanką gry aktorskiej, na pewno za żadne skarby nie sięgnęłabym po tę lekturę. Dawno bowiem nie widziałam tak odstręczającej okładki.

Ale nie o okładce przecież, a o treści. A wierzcie mi, ta jest absolutną i całkowitą przeciwnością opakowania.

Nie wiem, czy to pandemiczna tęsknota za Tbilisi powodowała we mnie (dosłownie!) kołatanie serca podczas lektury, czy raczej styl Kikodzego i jego nadzwyczajna lekkość czytania w ludziach jak w książkach. Pewnie jedno i drugie, niemniej *Słoń południowy* to esencja Gruzji. *Cremé de la cremé* gruzińskości. Ale od początku.

Przede wszystkim: forma. Ta powieść jest jak film. Ma doskonale dopracowane sceny (koniecznie zwróćcie uwagę, jak Kikodze gra światłem!) i sprytną pracę „kamerą". „Reżyser" (bo tak chcę nazywać pierwszoosobowego narratora) najpierw wyłapuje w przestrzeni człowieka, płynnie przechodzi z planu ogólnego w pełny, tylko po to by za chwilę pokazać detal.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Bo cóż innego bardziej opowie o człowieku niż szczegół? Widzimy więc niebieski, wyciągnięty sweter Tazo, zbyt mocno pomalowane oko Neli czy dym, który unosi się z przestrzelonego buta Leo. Dodatkowo: precyzja w sekwencjach, doskonała scenografia, dopracowane didaskalia, idealne dialogi.

Tyle że tego obrazu nigdy nie zobaczymy, bo „kiedy ktoś opowiada film klatka po klatce, to znaczy, że nigdy go nie nakręci". Musimy go sobie wyobrazić.

Wszystko dzieje się podobno w ciągu jednej długiej soboty, ale „widz" (bo tak chcę nazywać czytelnika) ze współczesności płynnie przechodzi w burzliwe i pozbawione prądu lata dziewięćdziesiąte. Albo wraca do wspomnień o przerażającym sąsiedzie – Ławrientiju Berii, o którym mówiło się tylko szeptem. Albo do czasów, o których zwykło się powiadać, że zdarzyły się na pewno. Bo na Kaukazie przecież wszystko, co mówią, zdarzyło się na pewno. I było właśnie tak, jak mówią. Nie inaczej!

Wszystko podobno dzieje się w jednym mieście, ale „widz" płynnie przenosi się w góry Swanteii i szuka Dżejrana, energorozbójnika, który strzelał w linię wysokiego napięcia łączącą Gruzję z Rosją, bo burczała i przyprawiała go o ból głowy. Albo kręci się po Wilnie w poszukiwaniu otwartego baru. Albo towarzyszy „reżyserowi" na festiwalach w Mińsku, Pradze czy lotnisku w Atenach. Jest „wszędzie", ale najczęściej w Tbilisi.

Przede wszystkim: miasto. A tu „reżyser" „widza" nie oszczędza. Zmusza go do przyglądania się ludziom i nadstawiania ucha. Pokazuje, że jeżeli wsłucha się w głosy przechodniów, to „nic sensownego i tak nie usłyszy". Prowadzi od zakapiorskich zakamarków Ortaczali, poprzez malownicze Sololaki, aż po Werę, by trafić prosto na Kiaczelego 11, czyli tam, gdzie wszystko się kończy i zaczyna. Gdzie jest się u siebie, ale ciągle trzeba być czujnym. Bo całe to miasto „jest bardzo podobne do więzienia o zaostrzonym rygorze. Nie możesz sobie pozwolić nawet na chwilę relaksu, nawet na wolności nie jesteś wolny. Nikt nie daruje ci chwili słabości i zapomnienia. Nic się tu nie ukryje, jakby z jednej celi do drugiej, z jednej strefy do drugiej, człowiekowi towarzyszyło, z czasem go wręcz wyprzedzało, niewidzialne zaświadczenie z wypisanymi na nim wszystkimi godnymi i niegodnymi uczynkami. Z przedszkola – do szkoły, ze szkoły – na uniwersytet, z uniwersytetu – w dorosłość, z dorosłości – w starość".

I na Kiaczelego – jak w całym Tbilisi – jest wszystko: niespełniona miłość, strach, duma, tęsknota i dojmująca samotność. Jest też ciągłe czekanie. Na lepsze czasy, na wiadomość na Facebooku, na czyjeś spojrzenie, na śmierć. Czasem nadchodzi tylko śmierć.

„Tbilisi nie umie dotrzymywać tajemnic" – czytamy u Kikodzego. Nie umie, bo to miasto to przede wszystkim relacje i wzajemne stosunki. Mediko dumnie udaje, że nie czeka, aż Leo wyjdzie z więzienia, ale czeka. I wszyscy wiedzą, że czeka. I za to ją szanują. Mediko nie dotyka bmw, które niszczeje latami pod kamie-

eprasa.pl b62d9b2f9d

nicą, bo ukradł je dla niej Leo w czasach, kiedy mówiono o nim „to dopiero koleś". Ale samochodu nikt nie rusza, bo wiadomo, do kogo należy. „To miasto jest niewiarygodnie małe", choć przecież mieszka w nim prawie połowa Gruzji.

Przede wszystkim: rozdroże. Banalnie: między tradycją a wdzierającą się współczesnością, między rodziną a indywidualnymi wyborami, między Wschodem a Zachodem. Z jednej strony wirtualny świat Facebooka, pracy na saksach, z drugiej – kłanianie się ikonie, wendeta i męskie *razborki*. Z jednej strony trzymana za wszelką cenę rodzina, z drugiej – ojcowie, którzy nie potrafią rozmawiać ze swoimi dziećmi, bo przecież nigdy nie powiedzieli, że dadzą im swoje nazwisko i się nimi zajmą. Nic nie obiecywali, a matkom „były po prostu potrzebne geny". Albo wujowie, którzy pytają bratanka, czy pokonuje wszystkich chłopaków w klasie. Albo teściowe, które nie zwracają uwagi na fakt, że syn się ożenił i nie rozmawiają z synową. No, może pomijając scysje.

I toasty. Za przodków, za rodzinę, za miłość… Powtarzalność i tandeta dla turystów. Zwłaszcza dla nas, Polaków, głodnych czarnego kachetyjskiego wina, dla których Gruzja to arkadia, ziemia mlekiem i miodem płynąca, przystań i świętość niepokalana. Gruzja jest naszą młodszą siostrą, naszą kolonią, naszym krzywym zwierciadłem.

Tak, my też jesteśmy w tej książce. Mariusz Albiniak (nazwisko żywcem wzięte od jednego z polskich ekspatów, choć muszę przyznać, znając osobiście ekspata, że tylko część cech się pokrywa), „taki postawny człowiek, dobry katolik", przy pierwszej karafce prawił „o świętości rodziny i konieczności posiadania żony, przy drugiej zaś okazało się, że odnosił sukcesy nie tylko w bieganiu, ale też mógł pochwalić się osiągnięciami w podbojach młodych kobiet". I chciał opowieści o walce z systemem, bo wiadomo, że tym, co przede wszystkim łączy Polaków i Gruzinów, jest nienawiść do Rosji. I nieważne, że w Gruzji warto było być chuliganem, bo tylko tego system nie pokona. I nieważne, że historia stosunków gruzińsko-rosyjskich jest „niekończącą się sagą kolaboracji, a nie walki. Ale pan Polak się nie zgadza, przecząco kręci głową i nie zamierza uwierzyć w to, co mówię". Wiadomo, my, Polacy, wiemy najlepiej!

Ale spokojnie. Są też Francuzi, Niemcy, Holendrzy, „pełno kaleczących gruziński wypłoszów z Europy". Tych, którzy prowadzą biofarmy i przekonują Gruzinów do ekologicznych systemów i całego tego zrównoważonego rozwoju. Ci, którzy chcą czuć region, i pokracznie udowadniają innym, że czują go najlepiej. Jak Patrycja, matka dwójki gruzińskich dzieci, których ojcowie nie pomagają, ale ona wychowuje je na prawdziwych gruzińskich mężczyzn. Albo jak „jeden z osiadłych tu kulturalnych uchodźców z Kopenhagi, który dopiero tu poczuł się jak prawdziwy mężczyzna. Tę dewiację jestem w stanie jeszcze zrozumieć – jego żona rodem z Zestafoni robi mu codziennie na śniadanie chaczapuri, ale Patrycja? Ta dziewczyna nie jest głupia, po prostu

eprasa.pl b62d9b2f9d

uparła się i już. Nie przekuje jej fakt, że tutejsi ją okłamują, wykorzystują i nie oddają pożyczonych pieniędzy. Jest bardziej Gruzinką niż sami Gruzini, i to sprawia jej przyjemność".

Oni wszyscy, niestety, zapominają, że „wioska tylko w gruzińskich filmach jest serdeczna i litościwa".

Mimo wszystko z Gruzinami jest tak, że albo się ich kocha, albo nienawidzi. Myślę, że tak samo jest z tą książką. Ja jestem w tej pierwszej grupie.

I jestem pewna, że nie wystarczy znać język gruziński, by tłumaczyć Kikodzego. By tłumaczyć Kikodzego, trzeba znać Gruzję tak dobrze, jak zna Magdalena Nowakowska.

Obłóżcie zatem *Słonia* w szary papier i zabierajcie się do lektury. Koniecznie! A, ekspaci, szukajcie w nim siebie. Powiadam wam, znajdziecie!

Stasia Budzisz

W Yad Vashem jak w IPN?



Yishai Sarid, *Potwór pamięci*, przeł. Joanna Stocker-Sobelman, Michał Sobelman, Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej, Wojnowice 2021

Zwykło się uważać, że refleksję nad wspólnymi dziejami Żydów i Polaków należy prowadzić z dwóch odrębnych perspektyw. Że historyczna zbieżność stanowi awers i rewers tej samej historii. Yishai Sarid w powieści *Potwór pamięci* udowadnia, że mimo wszelkich różnic „pracy z pamięcią" w Izraelu i w Polsce towarzyszą niemal identyczne dylematy etyczne i emocje.

Powieść Sarida ma formę epistolarną. To list (lub raczej coś na kształt notatki służbowej) do dyrektora Instytutu Yad Vashem napisany przez młodego, obiecującego współpracownika. Historyk tłumaczy się z incydentu, do którego doszło za jego sprawą w czasie wypełniania obowiązków. Epistoła pełna jest rozczarowania, narastającego rozgoryczenia, prób nadania pracy odpowiedniej jakości i wymaganej jej charakterem powagi. Nadawca listu obronił doktorat na temat hitlerowskich obozów koncentracyjnych, marzy mu się kariera akademicka. Tymczasem przyszło mu oprowadzać wycieczki po obozowych muzeach, pełnić funkcję konsultanta w czasie uroczystości rocznicowych oraz asystenta pewnego wpływowego, a przy tym antypatycznego niemieckiego reżysera. Rola piastuna pamięci o najczarniejszych latach w narodowej historii powoduje obciążenie psychiczne, stopniowo prowadząc do załamania nerwowego. W tle majaczą oczywiste życiowe trudy i kłopoty: kariera, domowe finanse, spowodowane częstymi wyjazdami do Polski rozłąki z żoną i synem, który z kolei nie umie odnaleźć się w przedszkolu.

Najważniejsze w książce Sarida są porachunki ze zinstytucjonalizowaną polityką historyczną. Jako przewodnik opiekujący się grupami młodzieży szkolnej

eprasa.pl b62d9b2f9d

w czasie obowiązkowych wizyt w Auschwitz, Birkenau i Treblince musi przezwyciężyć liczne trudności w komunikacji: „starałem się przedrzeć przez te dżinsy i legginsy, przez loki i tatuaże, ciężkie płaszcze, szybki slang". Gdy oprowadza izraelskich oficjeli, stara się przemycić jak najwięcej informacji i trwożącej powagi w ich szybkie, „odbębniane" rytualne wizyty w miejscach pamięci. Jeszcze gorzej jest w przypadku zamożnych turystów, którzy zwiedzanie oświęcimskiego muzeum traktują jak uciążliwy obowiązek, nie wykazują minimalnego choćby zainteresowania narodową historią. Od hołdu dla ofiar Holokaustu wolą zakupy i wizyty w hotelowym kasynie. Próbę przekazania im niezbędnego minimum wiedzy sabotują za pomocą pełnych hipokryzji frazesów o „okropieństwach wojny", które rzekomo powodują potężne obciążenie emocjonalne. Jak się okazuje, nie dość wielkie, by nie cieszyć się zakupami i grą w kasynie.

Wśród wielu wydarzeń, które wybijają narratora z roboczego rytmu i z psychicznej stabilności, szczególną rolę odgrywają dwa zadania. Zaproponowano mu konsultowanie projektu edukacyjnej gry komputerowej realizowanej przez izraelski start-up. Dzięki najnowszym technologiom i rozległej wiedzy bohatera – eksperta w dziedzinie form organizacji obozów koncentracyjnych – powstaje coś na kształt „symulatora kacetu". Przedstawienie pauperyzacji Holokaustu poprzez popkulturowe interpretacje musi budzić etyczne wątpliwości. Równie absurdalne są organizowane z udziałem sił zbrojnych uroczystości upamiętniające okrągłą rocznicę konferencji w Wannsee. Przypomnijmy, że 20 stycznia 1942 roku w Berlinie odbyło się zebranie, podczas którego zaplanowano ramowy kształt przemysłowego ludobójstwa. Niemcy chcą przypomnieć o znaczeniu tego haniebnego wydarzenia za pomocą intelektualnej debaty, Izraelczycy postanawiają urządzić pokaz współczesnej żydowskiej siły i narodowej krzepkości. Planują coś w rodzaju widowiska militarno-historycznego (choć niepopularnych u nas rekonstrukcji). Oddział izraelskich komandosów ma dokonać symbolicznego „odbicia" (!) obozu. W czasie narad, wizji lokalnych i korespondencji dyskutuje się o technicznych detalach, aspektach logistycznych i oprawie muzycznej. Zdaje się, że nikt nie widzi nic niestosownego w tego rodzaju przedstawieniu. Bohater stara się na przekór absurdom zachować profesjonalizm i jak najskuteczniej służyć swą ekspercką wiedzą.

Można zaryzykować tezę, że stres, wahania i wątpliwości muszą przypominać te, które bywają udziałem pracownic i pracowników polskich oraz środkowoeuropejskich organizacji zajmujących się propagowaniem historii lub opieką nad narodowymi traumami. Potrafię sobie wyobrazić, że w podobnych tarapatach znajduje się na przykład młody pracownik Instytutu Pamięci Narodowej lub urzędnik innej instytucji, która zajmuje się organizacją martyrologicznych uroczystości.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Saridowi udało się odkryć nasz wspólny – polski i żydowski – problem. W ostrym publicystycznym tonie przedstawia meandry postpamięci, motywowane politycznie obowiązki sprawowania opieki i propagowania wiedzy o dziejowych krzywdach.

Potwora pamięci można uznać za „powieść interwencyjną". Rozbija komunały, ukazuje, w jaki sposób nieumiejętna polityka historyczna trywializuje przerażające wydarzenia. Przy okazji pozwala rozliczyć się z uprzedzeniami antysemickimi, antypolskimi i nacjonalizmem, których paroksyzmy obserwuje bohater. Warto dodać, że zdarza mu się głośno zdziwić tym, że Polacy budzą u jego podopiecznych większą niechęć niż niemieccy naziści, że trudne lekcje historii czasem wzbudzają agresję zamiast umiłowania pokoju.

Dobrze by się stało, gdyby ta powieść zyskała popularność wśród rodzimych prawicowców. Nie tylko tych spod znaku tępego nacjonalizmu, ale również tych, którzy resentymenty kryją pod maską cywilizacyjnej ogłady. Lektura potwierdzi kilka ich przypuszczeń, ale być może – przez porównanie perspektyw i przyjrzenie się studium przypadku – pozwoli otrząsnąć się z nacjonalistycznych obsesji i uprzedzeń. Może jakąś zmianę perspektywy spowoduje na przykład fragment, w którym licealista wydrapuje na ścianie jednego z obozowych baraków napis „śmierć lewakom".

Potwór pamięci to nie tylko powieść polityczna, ale też studium obciążeń, które stają się udziałem osób zawodowo zajmujących się badaniem ludzkiego okrucieństwa. Bohater zmienia się pod wpływem pracy. Zaniedbuje wygląd, zaczyna się wręcz przebierać za postać sprzed dekad. Staje się konfliktowy, traci zawodowy dystans i panowanie nad swoim zachowaniem. W końcu zaczyna czuć obecność duchów żydowskich ofiar.

O ile trzeba uznać *Potwora pamięci* za bardzo udaną powieść publicystyczną, o tyle zawarty w niej portret psychologiczny młodego, ambitnego i nieco narcystycznego naukowca jest niedopracowany. Historia jego szaleństwa została potraktowana skrótowo, nie rozwija się płynnie, znika wśród makabrycznych pomysłów na gry, przedstawienia i błyskawiczne wizyty w miejscach pamięci. Ramą wątku psychologicznego staje się sama forma gatunkowa. Bo skoro list z wyjaśnieniami liczy sobie 140 stron, to w kontekście biurokratycznym (jako notatka służbowa) jest tekstem nadmiarowym, przekraczającym zwyczajowe granice urzędowej korespondencji. Opowieść o ekscesie byłaby poruszająca, gdyby Sarid poprzestał na tym delikatnym geście, bez posiłkowania się sugerowaniem kryzysu psychicznego narratora.

Niezależnie od kilku artystycznych mankamentów *Potwór pamięci* to ważny głos w debacie o polityce pamięci i polityce historycznej oraz literacka analiza etycznych dylematów, które spotykają historyków po obu stronach Morza Śródziemnego.

Jan Bińczycki

eprasa.pl b62d9b2f9d

Domknięcie trylogii



Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń, *Łukaszenka. Niedoszły car Rosji*, wyd. 2, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

Andrzej Brzeziecki i Małgorzata Nocuń mają z Białorusią i Białorusinami szczególną relację. Dobrze ich znam, więc coś o tym wiem. Zawsze miałem poczucie, że odczuwają wobec nich *Hassliebe*: z jednej strony ten kraj i społeczeństwo ich po ludzku męczą i irytują, ale z drugiej – pociągają, fascynują. Najlepszym dowodem na siłę tej fascynacji niech będzie fakt, że pisarsko nie potrafią się od nich oderwać.

Wydawnictwo Czarne opublikowało drugie wydanie biografii Łukaszenki ich pióra – *Łukaszenka. Niedoszły car Rosji*. Pierwsze wydanie (nakładem Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak) ukazało się w czerwcu 2014 roku, a więc świeżo po obaleniu Wiktora Janukowycza, aneksji Krymu i u progu wojny rosyjsko-ukraińskiej. Te wydarzenia – jak i wiele innych – diametralnie wpłynęły zarówno na Łukaszenkę, jak i na cały region. Tym ciekawiej wrócić do tej pozycji, bo po pierwsze, dziś czyta się ją w innym kontekście, po drugie zaś – została poszerzona o opis wydarzeń rozgrywających się po 2014 roku (to opis nieco mniej reporterski, acz porządkujący).

Książka stanowi domknięcie trylogii Brzezieckiego i Nocuń poświęconej Białorusi – kilkanaście lat temu ukazały się słynne *Kartofle i dżinsy* oraz nieco mniej znany *Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi* (do tego ostatniego wracam szczególnie chętnie). Wydane w 2007 roku *Kartofle i dżinsy* chyba jako pierwsza pozycja zaznajamiały polskiego czytelnika literatury faktu z tym krajem, bodaj do dziś najmniej znanym spośród polskich sąsiadów. Biografia Łukaszenki to dobra klamra spinająca te książki – w dwóch poprzednich autorzy pisali dużo o opozycji.

W tej biografii Brzeziecki i Nocuń nie kreślą czarno-białego portretu Łukaszenki. Tam gdzie trzeba, skrytykują opozycję, gdzie trzeba – dyktatora, ale rozumieją, że sytuacja polityczna na Białorusi nie sprowadza się do walki dobrej prozachodniej opozycji ze złym prorosyjskim watażką. Piszą na przykład: „Łukaszenka zasługuje na uczciwą ocenę. To – na swój sposób – polityk wybitny. Jest na Białorusi znienawidzony, zgoda. Ale jest też kochany. Jest dyktatorem i uśpił swój kraj, w dużej mierze Białoruś wciąż tkwi w Związku Radzieckim, ale też po ponad dwóch dekadach rządów Łukaszenki nikt na Białorusi nie powie: »Jestem tutejszy«. Każdy powie: »Jestem Białorusinem«". Albo: „Łukaszenka na swój sposób kocha Białoruś. Miłością despoty. Ślepą i zgubną". Miłość Łukaszenki do Białorusi – nawet jeśli toksyczna i chora – to wątek ważny. Na marginesie można dodać, że Łukaszenka w poprzednich latach był też według badań ogromnie popularny w takich krajach jak Litwa czy Ukraina. Książ-

eprasa.pl b62d9b2f9d

kę autorzy kończą wizją jego odejścia (niekoniecznie prędkiego) i pytaniem: „Pozostaje tylko pytanie, jak szybko jego rodacy zaczną za nim tęsknić".

Brzeziecki i Nocuń mogą formułować takie oceny – być może szokujące dla niektórych polskich czytelników – bo dobrze znają Białorusinów. Wiedzą, że opozycja i Łukaszenka to wierzchołek tamtejszej góry lodowej. A co jest pod taflą? Cała reszta społeczeństwa, która dotąd na ogół była pasywna, cicha, a kilka miesięcy temu nagle zaczęła – po raz pierwszy od wielu lat, a może po raz pierwszy w ogóle – tak głośno domagać się swoich praw. Białorusini udowadniają, że opowieść o nich jako o poradzieckich ludziach Północy nie jest prawdziwa. Łukaszenka to jeden z najdłużej rządzących na świecie polityków i długo posiadał rzeczywistą legitymację do rządzenia. Teraz się to zmieniło i komentatorzy mają problem ze znalezieniem odpowiedniego określenia: prezydent?, dyktator?, uzurpator?, *de facto* prezydent?

Temat Białorusi nie jest w Polsce literacko wyczerpany – wręcz przeciwnie. Potrzeba nam książki reporterskiej, która opowie nie tylko o uwikłaniu w wielką politykę, ale też o białoruskiej codzienności. Codzienności nie orientalizowanej, nie poetycko-onirycznej, nie opowiadanej przez Rzeczpospolitą Obojga Narodów i pograniczność, ale przedstawionej przez reporterów i poprzez „zwykłych" ludzi. Polski rynek wydawniczy potrzebuje o Białorusi takiej książki, jaką dostał od Jeleny Kostiuczenko, autorki zbioru *Przyszło nam tu żyć. Reportaże z Rosji*. Kostiuczenko snuje się po Rosji *tropą* problemów Rosjan, a w całej książce nazwisko Putina pada tylko sześciokrotnie – w tym pięć razy to cytaty z rozmówców. Próbą takiego ujęcia Białorusi była wydana niedawno *Ojczyzna dobrej jakości. Reportaże z Rosji* – zbiór reportaży różnych autorów i autorek pod redakcją Małgorzaty Nocuń. Autorzy i autorki znaleźli się tam blisko tej „trzeciej Białorusi" – wcześniej pasywnej, niezwiązanej ani z obozem władzy, ani ze zinstytucjonalizowaną opozycją. Książkę pisali jeszcze przed wybuchem wiosenno-letnich protestów i uchwycili wiele ciekawych procesów, a reportaże, na przykład Rafała Grzeni, Kai Puto, Ziemowita Szczerka czy Jędrzeja Morawieckiego, zasługują na uwagę.

Dobrze, że Wydawnictwo Czarne przypomniało *Łukaszenkę. Niedoszłego cara Rosji*. Brzeziecki i Nocuń poprowadzili czytelnika przez jego życie, prezydenturę, wytłumaczyli jego fenomen. Zrobili to i z tym kapitałem pozostawiają czytelnika widzącego dziś ogromne zmiany dokonujące się na Białorusi. Dzięki tej książce – najlepiej czytanej razem z dwoma pozostałymi z ich białoruskiego cyklu – czytelnik będzie mógł nieco lepiej zorientować się w skomplikowanej sytuacji nad Świsłoczą i Niemnem.

Zbigniew Rokita

eprasa.pl b62d9b2f9d

Głosem milczącej większości

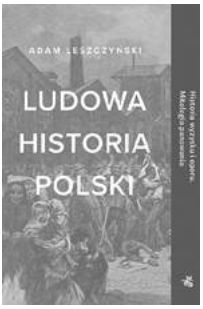

Adam Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, WAB, Warszawa 2020

Adam Leszczyński opowiedział historię Polski, nie pisząc o jej chrzcie, o bitwie pod Grunwaldem czy o odsieczy wiedeńskiej. Za ważniejszą cezurę niż rozbiory uznał rok 1864 i zniesienie pańszczyzny w Królestwie Polskim. Dlaczego? Bo zniesienie pańszczyzny, a więc zadekretowanego niewolnictwa, było dla większości mieszkańców ziem polskich zapewne istotniejsze niż rozbiory i wszystkie zrywy niepodległościowe razem wzięte.

Ludowa historia Polski Leszczyńskiego stawia sobie za cel odejście od dominującej perspektywy opowiadania o polskich dziejach – nacjonalistycznej i elitarystycznej. Przyjmuje ona punkt widzenia milczącej większości. Stanowiły ją osoby na różne sposoby wykluczane i dyskryminowane: chłopi, kobiety, robotnicy czy Żydzi. To opowieść o tych, którzy nie pisali historii, a których historia pisała.

To zadanie trudne. Praca historyka opiera się bowiem na dokumentach, a te wytwarza elita. Historia heroiczna, sprowadzana głównie do władców, szlachty, bitew i traktatów, jest dobrze udokumentowana, pełna anegdot, barwna. Tymczasem dzieje warstw „upośledzonych" należy rekonstruować z okruchów pamięci, ułamków artefaktów czy z opowieści uprzywilejowanych. Jednocześnie uczciwy historyk nie może zmilczeć na przykład dziejów chłopstwa, gdyż „chłopi stanowili siedem czy osiem dziesiątych populacji Rzeczypospolitej przez dziewięć dziesiątych czasu jej istnienia".

Leszczyński podejmuje ten trud, jednocześnie nie osuwając się w chłopomanię i nadmierny zachwyt nad folklorem (a wręcz bywa surowy: przyznaje, że „ofiary często nie bywają sympatyczne. Przemoc i opresja nie sprzyjają wyrabianiu dobrych manier"). Krytykuje jednocześnie historyków takich jak Andrzej Nowak (autor tworzący monumentalne *Dzieje Polski*) – nie tylko za koncentrowanie się na historii elity rządzącej, ale też za opowiadanie historii kształtowania się zbiorowej tożsamości Polaków przez pryzmat katolicyzmu i odwiecznego konfliktu z Rosją i Niemcami.

Leszczyński postępuje inaczej – *gros* jego dzieła zajmuje historia gospodarcza, stara się unikać „reinterpretacji mechanizmów konfliktu ekonomicznego w kategoriach etnicznych". Nie opowiada on dziejów Polski tak, jak komentator sportowy komentuje mecz polskiej reprezentacji. Nie projektuje też teraźniejszości na przeszłość. Pozwala mu to wyswobodzić się z krępujących dla wielu historyków aksjomatów, przez co książka stawia fundamentalne pytania (niektóre wprost, inne nie). Na przykład: czy większość Polaków cieszyła się w 1918 roku z niepodległości? Jaka część z nich w danych latach sama siebie nazwałaby Polakami? Warszawa przegrała w 1921 roku plebiscyt na Górnym Śląsku, ale czy wygrałaby go w re-

eprasa.pl b62d9b2f9d

gionach „rdzennie polskich"? Polska nie jest bowiem dla Leszczyńskiego absolutem, o którym można pisać dobrze albo wcale. Sam autor deklaruje, że państwo stanowi dla niego narzędzie redystrybucji zasobów i przemocy.

Pyta na przykład, po co to państwo praszczurom było w ogóle potrzebne. I udziela odpowiedzi: „Powstanie księstwa Mieszka wypada więc uznać za realizację klasycznego scenariusza opisywanego m.in. na przykładzie wczesnych państw afrykańskich. (…) Wczesne państwa afrykańskie w znakomitej większości powstały dlatego, że zaistniał zewnętrzny popyt na towar, który mogły eksportować – w tym wypadku niewolników". Mieszko nie był bowiem polskim patriotą, a handlarzem niewolników. Ta desakralizacja i odbrązowienie jest ożywcze i może przynieść czytelnikowi ulgę.

Ciekawe są rozważania Leszczyńskiego o polskim kolonializmie. Mógłby osunąć się on w atrakcyjną opowieść o koloniach na wschodzie Rzeczpospolitej, ale podkreśla uczciwie, że los polskiego chłopa w XVIII wieku i karaibskiego niewolnika był zgoła odmienny: polski chłop nie był na ogół sprzedawany, mógł dziedziczyć, mógł posiadać własność ruchomą, mógł sam gospodarzyć na ziemi. Jednocześnie pan często mógł go bezkarnie zabić, a chłop musiał świadczyć panu niewolniczą pracę. Polszczyzna okazuje się tu zbyt uboga i trudno nazwać polskiego chłopa w XVIII wieku niewolnikiem, ale też nie sposób nazwać go człowiekiem wolnym. Najciekawszy jest jednak fakt, że „Polacy" (użyjmy umownie współczesnego słowa) skolonizowali sami siebie. Polski pan nie miał bowiem niewolników na Karaibach czy na Zanzibarze. Miał ich obok domu. Leszczyński pisze: „Karaibscy plantatorzy mieli czarnych niewolników, potomków Chama, sprowadzanych z Senegalu czy Gwinei; polsko-litewski szlachcic miał własnego rodzimego chama". Być może dlatego z takim trudem przychodzi nam dostrzeżenie tej pełzającej kolonizacji i zniewolenia. Inna sprawa, że kolonizacja nie zamorska, a lądowa, ościenna (jak w przypadku Amerykanów czy Rosjan) jest mniej widoczna i łatwiej było jej uniknąć fali dekolonizacji. W kontekście Wschodu zaś, czytając o strukturalnym zapóźnieniu Polski wobec Zachodu, można się zastanowić, czy XIV wiek, kiedy Rzeczpospolita zaczęła orientować się na wschód, nie był dla niej zgubny? Czy opanowywanie wielkich terenów na wschodzie, ta polska Syberia, nie skazała Polski na los środkowoeuropejskiej Rosji i nie utrudniła modernizacji kraju?

Leszczyński pisze również o „rasizmie bez koloru". Wyższe warstwy, eksploatując niższe, racjonalizowały to nie tylko gospodarczo czy religijnie, ale i etnicznie, a nawet rasowo. Musiano tak postępować, bo – w przeciwieństwie do na przykład Ameryki – klasa panująca nie różniła się tu od chłopstwa wyznaniem, kolorem skóry czy pochodzeniem. W rozmowie z Gazeta.pl Leszczyński mówił: „Mniej więcej od końca XVI wieku w naszej historiografii upowszechnia się tzw. teo-

eprasa.pl b62d9b2f9d

ria podboju – przekonanie, że nad Wisłą żyją dwa odmienne ludy: panowie są wojownikami, tak jak ich przodkowie, i dlatego sprawują władzę, a chłop należy do całkiem innego ludu, gorszego". Pogląd o różnym pochodzeniu etnicznym szlachty i chłopstwa miał status wiedzy naukowej do początku XX wieku – nawet gdy kłóciło się to z mitem o Piaście Kołodzieju i chłopskim rodowodzie Polaków.

Najciekawsze są passusy, w których Leszczyński opowiada o znanych wydarzeniach z mniej znanej perspektywy. Mówi na przykład: „Historia pokoju, porządku i wzrostu gospodarczego w XIX wieku była taką dla klas wyższych; dla wszystkich pozostałych – robotników fabrycznych w Wielkiej Brytanii, francuskich rolników, mieszkańców Afryki i Azji kolonizowanych przez europejskie mocarstwa, był to »świat podbojów, przemocy, głodu i wyzysku«". Potrafi podkreślić też korzyści, jakie rozbiory przyniosły chłopstwu i proletariatowi, czy pożytki, jakie chłopstwo czerpało z II wojny światowej: w 1939 roku nagle zniknęły długi u Żydów, zniknęło ziemiaństwo, początkowo nie ściągano skutecznie podatków, ceny żywności szybko rosły, na czym chłopi zarabiali krocie. Miasta wyprzedawały towary luksusowe i maszyny, chłopów było stać na ich zakup. Później przyszły kontyngenty i przemoc, ale Leszczyński sugeruje, że poczucie wzrostu zamożności się utrzymywało.

Podobne przykłady można byłoby przytaczać długo. Książka Leszczyńskiego jest skazana na bycie kanoniczną, ale oby nie pomnikową. Bardzo wiele tez *Ludowej historii Polski* jest zresztą znanych nie od dziś. Największą wartością dzieła Leszczyńskiego nie jest jednak dotarcie do nowych faktów, a wykonanie ogromu pracy polegającej na ich uporządkowaniu, uczciwym przedstawieniu, zupełnej zmianie perspektywy oraz spopularyzowaniu w głównym nurcie debaty historii ludowej. Jednocześnie autor uczynił to w sposób niehermetyczny, łącząc swoje dwa charyzmaty: naukowca i dziennikarza.

Zbigniew Rokita

Sprzedaż dóbr rodowych



Aleksandra Leyk, Joanna Wawrzyniak, *Cięcia. Mówiona historia transformacji*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020

Cięcia to obszerny zapis historii mówionych, rezultat rozległego projektu badawczego autorek *Od socjalistycznej fabryki do międzynarodowej korporacji*, prowadzonego w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego w latach 2010–2018. Tytuł książki jest adekwatny i symboliczny, bo cięcia dotyczyły nie tylko zatrudnienia, ale też relacji międzyludzkich, które w pracy powstawały, a może nakładały jakiś rodzaj protezy na szwankującą gospodarkę socjalistyczną.

Gospodarka niedoborów sprzyjała tworzeniu nieformalnych więzi, które

eprasa.pl b62d9b2f9d

trudno piętnować, skoro służyły zaspokojeniu podstawowych potrzeb. Autorki cytują inne badaczki, które pokazują, że pracownicy traktowali socjalistyczne przedsiębiorstwo jako przedłużenie strefy prywatnej, a nie jej zaprzeczenie – w wielu zakładach zatrudniano całe rodziny, nawet trzypokoleniowe, wyjeżdżano razem na wczasy itd. Takie przedsiębiorstwo charakteryzowało się skomplikowanymi relacjami władzy, nakładanymi na kategorie płci – kobiety zyskały prawo do pracy, ale ponieważ oczekiwano od nich pogodzenia pracy zawodowej i domowej, rzadko awansowały.

Zero przytulności, stres, wszyscy na widoku – mówiły pracownice zanonimizowanego zakładu chemicznego po przejęciu go przez zagraniczne koncerny. Nie ma w tekście pytań, a głosy bohaterów są ciekawe i charakterystyczne (wybór powstał z czterokrotnie większego zasobu). Rozmowy prowadzono z kadrą kierowniczą i pracownikami fizycznymi, kobietami i mężczyznami, ludźmi, którzy w zakładach dotrwali do emerytury, których zwolniono i którzy sami odeszli, bo po przemianach czuli się wypaleni. Dzięki plastycznym opisom osób zaangażowanych w swoją pracę widzimy wręcz stemplowanie mydeł czy wylewanie ptasiego mleczka na stoły, a potem napowietrzanie, gdy weszły nowe maszyny i inwestor chciał zoptymalizować tempo produkcji.

W szczycie niedoborów pracownicy Zakładów Celulozy w Świeciu zaprojektowali prostą maszynę do produkcji papieru toaletowego: nie chodziło o zysk, mówią, tylko o handel wymienny. „Mój kierowca jeździł zawsze z papierem toaletowym – opowiada jeden z bohaterów – głównie dla milicji. Papier masz? – pytali. – Jak nie, to mandat. W nowych czasach chcieli ją zlikwidować, ale… przyjechała delegacja z Ukrainy i zapłaciła za nią w dolarach".

Magdalena Moskal

Porno z placu Defilad



Ewa Stusińska, *Miła robótka. Polskie świerszczyki, harlekiny i porno z satelity*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

Książka Ewy Stusińskiej *Miła robótka. Polskie świerszczyki, harlekiny i porno z satelity* to lektura bardziej produktywna, niż obiecuje tytuł i popularna, reportażowa forma. Pod warstwą pikantnych anegdot kryje się okazja do rozważań nad najnowszą historią Polski i jej rynku medialnego, refleksji etycznych oraz osobistych reminiscencji o wizualnych inicjacjach.

Zacznę od tego ostatniego aspektu i prywatnego wspomnienia. Na okładce jest fotografia autorstwa Wojciecha Druszcza. Przedstawia barak przy placu Defilad w Warszawie. W tle widać Pałac Kultury i Nauki. Mieścił się tam jeden z pierwszych stołecznych sex shopów. Pod koniec podstawówki, przy okazji wycieczki do stolicy, odważyłem się wejść

eprasa.pl b62d9b2f9d

do środka ufny w mój poważny nad wiek wygląd. Odwagi starczyło mi na dwie, trzy minuty eksploracji, a bajery na grzeczne i nieśmiałe „dzień dobry". Chłopięce oczy chłonęły wszystko, co stało na półkach tej prześnej świątyni erosa. Szybko czmychnąłem z wypiekami na twarzy. Zakazane skarby zostały mi w pamięci jak wyblakła polaroidowa fotografia, jedno z wielu wspomnień z pięknych i strasznych czasów transformacji ustrojowej. Plasują się gdzieś obok pierwszej w życiu coli z puszki, wyjazdu na Zachód, zagranicznych towarów, które chwilę wcześniej zaczęły zapełniać stragany i sklepowe półki. Materialne, konsumpcyjne znamiona „nowych czasów" w osobistej pamięci zapisały mi się niekiedy mocniej niż wydarzenia „wielkiej historii", których byłem świadkiem jako dziecko lat osiemdziesiątych XX wieku.

Pełno w *Miłej robótce* podobnych opowieści inicjacyjnych. Zróżnicowane grono respondentów przywołuje instytucje, które albo zdążyły już zniknąć z pejzażu polskich miast (wypożyczalnie wideo), albo właśnie go opuszczają (kioski z prasą) lub przypadkowe odkrycie istnienia pornosów przez włączenie tajemniczej kasety VHS lub podejrzenie nocnego programu w telewizji satelitarnej. Najciekawsze jednak wydają się ich wspomnienia emocji towarzyszących pierwszemu kontaktowi z „zakazanymi owocami kapitalizmu". Być może właśnie uczucia podszytej zawstydzeniem ekscytacji lub oszołomienia przypadkowym kontaktem z czymś, co trudno „odzobaczyć", stanowią doświadczenie pokoleniowe dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków?

Książka Stusińskiej to także przyczynek do historii mediów okresu transformacji ustrojowej. Dostępny również dla czytelników niemających kompetencji do lektury hermetycznych analiz medioznawczych. Szczególnie frapujące są dzieje ogłoszeń towarzyskich, które w pierwszych latach drukowano w… magazynie dla hobbystów, czy historia czasopisma „Pan", wschodnioeuropejskiej odpowiedzi na „Playboya". Magazyn ukazywał się w ostatnich latach PRL, więc opiewające w luksus i rozbuchaną konsumpcję treści amerykańskiego oryginału w warunkach ekonomicznego niedoboru zastępowano poradami dla działkowców lub kącikiem majsterkowicza.

W *Miłej robótce* znaleźć też można echa (wciąż niedoszacowane) zmian obyczajowych, jakie w mentalności mieszkańców wszystkich demokracji ludowych dokonywały się za pomocą magnetowidów. O ile wpływ seansów wideo na rozbrojenie propagandy w demoludach doczekał się już kilku podsumowań, choćby w głośnym rumuńskim filmie dokumentalnym *Chuck Norris kontra komunizm* w reżyserii Ilinca Călugăreanu, o tyle wciąż warto badać ich oddziaływanie na polskie społeczeństwo. Wedle przytoczonych przez Stusińską danych, to właśnie u nas doszło do największego wideoboomu liczonego w milionach sprzedanych odtwarzaczy, setkach wypożyczalni i dystrybutorni, tysiącach licencyjnych kaset.

eprasa.pl b62d9b2f9d

Stusińska jest literaturoznawczynią. Obroniła i wydała pracę doktorską *Dzieje grzechu. Dyskurs pornograficzny w polskiej prozie XX wieku* (Słowo/Obraz terytoria – Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2018). Filologiczne rzemiosło widać najlepiej w rozdziale, w którym przypomina wybuch popularności „harlequinów" i polskich pierwodruków „kanonu literatury pornograficznej". To właśnie poprzez powieści docierały do Polski najbardziej wyuzdane, niekiedy przemocowe i naganne moralnie pornograficzne przekazy (choćby kazirodztwo czy seks nieletnich). Wbrew stereotypowi głoszącemu, że po tego rodzaju rozrywki sięgają głównie mężczyźni, polskie czytelniczki równie chętnie czytały książeczki z „Kolekcji Afrodyty" kultowego skądinąd wydawnictwa Phantom Press. Dobrze by się stało, gdyby wydawca i autorka poszli za ciosem i ten rozdział *Miłej robótki* rozrósł się do rozmiarów kolejnej książki. Oprócz seryjnie produkowanych tłumaczeń literatury pornograficznej w pionierskich latach III RP ukazały się także rodzime powieści porno, warte szkiców w perspektywie socjologii literatury. Zalążki takiej publikacji można znaleźć na blogu autorki Porno-grafia.pl i w jej artykułach w serwisie Orgia Myśli.

Seksbiznes to nie tylko estetyka. Ciekawych wątków historycznych w reportażu Stusińskiej jest znacznie więcej. *Miła robótka* pokazuje część efektów reformy gospodarczej ministra Mieczysława Wilczka z grudnia 1988 roku. Przypomina o takich wydarzeniach, jak proces Jerzego Urbana w sprawie propagowania pornografii czy likwidacja Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Autorka obficie cytuje ówczesne publikacje, więc *Miła robótka* zawiera też fresk z niedawnej erotycznej polszczyzny.

Stusińska obszernie relacjonuje antypornograficzną batalię polskiej prawicy w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Po latach owa „wojna kioskowa" w porównaniu z dzisiejszymi bojami o liberalne wolności i widoczność treści dotyczących seksualności w przestrzeni publicznej wydaje się niemal kurtuazyjną salonową debatą.

Niezwykle ciekawe są też historie przedsiębiorców zajmujących się importem, dystrybucją i produkcją treści erotycznych. Szlak wiedzie od drobnych handlarzy, poprzez kariery tuzów biznesu, takich jak „król Pomorza" Janusz Leksztoń, właściciel słynnej firmy El Gaz, aż po pierwszy pornokoncern Pink Press, którego współzałożycielem i twarzą był muzyk oraz aktywista LGBT Sławomir Starosta.

Najmniej satysfakcjonują te fragmenty książki Stusińskiej, w których autorka dokonuje ocen etycznych. O ile można zrozumieć wyrozumiałość wobec bohaterów i bohaterek oraz brak rytualnego wyrażania moralnej odrazy, która zapewne psułaby lekturę *Miłej robótki*, o tyle nie sposób uwolnić się od pewnego niedosytu. Bierze się on stąd, że zapewne z powodu rozległości tematu, trudne zagadnienia, takie jak losy modelek i modeli, stosunki pracy w wydawnictwie Pink Press, mogły zostać jedynie skrótowo zazna-

eprasa.pl b62d9b2f9d

czone. Autorka odżegnuje się od wyrazistych ocen. „Potencjalna dyskusja rozbiła się o moralność, a w bardziej liberalnych kręgach – o aspekt etyczny: krzywdę ludzką, manipulację, przemoc, które choć związane z branżą porno (i o których jak najbardziej należy mówić), są zaledwie jednym z wielu aspektów powszechnej pornografizacji kultury". Takie stanowisko można przyjąć do wiadomości, tym bardziej że Stusińska zawarła w reportażu kilka świadectw ludzi, którym porno pomogło w osiągnięciu szczęścia. Ale warto zadać też pytanie o koszt tej emancypacji, który spadł na pracownice seksbiznesu czy tych odbiorców, którym pornografia wypaczyła postrzeganie seksu. Reporterskich interwencji domagają się też sprawy „ciemniejszej strony pornografii" – pokątnego handlu treściami pedofilskimi czy filmami ukazującymi przemoc. Zagadnienie okazuje się bardziej złożone i poważniejsze niż jego nostalgiczno-jowialna otoczka. I zdecydowanie przerasta ramy jednej książki.

Miła robótka jest więc raczej przewodnikiem po erotycznych niepokojach oraz tęsknotach Polek i Polaków u zarania III RP niż kompletną diagnozą zmian w ich mentalności. Ten duchologiczny przewodnik po (nie)dawnych podnietach rodaków domaga się rozszerzonego wydania lub wręcz cyklu opowiadającego o poszczególnych zjawiskach. Już w obecnej, kompilacyjnej i miejscami zbyt pobieżnej formie pozwala zajrzeć nie tylko za kotarkę w drzwiach sex shopu, ale i pod podszewkę życia społecznego.

Jan Bińczycki

eprasa.pl b62d9b2f9d

REKLAMA



DEMOKRATYCZNA OPOZYCJA NA BIAŁORUSI

Staraniem Biura Parlamentu Europejskiego we Wrocławiu z pomocą Urzędu Miejskiego Wrocławia, na znak solidarności z Białorusią, powstał mural upamiętniający Nagrodę Sacharowa Parlamentu Europejskiego dla białoruskiej opozycji demokratycznej. Malowidło według projektu białoruskiej artystki Anny Redko można podziwiać we Wrocławiu przy ulicy Legnickiej 64.

Wrocław miasto spotkań

Parlament Europejski

W numerze między innymi:

Większość z nich zginęła lub uciekła za granicę w 1915 roku. Szacuje się, że około dwustu tysięcy z ponad dwóch milionów przeżyło. Były to głównie dziewczynki i kobiety. Wiele z nich przygarnęli kurdyjscy lub tureccy sąsiedzi. Uległy islamizacji, a później skrzętnie ukrywały swoje pochodzenie – portret Ormian mieszkających w Turcji kreśli **Miłosz Szymański**.

Larry Wolff: Moja babcia w pierwszej dekadzie wieku XX chodziła do szkoły. Tam nauczono ją rysować mapę Galicji: kontury nieistniejącej prowincji. Można pomyśleć, co za nieprzydatna umiejętność: umieć narysować kontury krainy, która już nie istnieje! Ale ona tę mapę miała w swoim umyśle. Zrobiło to na mnie po latach wielkie wrażenie.

Tadeusz Iwański: Politycy lobbujący liberalne reformy na Ukrainie dorobili się etykiety „sorosjata". To gra słów: Soros – amerykański miliarder lobbujący liberalny model gospodarki i rozwój społeczeństwa obywatelskiego, i *porosjata* – z ukraińskiego prosiaki, w tym przypadku symbolizujące przejadanie grantów.

20 LAT
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

eprasa.pl b62d9b2f9d